

MAGAZYN *razem z dodatkami*

Pokolenie X. Twardziele, którzy najdłużej pracują i napędzają gospodarkę świata

● Biskup Maciej Małyga o decyzjach synodu archidiecezji wrocławskiej ● 26 tys. biegaczy we Wrocławiu!

PLUS TELEMAGAZYN z programem TV oraz omówieniami najciekawszych propozycji



Piątek
5.06.2026
Nr 128

Gazeta WROCLAWSKA

www.gazetawroclawska.pl
Cena 6,50 zł
(w tym 8% VAT)



Leon, Zosia, Marysia, Maciek – to mali pacjenci z wrocławskiego Przylądka Nadziei, którzy każdego dnia dzielnie walczą z rakiem. Dzięki akcji Łatwoganga ta nierówna walka jest nieco łatwiejsza **str. 16-17**

Nr ISSN 2353-6152

Nr indeksu 350-206



Klaudia przyleciała z Chin pod opieką wrocławskich lekarzy wojskowych **str. 5**

Prezydent zadzwonił do Wrocławianina w sprawie remontu ul. Będkowskiej **str. 6**

Legnica rozszerza strefę wolnego parkowania. Za darmo na kolejnym placu **str. 6**

O pół godziny może się skrócić podróż pociągiem z Wrocławia do Jeleniej Góry! **str. 8**

TYDZIEŃ Z NASZĄ GAZETĄ

GAZETA WROCŁAWSKA
● przy SOBOCIE
tłumaczy, radzi, bawi...PONIEDZIAŁEK
● DODATEK SPORTOWY
Wyniki, tabele i analizyWTOREK
● PULS BIZNESU
Przepisy prawne, opinieŚRODA
● MAGAZYN ZDROWIE
Jak zadbać o siebie i bliskichCZWARTEK
● POD PARAGRAFEM
Historie kryminalnePIĄTEK
● PULS POLSKI
Reportaże i publicystyka

ZAMÓW PRENUMERATĘ: „GAZETA WROCŁAWSKA” z dostawą do Twojego domu lub biura. Tel. 71 72 76 237, e-mail: bok.prenumerata@polskapress.pl

Janusz Michalczyk

PO CO PAPIEŻ
DAŁ ENCYKLIKE?

Leone XIV podszedł do tematu sztucznej inteligencji bardziej jak matematyk, którym jest z wykształcenia, niż mógłby to uczynić teolog skupiony na relacji między człowiekiem i Bogiem. Taki wniosek nasuwa mi się po wysłuchaniu kilku komentarzy do najnowszej encykliki „Magnifica Humanitas” (wspaniałe człowieczeństwo), przy czym od razu uprzedzam, że chodzi o życiowe w zasadzie opinie katolickich, polskich myślicieli i publicystów.

Zauważają oni zgodnie, że papież wykorzystał ocenę zmian technologicznych do przypomnienia całej nauki społecznej Kościoła, dlatego pojawiły się tu wątki tak nieoczywiste, jak niewolnictwo, wojna sprawiedliwa, migracje czy ruch związkowy, przy czym potraktowane dość zdawkowo, co może tworzyć wrażenie, że encyklika jest po trochu o wszystkich sprawach tego świata.

W zasadzie wszyscy komplementują Leona XIV za wyczerpującą analizę zagrożeń związanych z gwałtownym rozwojem AI, choć niektórzy uczciwie przyznają, że papież nie mówi nic, czego by nie powiedzieli przed nim wnikliwi eksperci (opinia karmelity Marcina Wojnickiego), a do krytykowania zarozumiałych miliarderów finansujących algorytmy lepiej przygotowaniu są lewicowi analitycy (opinia Jana Maciejewskiego).

Daje się też odczuć lekki zawód, że w encyklice jest tyle teologii, co kot napłakał. W dokumencie przywołano biblijny obraz stawiania wieży Babel oraz Nehemiasza prowadzącego wspólną odbudowę zburzonych murów Jerozolimy, pojawia się Chrystus i na sam koniec Maryja. Resztę można interpretować jako logiczny i precyzyjny wywód, z którego uniwersalną wymową chętnie zgodzi się nawet ateista o humanistycznym zacięciu.

Encyklika „Rerum novarum” (nowe rzeczy) Leona XIII krytycznie opisywała w 1891 r. żarłoczny kapitalizm, zaś „Magnifica Humanitas” Leona XIV przestrzega w 2026 r. przed utopijnymi wizjami cyfrowej rzeczywistości. Jak jednak zauważył Paweł Chmielewski, nauka społeczna Kościoła nie ma żadnego wpływu na toczące się procesy cywilizacyjne. Od siebie dodam, że przestrogi papieża kojarzą mi się z nieustannymi modlitwami o pokój, których skuteczność każdy może ocenić włączając telewizor czy internet. Wspaniałe człowieczeństwo to wzniosła idea, lecz w ludzkiej duszy nieustannie panoszy się mrok.

”

Po raz pierwszy w historii po stronie rosyjskiej więcej jest zabitych niż rannych. Ukraińcy nie tylko walczą dzielnie, ale walczą skutecznie.

Marco Rubio, sekretarz stanu USA

W Boże Ciało procesje przeszły przez miasta



- Eucharystia to jest sakrament, który buduje wspólnotę - mówił abp Józef Kupny

Karolina Kwiatek
Wrocław

Boże Ciało jest jednym z najbardziej widowiskowych świąt Kościoła rzymskokatolickiego, a to za sprawą procesji, w których biorą tysiące osób.

W czwartek (4 czerwca) wierni Kościoła rzymskokatolickiego obchodzili uroczystość Najświętszego Ciała i Krwi Chrystusa, znaną szerzej jako Boże Ciało. Jest to święto ruchome, skupiające się na Eucharystii.

- Eucharystia nie jest tylko darem dla mnie i nie jest nagrodą za moje dobre życie. To jest sakrament, który buduje

wspólnotę, przekracza podziały i czyni nas jednym ciałem w Chrystusie - mówił arcybiskup Józef Kupny, metropolita wrocławski. - Bez Eucharystii łatwo nam się rozmiąć z bliźnimi, tworzyć bariery, traktować siebie jak obcych. Natomiast z Eucharystią uczymy się być razem - dodał.

Uroczystość od stuleci składa się z kilku elementów - mszy św. (Boże Ciało jest jednym ze świąt nakazanych) oraz publicznego świadectwa wiary, najczęściej poprzez udział w procesji. W niektórych miejscach tworzy się także dywany kwiatne, które zdobią część kościoła przy ołtarzu, lub otoczenie przed samą świątynią. Ta

tradycja przejawia się również we Wrocławiu.

Jedną z największych wrocławskich procesji Bożego Ciała jest ta, która ruszyła tuż po g. 10 spod Katedry św. Jana Chrzciciela na Piasku. Uczestnicy przeszli aż do kościoła garnizonowego (Bazylika św. Elżbiety) w Rynku, gdzie otrzymali błogosławieństwo.

W Legnicy procesję poprowadził biskup legnicki Andrzej Siemieniowski. Ponad tysiąc osób przeszło z katedry do kościoła Świętej Trójcy. W Wałbrzychu po mszy św. w kolegiacie wierni przeszli do Rynku. Głogowska procesja wyruszyła z kościoła św. Klemensa do kościoła Bożego Ciała na starówce.

10. RAJD KOGUTA

Z Olawy i Jelcza-Laskowic wystartował wczoraj do Zamościa Rajd Koguta 2026. To charytatywna akcja: uczestnicy wsiadają w klasyki motoryzacji i przemierzają pół Polski, aby zbierać środki dla chorych dzieci. Jubileuszowa, 10. edycja jest wyjątkowa. W rajdzie uczestniczy 4 tysiące osób i już na starcie było 5,5 mln zł, czyli pobito rekord zbiórek z poprzednich lat. Rajd to też świetna zabawa. Uczestnicy przebierają się za szeków, marynarzy, kowbojów...

Micha Perzanowski



HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)

Działaj śmiało, lecz słuchaj intuicji. Horoskop dzienny zapowiada, że krótka rozmowa otworzy dziś drzwi do ciekawej współpracy.

Ryby (19.02 - 20.03)

Spokój będzie atutem. Horoskop na dziś wyraźnie zapowiada, że wieczór przyniesie bardzo miłą niespodziankę.

Baran (21.03 - 19.04)

Nowe informacje zmieniają perspektywę. Horoskop dzienny na piątek mówi, że warto zadawać pytania i uważnie słuchać odpowiedzi...

Byk (20.04 - 20.05)

Potrzeba bliskości wzrosła. Horoskop dzienny wróży, że czas dla rodziny pozwoli Ci odzyskać równowagę.

Bliźnięta (21.05 - 21.06)

Twoja pewność siebie przyciągnie ludzi. Horoskop na dziś radzi pamiętać jednak, by zostawić również miejsce na dialog.

Rak (22.06 - 22.07)

Precyzja zaprezentuje. Horoskop dzienny na piątek mówi, że detal okaże się kluczem do rozwiązania problemu.

Lew (23.07 - 22.08)

Szukaj harmonii zamiast pośpiechu. Horoskop dzienny wróży, że dobra organizacja pozwoli uniknąć zbędnego napięcia. Zachowaj rytm.

Panna (23.08 - 22.09)

Emocje będą intensywne, lecz konstruktywne. Skieruj je na ambitny i twórczy cel. Horoskop na dziś mówi, że efekt przyjdzie wkrótce.

Waga (23.09 - 22.10)

Ciekawość świata poprowadzi do inspiracji. Horoskop dzienny na piątek radzi nie odrzucać propozycji spontanicznego spotkania.

Skorpion (23.10 - 21.11)

Konsekwencja przyniesie efekty. Horoskop dzienny zapowiada, że ktoś ważny zauważy Twoje starania...

Strzelec (22.11 - 21.12)

Nietypowy pomysł zasługuje na uwagę. Horoskop na dziś radzi zaufać kreatywności i wykonać pierwszy krok. Rozwijaj śmiało wizję.

Koziorożec (22.12 - 19.01)

Wrażliwość pomoże zrozumieć innych. Horoskop dzienny na piątek zapowiada, że szczerza rozmowa poprawi relacje i nastrój.

Wyższa emerytura może być bliżej, niż myślisz. Dlaczego warto sprawdzić swoją decyzję ZUS już dziś?

Wiele osób przez lata było przekonanych, że decyzji ZUS nie da się zmienić. Skoro od wydania decyzji minęło wiele lat, to sprawa wydaje się zamknięta. W praktyce nie zawsze tak jest.

Problem może dotyczyć seniorów, którzy najpierw skorzystali z wcześniejszej emerytury, a dopiero później przeszli na zwykłą emeryturę po osiągnięciu wieku emerytalnego.

U wielu takich osób wysokość świadczenia mogła zostać obliczona mniej korzystnie. Dlatego warto wrócić do swojej decyzji emerytalnej i sprawdzić, czy ZUS prawidłowo obliczył świadczenie emerytalne.

KOGO MOŻE DOTYCZYĆ PROBLEM ZANIŻONEJ EMERYTURY?

Sprawa dotyczy osób, które najpierw korzystały z tzw. wcześniejszej emerytury, a następnie przeszły na emeryturę powszechną. Przez wiele lat ZUS pomniejszał podstawę obliczenia nowej emerytury o kwoty wcześniej wypłaconych świadczeń. W praktyce oznaczało to, że wiele osób otrzymywało znacznie niższe świadczenia, niż mogłyby otrzymać przy zastosowaniu korzystniejszych zasad przeliczenia.

Źródłem zmiany zasad już po przejściu na emeryturę wcześniejszą była nowelizacja ustawy emerytalnej.

CO TO OZNACZA DLA EMERYTA?

W praktyce oznaczało to zmianę zasad już po fakcie. Seniorzy podejmowali decyzje w oparciu o obowiązujące wówczas przepisy, a dopiero później dowiadawali się, że nowe regulacje wpłyną na wysokość ich przyszłej emerytury.

Wyrok Trybunału Konstytucyjnego ponownie zwrócił uwagę opinii publicznej na problem zaniżonych emerytur i dał podstawę do ponownego przeliczenia świadczeń. Dla wielu osób może to być jedna z najważniejszych zmian dotyczących systemu emerytalnego ostatnich lat.

DLACZEGO WYROK TRYBUNAŁU KONSTYTUCYJNEGO JEST WAŻNY?

Trybunał Konstytucyjny w wyroku z dnia 4 czerwca 2024 r., sygn. SK 140/20, uznał, że przepis pozwalający na takie pomniejszanie emerytury jest niezgodny z Konstytucją w zakresie,

w jakim dotyczy osób, które złożyły wniosek o wcześniejszą emeryturę przed 6 czerwca 2012 r.

W praktyce chodzi o ochronę zaufania obywatela do państwa. Państwo nie powinno zmieniać reguł w taki sposób, aby osoba, która wcześniej podjęła ważną życiową decyzję, dopiero po latach dowiadywała się, że ta decyzja finansowo ją obciąża.

To nie jest tylko spór o przepis, ale o zmianę zasad wpływających na wcześniej podjęte decyzje przez tysiące emerytów.

KTO MOŻE SKORZYSTAĆ NA PONOWNYM PRZELICZENIU EMERYTURY?

Możliwość ubiegania się o ponowne przeliczenie świadczenia dotyczy określonego grona emerytów pracujących w warunkach szczególnych (m.in. nauczyciele, górnicy, hutnicy, transport, przemysł ciężki, służba zdrowia, inne zawody w warunkach szczególnych lub o szczególnym charakterze). Chodzi o kobiety urodzone w latach 1954–1966 oraz mężczyzn urodzonych w latach 1949–1952 lub 1954–1961.

Znaczenie ma także data złożenia wniosku o wcześniejszą emeryturę.



Marta Prach
Dyrektor Departamentu Prawnego

Dotyczy to osób, które wystąpiły o takie świadczenie przed 6 czerwca 2012 r. Dodatkowo przed 1 stycznia 2013 r. nie mogły one osiągnąć jeszcze ustawowego wieku emerytalnego.

Warto podkreślić, że każda sprawa wymaga indywidualnej analizy dokumentów oraz decyzji wydanych przez ZUS. Często nawet niewielki szczegół może mieć znaczenie dla możliwości ponownego przeliczenia świadczenia.

DLACZEGO TAK WIELE OSÓB NIE WIE, ŻE MOŻE ODZYSKAĆ PIENIĄDZE?

Decyzje wydawane przez ZUS są zwykle skomplikowane i zawierają liczne wyliczenia, wskaźniki oraz podstawy prawne. Dla wielu seniorów samodzielna analiza dokumentów jest trudna i niezrozumiała. W efekcie wiele osób przyjmuje decyzję jako ostateczną i nie zdaje sobie sprawy, że może ją zakwestionować lub wystąpić o ponowne przeliczenie świadczenia.

Tymczasem nawet niewielka różnica w wysokości miesięcznej emerytury może w dłuższej perspektywie oznaczać znaczące kwoty. Wyższe świadczenie to nie tylko większy komfort życia, ale także realne wsparcie

domowego budżetu w czasach rosnących kosztów utrzymania.

W wielu przypadkach możliwe jest również uzyskanie wyrównania za 3 lata wstecz. Oznacza to, że senior może otrzymać jednorazową wypłatę środków, które wcześniej nie zostały mu naliczone.

JAKIE DOKUMENTY WARTO PRZYGOTOWAĆ?

Najważniejsze są decyzje ZUS dotyczące wcześniejszej emerytury oraz emerytury powszechnej. Przydatne mogą być także pisma dotyczące przeliczeń, waloryzacji, decyzje odmowne, potwierdzenia dat złożenia wniosków oraz korespondencja z ZUS.

W praktyce analizuje się przede wszystkim to, kiedy dana osoba złożyła wniosek o wcześniejszą emeryturę, kiedy przeszła na emeryturę powszechną i czy przy obliczeniu świadczenia zastosowano pomniejszenie o wcześniej wypłacone emerytury.

Dopiero po takiej analizie można ocenić, czy warto składać wniosek o ponowne ustalenie wysokości emerytury, czy konieczne będzie odwołanie od decyzji ZUS i jakiej kwoty można się domagać.

NIE WARTO ODKŁADAĆ TEGO NA PÓŹNIEJ

Wiele osób przez lata pobierało zaniżone świadczenie, bo nikt nie powiedział im, że decyzję można sprawdzić. Tymczasem jedna analiza dokumentów może pokazać, czy emerytura została obliczona prawidłowo i czy istnieją podstawy do uzyskania wyższego świadczenia.

Nie chodzi o obietnicę łatwych pieniędzy. Chodzi o sprawdzenie, czy emeryt nie traci co miesiąc pieniędzy, które wypracował przez lata. Dlatego tak ważne jest, aby dokładnie przeanalizować swoją sytuację i sprawdzić, czy wydana decyzja została przygotowana prawidłowo. Coraz więcej osób decyduje się dziś na konsultację ze specjalistami zajmującymi się prawem ubezpieczeń społecznych oraz analizą decyzji emerytalnych. Pomagamy klientom przejść przez te formalności, tłumacząc zawiłości procedur i dbając o kompletność dokumentacji. Nie zwlekaj z weryfikacją swoich uprawnień.

Nie warto odkładać tego na później. Dla wielu seniorów ponowne sprawdzenie decyzji ZUS może oznaczać szansę na wyższą emeryturę.

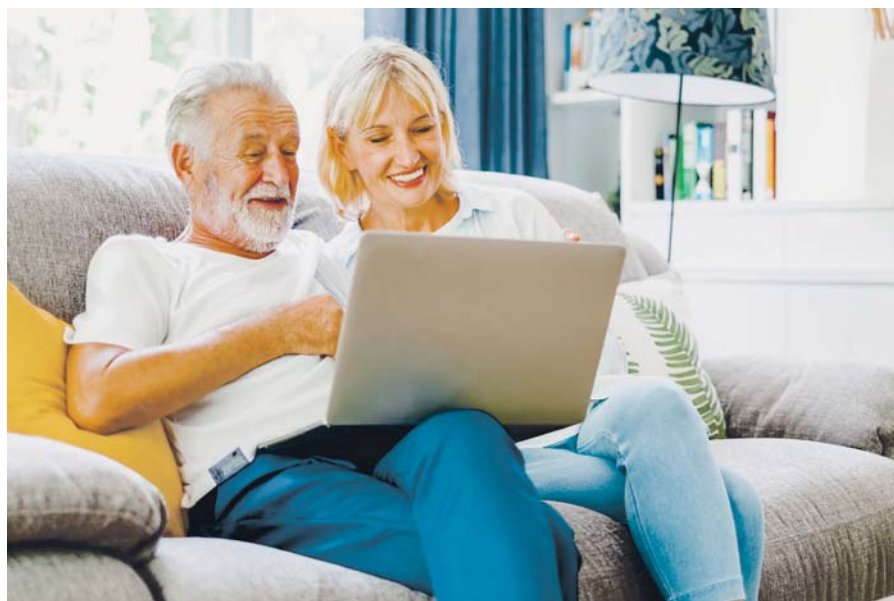
Artykuł sponsorowany przez Votum Robin Lawyers S.A. z siedzibą we Wrocławiu



**VOTUM
ROBIN
LAWYERS**

Kontakt:

- ul. Wyścigowa 56i, 53-012 Wrocław
- email: biuro@votum-rl.pl
- tel.: 71 36 86 981



PRZEGLĄD MINIONEGO TYGODNIA

CZWARTEK, 28.05

Ruszy remont
35 km A4

Regionalny Dyrektor Ochrony Środowiska we Wrocławiu wydał kluczową decyzję środowiskową dla przebudowy odcinka A4 Krzyżowa - Krzywa. A to oznacza, że może ruszyć modernizacja całego fragmentu tej autostrady od Krzyżowej do Legnicy (35 km). Będą trzyjezdniowe pasy ruchu oraz awaryjny w obu kierunkach. Realizacja przewidziana jest na lata 2027-31 w systemie Projektuj i Buduj.

Lapidarium
na Krzyckiej

Rozpoczęła się budowa lapidarium na tyłach cmentarza przy ul. Krzyckiej we Wrocławiu. Przez dziesięciolecia były przysypane ziemią w efekcie likwidacji cmentarza ewangelickiego. Jak mówią pasjonaci z inicjatywy „Spod ziemi patrzy Breslau”, którzy dokonali odkrycia, wiele nagrobków jest w dobrym stanie, ma zachowane pełne inskrypcje. Najstarszy pochodzi z 1898 r., gros z lat 30. XX w., jest też kilka polskich z lat 50.

PIĄTEK, 29.05

Cztery lata
dla księgowej

70-letnia główna księgowa z rachunków obsługiwanych firm przywłaszczyła ok. 1,3 mln zł (w latach 2009 r. - 2025 r.). Sprawa wyszła na jaw, gdy Elżbieta P. poszła na zwolnienie lekarskie. Nieprawidłowości na rachunkach wykryła księgowa zatrudniona tam na zastępstwo. 70-latką przyznała się do winy. Sąd Okręgowy w Legnicy orzekł dla niej karę 4 lat więzienia. Gminie Jemielno (wyłudziła pieniądze z dwóch podstawówek) musi zwrócić 1 mln zł, a Powiatowemu Inspektoratowi Nadzoru Budowlanego w Górze - 250 tys. zł.

SOBOTA, 30.05

Odwołani
i już powołani

Michał Młynicki stracił stanowisko wiceprezesa Wrocławia 18 maja, ale już jest prezesem miejskiej spółki Ekosystem. Dotychczasowy prezes Ekosystemu Paweł Karpiński został wiceprezesem tej spółki. Odwołana wiceprezydent

Renata Granowska zajęła miejsce w zarządzie MPK Wrocław. Musieli oni ustąpić miejsc w ratuszu nowym wiceprezydentom - Grzegorzowi Romanowi i Mateuszowi Żakowi, na skutek ustaleń prezydenta Wrocławia z KO.

NIEDZIELA, 31.05

Turniej Miast

Burmistrzowie Dzierżoniowa na Dolnym Śląsku i Chojnic na Pomorzu podpisali umowę partnerską. W ramach współpracy we wrześniu te miasta będą konkurować w Turnieju Miast. Wydarzenie będzie transmitowane w TVP, a poprowadzi je Artur Orzech.

PONIEDZIAŁEK, 1.06

Prześladowca
aresztowany

Mieszkańcy wrocławskich Popowic będą mogli odechnąć z ulgą. Kończą się wyzwiska, rzucanie jajami w szyby, groźby i szykanowanie. Arkadiusz K., znany też jako „hejter z Popowic”, trafił na trzy miesiące do aresztu. Na kłótkach schodowych i w windach bloków pojawiały się wyzwiska, obraźliwe ry-



Śnieżka. Żołnierze z Wrocławia sprawdzali, jak surowy klimat działa na łączność

sunki i nazistowskie symbole, a także groźby. Dochodziło do rękoczynów. 45-latek miał np. rzucać jajami w okna. Były próby nękania w pracy. Mężczyzna ma 6 zarzutów, grozi mu do 8 lat więzienia.

7 rezerwatów

Regionalna Dyrekcja Ochrony Środowiska we Wrocławiu planuje utworzyć powstanie siedem nowych rezerwatów oraz powiększyć już dwa istniejące. Wszystkie leżą na obszarze Geoparku UNESCO Kraina Wygasłych Wulkanów. Pod ochronę trafi ok. 700 ha cen-

nych przyrodniczo obszarów w Górach Kaczawskich i na Pogórzu Kaczawskim.

WTOREK, 2.06

Złapali cyklistę
- chuligana

Po niemal miesiącu od głośnego zdarzenia przy ul. Pilczyckiej we Wrocławiu policjanci ustalili tożsamość 42-letniego rowerzysty, który potrącił i popchnął na bruk 80-letnią kobietę. Katarzyna Wnuk, doradczyni prezydenta miasta ds. seniorów, nie odniosła na szczęście poważniejszych obrażeń.

ŚRODA, 3.06

Ewakuowali
Wrocław

Około godziny 19 rozległ się komunikat wzywający klientów do opuszczenia galerii handlowej. Z obiektu natychmiast ewakuowano około 700 osób. Na miejsce udały się natomiast cztery zastępy strażackie. Po kilkunastu minutach klienci wrócili - okazało się, że ktoś aktywował przycisk alarmowy. Bez potrzeby... **Zebrał GCH**



Legnicki festyn z okazji Dnia Dziecka. Nie ma to jak zabawa w gęstej pianie! Dorośli mogli pozazdrościć

REKLAMA

0011535169

REKLAMA
0011535169

Otwórz się
na WIĘCEJ!

DOŁĄCZ DO NOWOCZESNEJ FIRMY,
KTÓRA ZAPEWNI CI ROZWÓJ I STABILIZACJĘ.

Zatrudniamy specjalistów w działach:

- ☑ Utrzymania Ruchu i Automatyki
- ☑ Technologii
- ☑ Jakości
- ☑ Sprzedaży
- ☑ Zarządzania Produkcją
- ☑ Administracji

Oferujemy:

- ☑ Pracę w zakładzie produkcyjnym w Ujeźdźcu Małym pod Wrocławiem
- ☑ Bezpłatną stołówkę
- ☑ Bony i paczki świąteczne
- ☑ Dofinansowanie do kształcenia (szkoły, studia, kursy, szkolenia)
- ☑ Bilety na koncerty oraz mecze Panthers Wrocław
- ☑ Prywatną opiekę medyczną LUXMED
- ☑ Kartę Multisport
- ☑ Ubezpieczenie na życie
- ☑ Atrakcyjny program poleceń pracowników

Poznaj szczegóły:

tarczynskipraca.pl

726-665-555

rekrutacja@tarczynski.pl

Pułapka na pieszych przy torowisku
w centrum. Można zahaczyć nogą o szynęKonrad Bałajewicz
Wrocław

Na przejściu dla pieszych przy przystanku tramwajowym Plac Jana Pawła II zapadła się kostka. Piesi potykają się i wywracają. MPK Wrocław się tłumaczy, doraźną naprawę obiecuje w wakacje.

Nawierzchnia zapadła się na uczęszczanym przejściu dla pieszych kierunku ul. Sokolniczej. Kostka brukowa wokół szyn jest popękana, uniesiona, miejscami zapadnięta i przemieszczona. Nietrudno zahaczyć nogą o wystającą szynę.

Niedawno w tym miejscu potknęła się nasza Czytelniczka Anna. - Co tu się stało? Wcześniej tego tu nie było. Prawie się zabiłam. Dobrze, że nie jechał żaden tramwaj - relacjonuje zdenerwowana.

Dlaczego kostka na przejściu się zapadła? MPK Wrocław tłumaczy, że wpływ na to ma wieloletnia eksploatacja torowiska i stopniowe niszczenie nośnej warstwy drogi, znajdującej się pod kostką.

- Obecny stan wynika przede wszystkim z utraty właściwej nośności podłoża pod torowiskiem i nawierzchni



Tak wygląda z bliska przejście dla pieszych przy torowisku na Placu Jana Pawła II

nią przejścia dla pieszych - wyjaśnia Aleksander Hutyra z Biura Komunikacji Społecznej MPK Wrocław.

MPK informuje, że porządna naprawa kostki wymaga wykonania nowej podbudowy, zabudowy torowiska oraz kompleksowego remontu całej konstrukcji. Takie trwałe rozwiązanie problemu ma nastąpić w ramach większej inwestycji. - Przejście dla pieszych zostanie objęte kompleksowym remontem w ramach planowanej modernizacji torowiska w ciągu ul. Legnickiej

na odcinku od Placu Jana Pawła II do Placu Strzegomskiego. W IV kwartale bieżącego roku planowane jest ogłoszenie postępowania przetargowego dla tego zadania - mówi Hutyra.

MPK obiecuje, że kostka na niebezpiecznym przejściu dla pieszych ma zostać poprawiona w wakacje, ale jedynie chwilowo, doraźnie, w ramach „bieżącego utrzymania infrastruktury”. Gruntowna modernizacja zostanie przeprowadzona najszybciej w 2027 r. Jej koszt szacowany jest na prawie 18,6 mln zł.

Klaudia przyleciała z Chin. Trafiła pod opiekę wojskowych lekarzy

K. Kwiatek, O. Borsuk
Wrocław

W środę przed g. 16 samolot rządowy przywiózł Klaudię Uciechowską do Wrocławia. Stan młodej kobiety jest poważny.

Klaudia Uciechowska jest 24-letnią studentką z Wałbrzycha, która studiowała w Pekinie. Podczas pobytu w Chinach zdiagnozowano u niej nowotwór jajnika. Niestety, po operacji doszło do poważnych powikłań.

Młoda kobieta zmagą się m.in. z zapaleniami mózgu, otrzewnej i płuc. Do tego dochodzi perforacja dwunastnicy i ropień w okolicy wątroby. Niestety, leczenie okazało się na tyle kosztowne (ponad 5 tys. zł dziennie), że już dawno przekroczyło koszty ubezpieczenia.

Rodzina Klaudii robiła wszystko, by ściągnąć ją do domu. Dopiero interwencje takich osób jak senator Agnieszka Kołacz-Leszczyńska



Rządowy samolot z Klaudią wylądował we Wrocławiu o 15.55. Studentka, w stanie śpiączki farmakologicznej, jest pod opieką lekarzy Szpitala Wojskowego

czy wojewoda Anna Żabska sprawiły, że Ministerstwo Obrony Narodowej wysłało po Klaudię specjalny samolot z zespołem specjalistów na pokładzie.

Wojskowy Zespół Ewakuacji Medycznej, który poleciał w poniedziałek (1 czerwca) po Klaudię do Chin, wrócił z nią

w środę do Wrocławia. Maszyna wylądowała o godz. 15.55 na lotnisku.

Klaudia została przewieziona do IV Wojskowego Szpitala Wojskowego z Polikliniką we Wrocławiu. Trafiła na Kliniczny Oddział Anestezjologii i Intensywnej Terapii, którego kierownikiem jest Krzysztof Fi-

dler. Leczeniem Klaudii zajmie się prof. Lidia Łysenko.

Jan Kutny, rzecznik prasowy szpitala potwierdził, że Klaudia została podłączona do aparatury. Niestety, lekarze będą musieli przeprowadzić większość badań od początku.

- Większość dokumentacji, którą nam dostarczono, zo-



Klaudia Uciechowska studiowała w Chinach

stała sporządzona w języku chińskim. Tłumaczenie zajęłoby kilka tygodni, dlatego badania będą prowadzone od początku. Po angielsku są jedynie 4 kartki - mówi nam Jan Kutny.

- Pacjentka jest utrzymywana w śpiączce farmakologicznej. Lekarze będą musieli ją

zobaczyć, zbadać na oddziale i zapoznać się z dokumentacją medyczną. Dopiero po tych działaniach będą w stanie podjąć jakiegokolwiek leczenia - powiedział nam Jan Kutny.

Studentce przez całą podróż do Polski towarzyszyła jej mama, która będzie z nią także podczas kuracji w Szpitalu Wojskowym.

Jacek Uciechowski, ojciec 24-latki, musiał zostać w Wałbrzychu, ponieważ opiekuje się drugą córką. Informacja o powrocie 24-latki wywołała w nim wiele emocji, przede wszystkim szczęście, ulgę i wdzięczność wobec tych, którzy zaangażowali się w sprawowanie jej do domu.

- Jesteśmy pełni nadziei, że córka zacznie wracać do zdrowia - opowiadał w rozmowie z dziennikarzami „Gazety Wrocławskiej”. I dodał: - Jesteśmy bardzo wdzięczni za pomoc. A przede wszystkim ministerstwu, które wysłało samolot i naszej pani senator Agnieszce Kołacz-Leszczyńskiej.

AUTOREKLAMA

0111521052



Forum Dostawców
Przemysłu Energetycznego
i Obronnego
Rzeszów 2026

Już 15 czerwca w Rzeszowie Forum Dostawców Przemysłu Energetycznego i Obronnego

**Twoja firma może stać się
dostawcą w przemyśle
energetycznym i obronnym.
Wielkie inwestycje czekają
także na Ciebie.**

TEMATY PANELI:

- Biliony do wydania – jak zatrzymać kapitał w Polsce?
- Finansowanie projektów strategicznych
- Transformacja energetyczna jako szansa dla polskich firm
- Polski przemysł zbrojeniowy – od podwykonawcy do integratora

Zapisz się już dziś!

energiazpolski.pl

Udział bezpłatny.
Liczba miejsc ograniczona.

ORGANIZATOR

POLSKA PRESS GRUPA

PATRONAT MEDIALNY

**strefa
BIZNESU.pl**

PATRONAT HONOROWY



Konrad Fijołek
Prezydent Miasta Rzeszowa



WOJEWODA PODKARPACKI

Od belgijskiego komiksu po debiut roku – Satyrykon różnorodności

Michał Przechera
Legnickie Centrum Kultury

Za tydzień - 49. Satyrykon w Legnicy. Oprócz głównej wystawy konkursowej będą ciekawe ekspozycje towarzyszące, prezentujące różne oblicza satyry, ilustracji i sztuki komentującej rzeczywistość.

Niebanalnym spojrzeniem na relację przeszłości z teraźniejszością będzie wystawa „Sztuka belgijskiego rysunku satyrycznego – od mistrzów flamandzkich do komiksu”, przygotowana przez European CartoonCentre.

Wystawa w teatrze

Otwarcie wystawy belgijskiego rysunku odbędzie się w sobotę, 13 czerwca, o godzinie 17:00 w holu Teatru im. Heleny Modrzejewskiej.

Ekspozycja prowadzi przez historię belgijskiej karykatury – od inspiracji dawnym malarstwem flamandzkim po współczesny komiks. To opowieść o kraju, który mimo niewielkich

rozmiarów wywarł ogromny wpływ na europejską sztukę, a jednocześnie do dziś pozostaje jednym z najważniejszych ośrodków twórczości cartoonowej. Wystawa jest także efektem wieloletniej współpracy Satyrykonu z belgijskim środowiskiem rysowników satyrycznych oraz organizacjami promującymi sztukę komiksu. Artyści związani z tym krajem wielokrotnie gościli w Legnicy, a tegoroczna ekspozycja stanowi kolejny rozdział tej kooperacji.

Sukces debiutanta

Drugą sobotnią propozycją będzie otwarcie ekspozycji „Uziemienie” Piotra Raurowicza, laureata nagrody za najlepszy debiut tegorocznego konkursu. Wernisaż rozpocznie się o godzinie 18:00 w Galerii Satyrykon.

Artysta pochodzi z Kutna, studiował w Łodzi, a obecnie mieszka w Górach Świętokrzyskich, które stały się ważnym źródłem inspiracji dla jego twórczości. Jury zwróciło uwagę na grafikę z cyklu „Świętokrzyskie – ce-



Wyróżniona praca Piotra Raurowicza. Zobaczymy ją na wystawie w Galerii Satyrykon



Satyrykon już za tydzień. Otwierany jest tradycyjnie korowodem artystów, przebierańców, mieszkańców

remonie niebyle”, nagradzającą w kategorii „Żart i satyra”.

W jego pracach silnie obecny jest motyw miejsca, rozumianego jako przestrzeń najbliższa, codzienna, a jednocześnie uniwersalna. Przedstawiane sceny mogłyby rozgrywać się w wielu miejscach świata – ludzie wszędzie się śmieją, martwią, tańczą albo odpoczywają. Jednak to właśnie polski kontekst, osadzony w realiach Gór Święto-

krzyskich, nadaje im szczególnego charakteru i znaczenia. Ekspozycja jest także okazją do zobaczenia w Galerii Satyrykon prac malarskich, które w tej przestrzeni nie pojawiają się często.

Ostatnie spotkanie z tegorocznym Satyrykonem już za tydzień na łamach „Gazety Wrocławskiej”. Tym razem bliżej przyjrzymy się wystawie głównej.

Legnica. Parkingi płatne zamieniają na... bezpłatne!

Piotr Krzyżanowski
Legnica

Niecodzienna i ciesząca kierowców historia wydarzyła się w Legnicy. W mieście przybyło kolejnych 200 darmowych miejsc parkingowych.

Gdy wygasła umowa z dotychczasowym dzierżawcą na zarządzanie parkingiem przy ul. Warمیńskiej (Osiedle Piekary), miasto nie szukało innego, lecz podjęło decyzję, że plac ten zostanie udostępniony mieszkańcom bez opłat. A to oznacza 202 dar-

mowe miejsca parkingowe. To już kolejny taki przypadek w Legnicy. W zeszłym roku bowiem w podobny sposób uwolniono od opłat dwa inne parkingi na terenie miasta – przy ul. Górniczej i przy stacji Shell, na skrzyżowaniu ul. Marsa i al. Piłsudskiego.

Realizowana przez miasto strategia ułatwia parkowanie w gęsto zaludnionych obszarach. Przejęcie placów u przez samorząd i zniesienie opłat ma odciążyć okoliczne uliczki osiedlowe, gdzie mieszkańcy zmagają się z brakiem miejsc do parkowania.



Bramka na parking przy Warمیńskiej od 1 czerwca jest otwarta. Nikt nie pobiera opłaty za postój samochodu

Po naszej interwencji w sprawie ul. Będkowskiej prezydent zadzwonił do mieszkańca i obiecał..

Konrad Bałajewicz
Wrocław

Miasto wyremontuje drogę, a mieszkańcy będą partycypować w kosztach na pierwotnych zasadach. Długo wyczekiwana wiadomość przekazał Jacek Sutryk, dzwoniąc do mieszkańca.

Mieszkańcy Stabłowic od ok. 20 lat walczą o budowę drogi, odwodnienia i oświetlenia. Podczas deszczu gruntowa ulica z betonowymi płytami zamienia się w rzekę. Urzędnicy tłumaczyli, że droga ma zbyt niski priorytet, by mogła zostać sfinansowana w całości z miejskiego budżetu, o czym kilka dni temu, napisaliśmy we „Wrocławskiej”. Kiedy zgodnie z sugestiami urzędników, mieszkańcy zdecydowali się przystąpić do Programu Inicjatyw Lokalnych, otrzymali kosztorys na 2 mln 585 tys. zł. To 10 proc. kosztu – większość pokrywa miasto.

Na podstawie otrzymanej wyceny wyliczyli swój wkład własny i przekonali niemal wszystkich sąsiadów do udziału w przedsięwzięciu. Następnie złożyli oficjalny wniosek. Kilka miesięcy póź-



Długo oczekiwany remont ulicy Będkowskiej ma szansę wreszcie ruszyć. Dzisiaj droga jest w fatalnym stanie

niej okazało się, że... koszt inwestycji wzrósł niemal dwukrotnie: do 4 mln 960 tys. zł.

Jak tłumaczył ZDiUM, pierwotna wycena obejmowała jedynie część planowanego zakresu inwestycji, a rozbieżność była skutkiem błędnie przyjętego zakresu prac. I że doszło do „omyłki pisarskiej”. Mieszkańcy twierdzili, że pomyłki nie było: pierwsza wycena, którą otrzymali na piśmie, dotyczyła pełnego zakresu inwestycji.

Nowa wycena oznaczała, że udział finansowy mieszkańców miał wzrosnąć z około 7,6

tys. zł do ponad 16 tys. zł na gospodarstwo domowe. Wielu podkreślało, że taka kwota jest dla nich nie do udźwignięcia. Czuli się oszukani przez urzędników. Po nagłośnieniu sprawy przez „Gazetę Wrocławską” i inicjatywie mieszkańców, temat trafił do prezydenta.

Jak ustaliliśmy, we wtorek (2 czerwca) prezydent Jacek Sutryk osobiście skontaktował się telefonicznie z jednym z mieszkańców ul. Będkowskiej. Przekazał mu, że miasto podtrzymuje pierwotne warunki udziału mieszkańców

w Programie Inicjatyw Lokalnych. Oznacza to, że choć rzeczywisty koszt wyniesie ok. 5 mln zł, mieszkańcy będą rozliczani wg pierwotnej wyceny (2 mln 585 tys. zł). Ich wkład zostanie na poziomie, który już zaakceptowali. Resztę pokryje miejski budżet.

- Mieszkańcy cieszą się, że po interwencji „Gazety Wrocławskiej” pan prezydent zapoznał się z dokumentami i wnioskiem i podjął słuszną decyzję, która pierwotnie była uzgodniona z miastem, mieszkańcami i ZDiUM-em – mówi Jakub Szerlag z ulicy Będkowskiej.

Jak dodaje, mieszkańcy złożyli już w ratuszu pismo potwierdzające ich zgodę na współfinansowanie inwestycji na ustalonych wcześniej zasadach. Czeka ją na oficjalną decyzję, która biorąc pod uwagę słowa prezydenta – wydaje się być tylko formalnością. Informację o rozmowie prezydenta z mieszkańcem potwierdza także magistrat.

- Prezydent w weekend był na Stabłowicach, rozmawiał z mieszkańcami, sprawdził fakty i oddzwonił do mieszkańca, że dla nich kwota 10 proc. będzie liczona od 2,6 mln zł – potwierdza Tomasz Sikora z ratusza.

REKLAMA

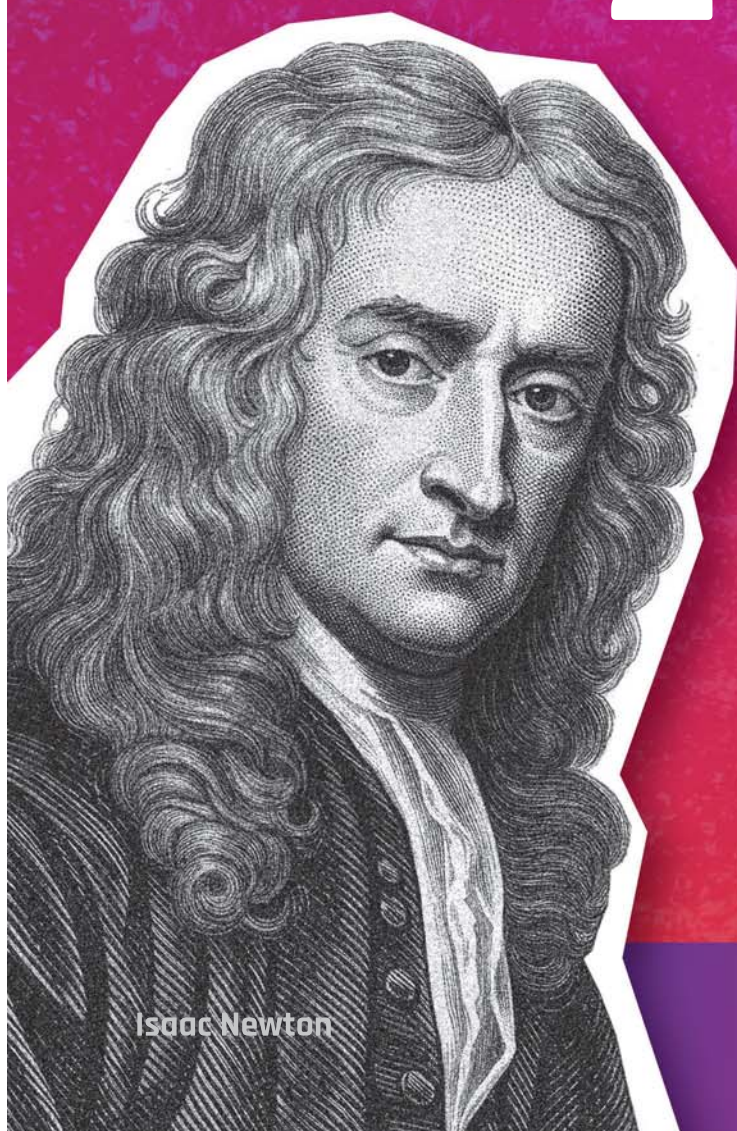
0011534152



Politechnika
Wroclawska



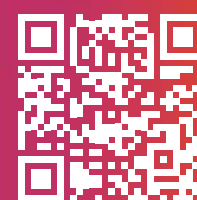
Studiuuj z nami!



Isaac Newton



rekrutacja.pwr.edu.pl



Atak na ul. Powstańców Śląskich. Dwie osoby zostały ranne

Remigiusz Biały
Wrocław

Czytelnik poinformował redakcję o awanturze, podczas której użyto noża. Połapał się krew, dwie osoby w szpitalu.

Zdarzenie przy Powstańców Śląskich 135 potwierdza policja. W środę przed 14 poszkodowane zostały dwie osoby. Trafiły do szpitala, ale ich życiu nic nie niebezpieczeństwo. Policjanci poszukują sprawcy, któ-

rego dane personalne już znają. Z naszych informacji wynika, że do awantury doszło pod klatką schodową. Natychmiast pojawiły się służby. Nie był to pierwszy raz, kiedy pod ten adres wzywano służby. - Mimo licznych nagrań, zgłoszeń wandalizmu, dewastacji klatki schodowej, pożarowego zagrożenia i awantur - poskarżył się Czytelnik. Inni mieszkańcy podziękowali policji za błyskawiczną akcję, dzięki czemu nie doszło do eskalacji.

Z Wrocławia do Jeleniej Góry pociągami tylko 90 minut!

Konrad Bałajewicz
Wrocław

Po 30 latach przerwy, kolej wróci na trasę Marciszów - Bolków - Strzegom. Rozpoczęta właśnie rewitalizacja linii nr 302 może zmienić sposób podróżowania między Jelenią Górą a Wrocławiem.

Dziś pociągi kursujące między Jelenią Górą a Wrocławiem jadą przez Wałbrzych. I na tym odcinku napotykają duże ograniczenia prędkości ze względu na ostre łuki k. Świebodzic. Często zwalniają do 40 km/h.

Po odbudowie linii 302 pociągi z Jeleniej Góry będą mogły pojechać inną drogą. Składy pojadą linią 274 do Marciszowa, następnie przez Bolków i Strzegom, by ponownie włączyć się do głównej magistrali w kierunku Wrocławia przez Jaworzynę Śląską i Żarów. Oznacza to ominięcie Wałbrzycha i stworzenie nowego, szybszego korytarza kolejowego.

Od lat apelują o to m.in. samorządowcy z Jeleniej Góry.

- Po kompleksowym wykonaniu linii 302 podróż z Wrocławia do Jeleniej Góry będzie można skrócić o 20, a nawet 30 minut. Obecnie czas przejazdu wynosi około dwóch godzin. Po zakończeniu inwestycji może wynosić ok. 1,5 - mówi nam Mateusz Masłowski, dyrektor Dolnośląskiej Służby Dróg i Kolei.



Marszałek Paweł Gancarz ze swoją ekipą uwiecznił już fakt rozpoczęcia rewitalizacji linii 302. Słowo się rzekło...

Według samorządowców, taka zmiana mogłaby znacząco zwiększyć atrakcyjność kolei. Dziś podróż pociągami na tej trasie jest często mniej konkurencyjna wobec samochodu. Skrócenie czasu przejazdu do około 90 minut mogłoby zachęcić więcej mieszkańców i turystów do wyboru transportu szynowego.

Ruszają prace na trasie Marciszów - Bolków - Strzegom

Prace właśnie ruszyły na I etapie inwestycji. Obejmuje on odcinek Grabina Śląska - Rostoka o dł. 4,9 km. Wartość kontraktu wynosi 14 mln zł, a zakończenie robót zaplanowano na sierpień 2026 roku. Powstanie nowy tor, poprawione zostanie odwodnienie li-

nii, przebudowane zostaną również znajdujące się na trasie przepusty.

Inwestycja realizowana jest ze środków Krajowego Planu Odbudowy (KPO) i stanowi kolejny etap programu „Dolny Śląsk na dobrych torach”, którego celem jest odbudowa połączeń kolejowych i przeciwdziałanie wykluczeniu komunikacyjnemu mieszkańców regionu.

- Nie marnujemy ani złotych środków zewnętrznych. Dzięki oszczędnościom wygenerowanym na wcześniejszych zadaniach mogliśmy bardzo szybko podjąć decyzję o realizacji kolejnego projektu. Wspólnie z Ministerstwem Infrastruktury doprowadziliśmy do tego, że środki z Krajowego Planu Odbudowy pozostają

na Dolnym Śląsku i pracują dla mieszkańców naszego regionu - mówi Paweł Gancarz, Marszałek Województwa Dolnośląskiego.

To jednak dopiero początek większego przedsięwzięcia. Drugi etap obejmie blisko 27 kilometrów trasy: od Rostoki przez Bolków do Marciszowa. Obecnie trwa inwentaryzacja terenu i przygotowania do kolejnych prac.

Finansowanie drugiego odcinka ma pochodzić z kolejnych funduszy europejskich, zaplanowanych na lata 2028-2034. Oznacza to, że prawdopodobnie cały rewitalizowany odcinek zostanie otwarty do 2034 roku. W DSDiK słyszymy, że samorząd Dolnego Śląska oraz dykcja robi wszystko, aby stało się to jak najszybciej.

Co ważne, linia 302 ma zostać również zelektryfikowana. Dzięki temu cała przyszła trasa z Jeleniej Góry do Wrocławia będzie dostępna dla nowoczesnych pociągów elektrycznych bez konieczności zmiany trakcji.

Powrót kolei na trasę Marciszów - Bolków - Strzegom ma także duże znaczenie dla mieszkańców lokalnych miejscowości, które od blisko 30 lat pozostawały bez dostępu do transportu kolejowego. Samorząd województwa podkreśla, że inwestycja będzie przeciwdziałać wykluczeniu komunikacyjnemu i może stać się impulsem do rozwoju turystyki oraz lokalnej gospodarki.

Beacie Pawińskiej

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają

koleżanki i koledzy
z Kontrolingu Polska Press

Naszej drogiej Koleżance

Beacie Pawińskiej

oraz

Jej Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci



Mamy

składają

koleżanki i koledzy
z „Gazety Wrocławskiej”



ZAKŁADY POGRZEBOWE

● „ABEL” – Zakład Pogrzebowy, bezgotówkowa organizacja pogrzebów i kremacji. Całodobowe przewozy zmarłych z domu, szpitali, hospicjum. Tel. całodobowe, kom. 502-922-708, 71/355 92 23 ul. Św. Wincentego 10 A.

● „ADORIA” Usługi Pogrzebowe. Tanio, profesjonalnie i bezgotówkowo. Całodobowy odbiór ciała z dowolnego miejsca. Pożegnania i kremacje. Obsługa ekskluzywnym karawanem. Biuro na terenie cm. Osobowice 59a - wszystkie sprawy w jednym miejscu. Tel. całodobowy 71 352 52 05 lub 503 33 83 84.

● „ANUBIS” – kompleksowe usługi pogrzebowe - profesjonalnie - bezgotówkowo. Dom Pogrzebowy, biuro i własna kaplica i chłodnia, organizowanie pożegnań przed kremacją oraz czuwanie przy zmarłym przed pogrzebem tradycyjnym

w godzinach dogodnych dla klienta. Wrocław, ul. Szpacza 32/34, tel. 71 350 01 01 całodobowy. Biuro: Wrocław, ul. Dubois 20, Wróblowice, ul. Stawowa 5. Całodobowe przewozy zmarłych kraj i zagranicą. Załatwianie formalności również w domu klienta. Telefony całodobowe 71 328 83 85, 723 030 303.

● „ARCHON” – Zakład Pogrzebowy tel. 71 332 60 60 – całodobowe przewozy zmarłych. Własna chłodnia i kaplica, rozliczenia bezgotówkowe, wyrabianie aktów zgonu i wszystkich formalności ZUS i USC. Obsługa ceremonii pogrzebowych ekskluzywnym karawanem Mercedes Pilato gratis. Nasze oddziały: Włodkowica 37, Hallera 112, Bogusławskiego 33, Traugutta 67, Skłodowskiej-Curie 49, Kiełczowska 90 (cm. komunalny), Krzywoustego 287, Trzebnicka 67,

ul. Grabiszyńska 101, ul. Zaporoska 83, www.zaklad-pogrzebowy.com.pl

● „WITWICCY” Zakład Usług Pogrzebowych, Producent Trumien. Całodobowy przewóz zmarłych. Rozliczamy ZUS, KRUS, WBE, MSWiA w zakładzie. Własna chłodnia. Kompleksowo. Solidnie! Wrocław Borowska 254 - naprzeciw Akademii Medycznej, Wrocław Kościuszki 67/1a – róg Gwarnej, Krzyżowice ul. Główna 14 gm. Kobierzycy, Sobótka ul. Św. Anny 19/1, 71/889-00-60, www.zakladpogrzebowy24.pl

● CAŁODOBOWE PRZEWozy ZMARŁYCH dla miasta Wrocławia i Dolnego Śląska. Najniższe ceny. Tel. 502-922-708, 71 322-60-16.

● KREMATORIUM – ARCHON, ul. Kiełczowska 90, tel. 71 345 73 43

- całodobowo. Kompleksowe usługi kremacyjne i pogrzebowe, ustalanie terminów. Całodobowy odbiór osób zmarłych z domu, szpitali, hospicjów. www.krematorium.wroclaw.pl

● MIĘDZYNARODOWE PRZEWozy ZMARŁYCH, tel. 71/332-60-60 – całodobowo. Przewóz zmarłych i prochów z państw całego świata. Załatwiamy wszelkie pozwolenia i formalności. Posiadamy licencję na tranport zmarłych z Francji. www.zaklad-pogrzebowy.com.pl

● ROCH – Zakład Pogrzebowy, bezgotówkowo, kompleksowo. Całodobowe przewozy zmarłych z domu, szpitali, hospicjum. Tel. całodobowe 71/322 60 16, kom. 502-922-708, Wrocław, ul. Św. Wincentego 10 a (dawna Obrońców Pokoju).

POLSKA i ŚWIAT

KRÓTKO

DŁUGI CZERWCOWY WEEKEND

Polacy wybierają wyjazdy

Polacy na długi weekend czerwcowy podróżują głównie do Włoch, ale dużą popularnością cieszy się również Hiszpania – wynika z danych przedstawicieli branży turystycznej zebranych przez PAP. W przypadku podróży krajowych najwięcej turystów wybiera się nad Bałtyk.

Za większą część, bo ok. 40 proc. wszystkich rezerwacji, odpowiadają podróże dla dwóch osób, wyjazdy dla rodzin stanowią 25 proc. całości. Ponadto ponad połowa klientów wybiera w tym okresie

wyjazdy z noclegami ze śniadaniem, a 43 proc. rezerwacji dotyczy hoteli 4-gwiazdkowych.

– W przypadku Bożego Ciała widzimy, że wielu naszych użytkowników traktuje ten termin jako przedsmak wakacji. Wybierają wyjazdy, które pozwalają zarówno odpocząć, jak i poczuć atmosferę nowego miejsca bez konieczności planowania dłuższego urlopu, który oszczędzają na szczycie sezonu – stwierdziła Joanna Kwiatkowska z biura podróży.

BOŻE CIAŁO

Procesje na polskich ulicach



FOT. MARIAN ZUBRZYCKI/PAP

Uroczystość Najświętszego Ciała i Krwi Chrystusa, zwana potocznie Bożym Ciałem, jest świętem ruchomym. W Polsce przypada w czwartek po uroczystości Najświętszej Trójcy. Wczoraj, w całym kraju, ulicami miast i miasteczek przeszły procesje. Na zdjęciu procesja w Łowiczu.

EKOLOGIA

Darmowa kranówka w lokalach

Rewolucja w polskich lokalach wejdzie w życie już 12 sierpnia. Od tego dnia restauracje, bary i kawiarnie zostaną prawnie zobowiązane do tego, aby na życzenie klienta na stole pojawiła się darmowa kranówka. Przepisy określają jasny limit – lokale będą musiały podać bezpłatnie do 0,5 litra wody na osobę. Woda będzie serwowana w naczyniach

wielokrotnego użytku lub wielokrotnego napełniania, bezpośrednio do stolika lub w miejscu wydawania posiłków.

Wprowadzenie tych zmian ma na celu przede wszystkim drastyczne ograniczenie ilości generowanych śmieci.

Co ciekawe, we Włoszech sąd uznał niedawno, że lokale nie mają takiego obowiązku.

RAPORT NCK

Tylko 1 proc. Polaków wskazuje 4 czerwca jako powód do dumy narodowej, podczas gdy pamięć o bitwie pod Grunwaldem napełnia dumą już 24 proc. respondentów. Jak zaznaczył Antoni Głowacki z Narodowego Centrum Kultury, problem nie polega na braku pamięci o transformacji, lecz na tym, że społeczeństwo postrzega ją jako długotrwały proces, a nie jedno symboliczne wydarzenie.

Kolejne weto prezydenta? Przed nami miesiące sporów

Dorota Kowalska
Warszawa

Sejm, po miesiącach dyskusji, uchwalił wreszcie ustawę o statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu. Pytanie, czy podpisze ją prezydent.

Szykuje nam się kolejna polityczna burza. W zeszłym tygodniu Sejm uchwalił ustawę o statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu. Za głosowało 230 posłów, 198 było przeciw, 1 wstrzymał się od głosu. Wśród posłów koalicji, którzy zagłosowali przeciw, byli politycy Polskiego Stronnictwa Ludowego: Marek Biernacki, Andrzej Grzyb, Urszula Nowogórska i Jacek Tomczak.

Ustawa o statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu zakłada, że dwie osoby pełnoletnie będą mogły zawrzeć umowę u notariusza, która – rejestrowana w USC – umożliwi stronom m.in. wybór ustroju majątkowego, ustanowienie obowiązku alimentacyjnego, uzyskanie prawa do korzystania ze wspólnego mieszkania



FOT. W. WOJTKIEWICZ

Nie podpiszę żadnego prawa, które będzie stanowić alternatywę dla małżeństwa – powiedział prezydent

oraz nadanie drugiej osobie uprawnień do dostępu do informacji medycznych i działania jako pełnomocnik w sprawach codziennego życia.

Teraz ustawa trafi na biurko Karola Nawrockiego i tu mamy problem. Paweł Szefernaker, prezydencki minister stwierdził, że „nie ma i nie będzie zgody pana prezydenta na legalizację związków partnerskich”.

– Mamy kontekst próby siłowego wprowadzenia transkrypcji związków partnerskich, które poza granicami kraju nazywane są małżeństwami jednopłciowymi. Pierwszym krokiem jest wprowadzenie związków partnerskich, drugim jest transkrypcja, a następnie prowadzi to

do przysposobienia i adopcji dzieci. Taka polityka małych kroków. Nie będzie zgody pana prezydenta na wprowadzanie quasi-małżeństwa do polskiego prawa – powiedział Szefernaker, dodając, że prezydent „będzie chciał życzliwie spojrzeć na rozwiązania wprowadzające status osoby bliskiej”.

Do sprawy odniósł się także sam Karol Nawrocki.

– Jestem strażnikiem konstytucji. Mimo tego, że jestem krytyczny po ponad 30 latach do konstytucji z 1997 roku, to jak regularnie powtarzam, będę strażnikiem tej konstytucji do samego końca mojego albo jej. W tej konstytucji jest wprost zapisane, że małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny.

Nie podpiszę żadnego prawa, które będzie stanowić alternatywę dla małżeństwa – stwierdził zapytany o to, czy podpisze przyjętą w piątek ustawę.

Nawrocki dodał jednak, że ze względu na toczące w Pałacu Prezydenckim rozmowy różnych środowisk, jest gotów podpisać ustawę dotyczącą statusu osoby najbliższej, jeżeli nie będzie ona ideologiczna i nie będzie „sta-

nowiła furtki dla alternatywy małżeństwa i podważania polskiej konstytucji”. – Jeśli znajdziemy rozwiązanie, które pomogą osobom w statusie osoby najbliższej na funkcjonowanie formalne, administracyjne, a nie będą niosły ze sobą rozwiązania ideologicznej presji czy próby podważania wyjątkowego statusu małżeństwa, to taką ustawę podpiszę. Mam nadzieję, że taką uda się wypracować – powiedział.

Pytanie, jak długo owe prace potrwają i kto je prowadzi. Nad ustawą o statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu politycy koalicji rządzącej pochylali się długie miesiące, bo co tu dużo mówić, ustawa rodziła się w bólach.

Kwestia uregulowania sytuacji osób pozostających w nieformalnych związkach była jedną z kluczowych dla koalicji 15 października. Co więcej, domagają się tego Polacy. Jak wynika z sondażu Opinia24 dla „Faktów” TVN i TVN24, ponad połowa z nas opowiada się za wprowadzeniem związków partnerskich. Sprzeciw wobec tego pomysłu wyraża co trzeci badany. PAP

Katastrofa śmigłowca w Małopolsce. Maszyna rozbiła się na zboczu Lubogoszczy. Zginął pilot

Oprac. Alina Mazurska

Lekki śmigłowiec był poszukiwany wczoraj od godz. 2 w nocy. Przed godz. 8 ratownicy odnaleźli rozbity wrak śmigłowca oraz ciało pilota.

Lekki śmigłowiec Robinson R44 Raven II był poszukiwany od godz. 2 w nocy po tym, jak Polska Agencja Żeglugi Powietrznej zgłosiła utratę łączności z pilotem. Poszukiwania prowadzono głównie w rejonie Kasiny Wielkiej i Kasiny Małej w powiecie limanowskim, gdzie poraz ostatni zarejestrowano sygnał maszyny.

Przed godz. 8 ratownicy odnaleźli rozbity wrak oraz ciało pilota na zboczu góry Lubogoszcz w Beskidzie Wyspowym. W akcji uczestniczyli policjanci, strażacy, ratownicy GOPR oraz grupy poszukiwawcze. Działania

prowadzono w trudnych warunkach terenowych i przy ograniczonej widzialności spowodowanej gęstą mgłą. Według wcześniejszych informacji PAP śmigłowiec wykonywał prywatny lot związany z podróżą na Węgry i wracał do Polski.

Helikopter wystartował z Bodrogkisfalud na Węgrzech. Miał wylądować na lotnisku w Zatorze. Ostatni raz radary namierzyły go w okolicach Lubogoszczy.

Z danych radarowych monitorujących ruch lotniczy wynika, że maszyna była obserwowana przez system ADS-B na wysokości około 850-1000 metrów nad poziomem terenu. Następnie sygnał został nagle utracony.

Okoliczności katastrofy będą wyjaśniać Państwowa Komisja Badania Wypadków Lotniczych oraz prokuratura. PAP

REKLAMA

0011533583

Spółdzielnia Mieszkaniowa „Wojewodzianka”
ul. Drukarska 34,
53-312 Wrocław

Rada Nadzorcza Spółdzielni Mieszkaniowej
„Wojewodzianka” we Wrocławiu
ogłasza

konkurs na stanowisko osoby pełniącej funkcję
Zastępcy Prezesa Zarządu Spółdzielni – Dyrektora ds. Technicznych.

Wymagania wobec kandydatów:

- 1) wykształcenie wyższe, preferowane kierunki to: budownictwo, inżynieria środowiska, architektura, zarządzanie nieruchomościami lub inne kierunki techniczne;
- 2) minimum 10-letni staż pracy, w tym co najmniej 5-letni staż pracy na stanowisku kierowniczym lub samodzielnym w obszarze technicznym, inwestycyjnym lub eksploatacyjnym;
- 3) posiadanie uprawnień budowlanych bez ograniczeń będzie dodatkowym atutem kandydata;
- 4) znajomość przepisów prawa związanych z działalnością techniczną i eksploatacją zasobów mieszkaniowych, w tym prawa budowlanego, przepisów bhp oraz zasad funkcjonowania spółdzielni mieszkaniowej;
- 5) pełną zdolność do czynności prawnych;
- 6) umiejętności organizacyjne i zaradcze niezbędne do koordynowania prac technicznych, remontowych i inwestycyjnych oraz współpracy z jednostkami organizacyjnymi Spółdzielni;
- 7) umiejętność komunikacji i współpracy z mieszkańcami, pracownikami oraz podmiotami zewnętrznymi, w szczególności wykonawcami i dostawcami usług;
- 8) zdolność planowania i realizacji zadań w obszarze technicznym, zgodnie z celami i potrzebami Spółdzielni.

Wymagane dokumenty i sposób składania ofert:

Oferty należy składać w zamkniętych kopertach:

- oświadczenie w biurze Spółdzielni lub przesłać na adres siedziby.

Termin składania ofert: **do 24 czerwca 2026 r. do godz. 15:00** (decyduje data wpływu). Do rozmów kwalifikacyjnych zostaną zaproszeni kandydaci spełniający wymagania określone w ogłoszeniu.

Szczegółowe informacje dotyczące konkursu oraz wymaganych dokumentów dostępne są na stronie internetowej: www.wojewodzianka.pl w zakładce OFERTY PRACY.

Tragiczne spotkania z rekinami. 19-latka i 11-latek stracili nogi

Marcin Koziestański
Brazylia

19-letnia kobieta straciła nogę w brutalnym ataku rekina na plaży Boa Viagem zaledwie dwa dni po tym, jak w pobliżu został zaatakowany 11-letni chłopiec.

Zaledwie 24 godziny po tym, jak 11-letni chłopiec stracił nogę w ataku rekina w pobliżu Recife w Brazylii, na tym samym odcinku wybrzeża doszło do kolejnego przerażającego incydentu.

1 czerwca 19-letnia Marcela Vitória de Lima Santos została zaatakowana przez rekina podczas kąpieli na plaży Boa Viagem, jednym z najbardziej znanych miejsc ataków rekina w Brazylii. Według licznych doniesień, podczas ataku rekin od-

gryzł jej prawą nogę. Przewieziono ją do lokalnego szpitala, a następnie do Hospital da Restauração w Recife, gdzie przeszła pilną operację. Jej stan nadal jest poważny.

W sieci krąży materiał filmowy pokazujący skutki ataku, jednak większość mediów zamazała nagranie ze względu na jego drastyczność.

Do zdarzenia doszło dzień po tym, jak 11-letni João Lucas Castor Nemezio Sales został zaatakowany na pobliskiej plaży Piedade. Również stracił nogę, ale jego stan ustabilizował się po pilnej operacji.

Ataki rekina zdarzają się rzadko na świecie, ale wybrzeże Pernambuco jest jednym z najlepiej udokumentowanych miejsc występowania rekina. PAP



Rekin zaatakował nastolatkę. To drugi taki przypadek w ciągu doby na tym wybrzeżu

Atak Izraela po ogłoszeniu porozumienia o rozejmie

Oprac. Karolina Wrońska
Liban

Wczoraj Izrael zaatakował południową część Libanu. Stało się to zaledwie kilka godzin po ogłoszeniu w Waszyngtonie porozumienia obu krajów w sprawie zawieszenia broni.

Libańska Narodowa Agencja Informacyjna (NNA) poinformowała o izraelskich atakach dronów wzdłuż dróg w trzech miejscowościach południowego Libanu. AFP przekazała, że co najmniej jeden z nalołów spowodował ofiary, nie sprecyzowała jednak, czy chodzi o zabitych, czy rannych.

Skrajnie prawicowy minister bezpieczeństwa narodowego Izraela Itamar Ben-Gwir nazwał wynegocjowany przy mediacji Waszyngtonu rozejm „poważnym błędem”. Zawieszenie broni jest „złudzeniem doradców, którzy nakładają premiera (Izraela Benjamina Netanjahu) do podejmowania złych decyzji” - napisał w czwartek na portalu X.

W oświadczeniu wydanym po dwóch dniach rozmów w Waszyngtonie Izrael i Liban ogłosiły w środę, że „zgodziły się na wdrożenie zawieszenia broni”. Ma być ono uzależnione od całkowitego zaprzestania ataków przez proirańską organizację szyicką Hezbollah i wycofania się wszystkich jej bojowników z obszaru na połu-



Wspierany przez Iran Hezbollah pozostaje poza kontrolą rządu w Bejrucie. Na początku marca grupa włączyła się do wojny USA i Izraela z Iranem, po stronie Teheranu

dnie od rzeki Litani w Libanie. Strony zgodziły się też na utworzenie „stref pilotażowych”, w których armia libańska przejmie wyłączną kontrolę nad terytorium, odsuwając od niej wszelkie podmioty niepaństwowe.

Izrael podkreślił, że trwały pokój wymaga rozbrojenia Hezbollahu i likwidacji jego infrastruktury na terytorium całego Libanu. Strona libańska z kolei zadeklarowała wzmocnienie zdolności swoich sił zbrojnych, przy wsparciu USA, w celu objęcia „efektywnej kontroli na całym terytorium kraju”.

Hezbollah zapowiedział we wtorek, że nie zaakceptuje żadnego częściowego zawieszenia broni z Izraelem, a „każda agresja ze strony syjonistycznego wroga wywoła jeszcze silniejszą reakcję” tego ugrupowania.

Doradca przewodniczącego parlamentu Libanu Nabiha Ber-

riego powiedział we wtorek, że głównym żądaniem Berriego pozostaje „kompleksowe zawieszenie broni”, czyli „zaprzestanie nalołów, z lądu i morza, oraz brak wyburzeń i zniszczeń” w południowym Libanie. Berri jest liderem szyickiego ruchu Amal, sojusznika Hezbollahu.

Wspierany przez Iran Hezbollah pozostaje poza kontrolą rządu w Bejrucie. Na początku marca grupa włączyła się do wojny USA i Izraela z Iranem, po stronie Teheranu. Izrael odpowiedział operacją zbrojną, zajmując południe Libanu i tworząc tam „strefę buforową”. PAP

Izrael podkreśla, że trwały pokój wymaga rozbrojenia Hezbollahu i likwidacji jego infrastruktury na terytorium całego Libanu

Przełom w procesie akcesyjnym Ukrainy

Oprac. Alina Mazurska
Cypr

Cypr, który sprawuje prezydencję w UE, ogłosił, że rozpoczął przygotowania do formalnego otwarcia pierwszego tzw. klastra w negocjacjach akcesyjnych z Mołdawią i Ukrainą.

- Jest to ważny kamień milowy na drodze do integracji europejskiej tych państw i silny sygnał jedności i determinacji UE - poinformowała cypryjska prezydencja w Radzie UE. Zapowiedziała, że będzie dążyć do zakończenia prac w nadchodzących dniach tak, by 15 czerwca w Luksemburgu mogły się odbyć konferencje międzyrządowe z Ukrainą i Mołdawią.

Zgodnie z procesem akcesyjnym państwo kandydujące musi przeprowadzić negocjacje

w oparciu o sześć tzw. klastrów tematycznych. Na początku otwierany jest klaster dotyczący spraw fundamentalnych i to on jest zamykany jako ostatni. W jego ramach negocjowane są kwestie związane z rządami prawa, instytucjami demokratycznymi czy walką z korupcją.

Otwarcie pierwszego klastra z Ukrainą blokowało do tej pory Węgry pod rządami Viktora Orbana. Po przejęciu władzy przez Petera Magyara Budapeszt ogłosił rozpoczęcie węgiersko-ukraińskich konsultacji eksperckich na temat uregulowania praw społeczności węgierskiej na Zakarpaciu, gdzie żyje ponad 100-tysięczna mniejszość węgierska.

Z przełomu w procesie akcesyjnym Ukrainy może się również cieszyć Mołdawia, której droga do członkostwa w UE jest powiązana ze ścieżką Kijowa. PAP

REKLAMA

0011527591

WIELKA PROMOCJA ♦ DOJAZD DO KLIENTA DO 100 KM

ANTYKWARIAT

ZŁOTA I FUTER

KUPUJEMY ZA GOTÓWKĘ:
Złoto/ złom złota
Srebro i Monety

WAŁBRZYCH
ul. Wysockiego 2/1
Pon. - pt. 10-16
Sobota 12-15

Sztuće i tace srebrne
Świeczniki srebrne
Zegarki na rękę
Prawdziwe futra każdej jakości
Skup uszkodzonej biżuterii
Wyceń swoje futro!
Zmień futro na gotówkę

TEL. 663 936 236

DOŁĄCZ DO TYSIĘCY ZADOWOLONYCH KLIENTÓW ZŁAP OKAZJĘ!

ZAMIEŃ FUTRO NA GOTÓWKĘ OD RĘKI!

PULS

#219



Generacja zrób to sam.

Agaton Koziński

KTO SIĘ POTRAFI UCZYĆ
NA WŁASNYCH BŁĘDACH?

Awantura, jaka w Polsce wybuchła przy okazji decyzji Wołodymyra Zełenskiego o nadaniu jednej z ukraińskich jednostek nazwy „Bohaterowie UPA” sprawia, że poniżej naszych radarów przeszło inne wydarzenie. Gest pozornie drobny, ale ważny – w dodatku przypominający już to, co oglądaliśmy w przeszłości.

Chodzi o decyzję niemieckiego biznesu o udziale w konferencji gospodarczej w Petersburgu. Przedstawiciele niemieckiej Izby Handlu Zagranicznego regularnie brali udział w tym forum do 2021 roku. Po ataku Rosjan na Ukrainę przestali, ale w tym roku postanowili tam wrócić. – Zachód nie powinien na stałe oddawać Rosji jej dużego rynku i surowców Azji – argumentował tę decyzję Matthias Schepp, szef Izby.

Nie pierwszy to raz, gdy Niemcy wychodzą z założenia, że można z Rosją zbudować normalne stosunki gospodarcze. Za czasów rządów Angeli Merkel powstała nawet cała doktryna nazywana po niemiecku „Wandel durch Handel” (zmiana przez handel). Zgodnie z jej założeniami budowanie więzi biznesowych z Rosją miało przełożyć się na jej zmianę polityczną. Uważano, że im więcej różnych interesów będzie łączyć Moskwę z Berlinem – czy, szerzej, całą Rosję z Europą – tym Kreml stanie się bardziej przewidywalny, bardziej cywilizowany, bardziej demokratyczny. To legło u podstaw koncepcji budowania najpierw pierwszej, a potem drugiej nitki rurociągu Nord Stream. Handel ropą miał sprawiać, że Rosja nigdy nie wyda swojej armii rozkazu wyjścia z koszar – tak przekonywali całą Europę Niemcy.

Nord Stream 2 miał być otwarty w drugiej połowie 2022 r., ale pół roku wcześniej, 24 lutego, Rosja uderzyła na Ukrainę. Takie efekty przyniosła wielowektorowa strategia „Wandel durch Handel” w praktyce.

Oczywiście, dziś nikt już skompromitowanego pomysłu cywilizowania Rosji przez związki biznesowego podnosić nie będzie. Koncepcje z czasów Angeli Merkel odeszły bezpowrotnie razem z nią. Ale też nie da się nie zauważyć, że od czasów zawieszenia współpracy gospodarczej z Rosją Niemcy znajdują się w bardzo trudnej sytuacji gospodarczej. W tak trudnej (wzrost gospodarczy Niemiec w 2025 r. to 0,2 proc., w tym roku ma to być ok. 0,5 proc.), że biznes będzie szukał każdej okazji do ratowania swoich szans. Także jeśli będzie to oznaczało współpracę z Rosją. A jeśli ktoś uważa, że to nie jest możliwe – bo wartości, bo zasady, bo trwa wojna – to niech najpierw odpowie na pytanie: co delegacja niemieckiego biznesu robi w Petersburgu?

Oczywiście, biznes nie funkcjonuje w próżni, nad nimi są jeszcze politycy, rząd. Trudno sobie wyobrazić sytuację, w której kanclerz Friedrich Merz odnawia współpracę z Moskwą albo przynajmniej akceptuje odbudowę relacji biznesowych. Ale Merz jest kanclerzem słabym (po roku rządów ma rekordowo niskie sondaże), koalicja rządowa jest pęknięta i wewnętrznie skłócona. A w sondażach bardzo wyraźnie prowadzi AfD, które mocno argumentuje na rzecz ograniczenia pomocy Niemiec dla Ukrainy i odbudowy więzi z Rosją. To jest skala wyzwania, przed jaką stoimy jako Polska, jako Europa. Warto też pamiętać o tym wymiarze trwającego obecnie na wschodzie konfliktu i w tym kontekście patrzeć też na polską dyskusję o „bohaterach UPA”, których nigdy nie było.

Adam Bula

BOOMERSTWO WRACA
DO SZKOŁY

o nie jest tak, że nie nadążam. Po prostu pamiętam, że to podłużne coś w dłoni służy do kontaktu na odległość – nawet jak wolimy już SMS-ować lub dyktować wiadomość, a nie dzwonić i rozmawiać. A że to już nie telefon tylko smartfon, szybko przejmujący funkcje kolejnych, niepotrzebnych już setek urządzeń: od zegarka po glukometr – to kwestia drugorzędna. Dla mojego pokolenia. Dla wcześniejszych, czyli... prawie wszystkich – smartfon zastępuje też coraz powszechniej takie drobiazgi jak realne kontakty międzyludzkie lub nawet... samą rzeczywistość.

To zresztą ciekawe, jak często ludzie myślą „nadążanie” za światem z „nadskakiwaniem” metrycy. Jeśli pamiętasz jeszcze telefony na kabel w daleko nie każdym domu, masz po prostu przywilej rozeznania. Powinniśmy oczywiście ogarnąć Tik Toka, ale doprawdy nie musimy udawać, że nas to kręci i totalnie kasuje sens wieczorków w domu kultury z poezją Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Zaprawdę bowiem stoi w Piśmie, że jest czas na różne rzeczy pod słońcem... To trochę jak z samochodami: między napędem spalinowym a elektrycznym zachodzi tylko różnica technologiczna. Prawdziwy – i niekoniecznie dobry – przełom cywilizacyjny polega na tym, że to nowsze cholerstwo bez przerwy do ciebie gada. I zwyczajnie się czepia, wciąż czegoś ci zakazując albo nakazując. Moja ukończona honda (rocznik 1996) poproszona – pięknie śpiewała, a nie proszona – trzymała język za zębami. Dziś możemy wybierać między tysiącami nowych modeli, zaprogramowanych fabrycznie na maniackalnego konsultanta-gadździarza.

Pamiętanie innych systemów, innych czasów i innych sprzętów nie musi być dziaderstwem, boomerstwem czy jakimi tam jeszcze epitetami akurat młodsi rzucają. Mój smartfon zazwyczaj leży i milczy, od czasu do czasu dając znać, że ktoś ma do mnie jakąś sprawę. Nieużywane smartfony moich córek mają notoryczną fazę ostrej epilepsji: tam na ekranie co 0,25 sekundy wskakuje nowy rozpraszacz, generowany przez jedną z bóg wie ilu aplikacji z włączoną standardowo funkcją powiadomień. Dzieci dziś to – nawet w fazie wymuszonej koncentracji na rozmowie z rodzicem – jednookie

cyklopy z odruchami, które naśladują Edwarda Nortona grającego upośledzonych.

Dla mnie w sumie spoko, dopóki jeszcze jest kontakt. Nie chodzi mi bowiem o gędzenie, że „za naszych czasów”. Bo wtedy prawie wszystko nie „było lepsze”. Sporo jednak rzeczy miało swój głębszy sens. Jednym z nich było chodzenie do szkoły. Porzucmy kwestie, jakiej szkoły, z jakim programem i nauczycielami, czyli – z jakim finalnym skutkiem. Zysków z powszechnie dostępnej ale też przymusowej, podstawowej edukacji nikt w zasadzie nie kwestionuje. Niezwykle mnie ciekawi zatem, czy opozycyjnej prawicy i prezydentowi uda się po wakacjach nakręcić kolejną gównoburzę nad zapowiedzianym właśnie przez rząd zakazem używania przez dzieci w podstawówkach smartfonów: na lekcjach i na przerwach.

Wydaje się, że ten coraz powszechniej wprowadzany w liberalnych krajach (ale np. w Chinach też) standard trudno jest kwestionować. Po prostu nauka dziecka w szkole i włączony smartfon w jego rękach to dwie równoległe linie rzeczywistości. Albo, mniej górnołotnie: szkoła sprowadzona do wieloletniego, specjalistycznego szkolenia unikalnej cechy polegającej na ukradkowym skrołowanie sociali.

To problem naprawdę daleko mniej kontrowersyjny od wprowadzonego rok temu w Australii twardego zakazu korzystania z mediów społecznościowych przez dzieci do lat 16. Bo tu dopiero otwiera się pole do wielkiej dyskusji. Dyskusji o tym, jak zmiana technologiczna (internet + smartfon) przekłada się nie tylko na zmiany cywilizacyjne (interakcje w sieciach społecznościowych a nie w realu) ale wprost na biochemię i strukturę naszych mózgów (obrazkowość, przebudzowanie, itd). Tylko że jakby czas się na takie dyskusje powoli nam kończy. Bo ja – boomers, potrafię puścić na sociale szybką rolę z kotkiem, choć niekoniecznie będzie ona wiralem. A ilu młodych z pokolenia Z wysiedzi na wieczorku z poezją Pawlikowskiej, gdy każą wyłączyć smartfony?

Kiedy upadliśmy? Kiedy się zastanawiam, czy zaznaczyć, że to było pytanie retoryczne, a każdy inteligentniejszy żart w sieci opatrywany jest dopiskiem, że to ironia. Więc przynajmniej odpuśćmy sobie kłótnie o smartfony w szkołach. Dajmy naszym dzieciom szansę dowiedzenia się czegoś o świecie, zanim – jako gatunek – nieuchronnie nie zaczniemy wracać na drzewo.

Nie mówię, że to źle. Twierdzę tylko, że to będzie inne drzewo z innym homo – bo na pewno już nie sapiens.

Spodziewajcie się licznych zmian. Było ich dużo w pierwszym spotkaniu i w drugim też tak będzie. To są mecze sparingowe i kiedy, jeśli nie teraz, próbować różnych rzeczy i dawać szansę piłkarzom? W trakcie spotkania z Ukrainą przeprowadziliśmy dziewięć zmian. To normalne w takich meczach

SELEKCJONER PIŁKARSKIEJ REPREZENTACJI POLSKI JAN URBAN PRZED ŚRODOWYM MECZEM TOWARZYSKIM Z NIGERIĄ

KASK JUŻ OBOWIĄZKOWY. ALE JAK ZMUSIĆ DO ROZSĄDKU?

Wprowadzony właśnie obowiązek jazdy w kaskach na rowerach, hulajnogach i urządzeniach transportu osobistego dla dzieci do lat 16. to ulga dla ich rodziców i... chirurgów. Ale niektórzy przekonują, że skutek może być opłakany

Matylda Witkowska

Pan Mariusz, ojciec nastolatka spod Łodzi obowiązek jazdy w kasku przywitał z ulgą. - Widziałem na własne oczy, czym może skończyć się zderzenie dziecka na rowerze z samochodem. Syn sąsiada jechał drogą rowerową, nagle z posesji wyjechał inny sąsiad samochodem. Dzieciak go nie zauważył, uderzył głową w maskę auta tak, że kask mu pękł, a maska w aucie się wgniotła. Na szczęście ochrona głowy zadziałała. Młody był po wypadku trochę skołowany, ale nic mu się nie stało. Nie wiem, co by było, gdyby jechał bez tego kasku - wspomina.

Swojego syna od małego uczył jazdy w kasku. Do późnej podstawówki chłopiec był posłuszny, ale rok temu przestał jeździć w kasku, bo koledzy z klasy też nie używali kasków.

- Mam nadzieję, że dzięki przepisowi teraz będzie w końcu jeździł w kasku. A jeśli nie, to potracę mu mandat z kieszonkowego! - odgraża się ojciec.

Od 3 czerwca wszystkie dzieci do szesnastego roku życia kierujące rowerami, hulajnogami elektrycznymi i tzw. urządzeniami do transportu osobistego (np. segwayami czy elektrycznymi deskorolkami) mają obowiązek używania kasków ochronnych. Kaski muszą mieć też dzieci przewożone w fotelikach i w przyczepkach, chyba że konstrukcja sprzętu to uniemożliwia a ma on pasy. Nie jest jasne czy kaski muszą mieć maluchy do lat dziesięciu, bo według prawa traktowane są jak... piesi. Natomiast za brak kasku policja może nałożyć mandat karny w wysokości do 100 złotych, ale nie dostaną go dzieci, tylko rodzice lub opiekunowie.

Na razie wygląda na to, że rodzice się przejęli. W ostatnich dniach maja w łódzkich sklepach rowerowych pojawiło się sporo osób szukających dziecięcych kasków. Niestety, nie są one tanie. Przykładowo w Decathlonie najtańsze kaski dla dzieci można kupić za kilkadziesiąt złotych, najdroższe kosztują kilkaset. W sklepach rowerowych Exim Bike w Łodzi dziecięce kaski kosztują od stu kilkudziesięciu zł do ponad tysiąca. - Rodzice zwykle kupują te najtańsze, za około 200 złotych - słyszymy w jednym ze sklepów.

Wsparcie w wypełnianiu obowiązku zadeklarował Urząd Marszałkowski Województwa Łódzkiego, który chce zakupić 10 tysięcy dziecięcych kasków za kwotę szacowaną na 700 tysięcy złotych. Mają one trafić za pośrednictwem WORD do uczniów klas czwartych zdających egzaminy na kartę rowerową. Resztę rozda policja w ramach akcji edukacyjnych takich jak „Bezpieczna droga do szkoły”.

W pierwszych dniach obowiązywania nowych przepi-



Dzieci muszą już jeździć na rowerach i hulajnogach elektrycznych w kaskach ochronnych. Równie ważna jednak – jeżeli nie ważniejsza – jest skrupulatna edukacja związana z bezpieczeństwem ruchu drogowego

sów policjanci będą skupiali się na pouczeniach.

- Regulacje dotyczące obowiązków używania kasków przez osoby do szesnastego roku życia są nowym rozwiązaniem, funkcjonariusze w pierwszej kolejności będą prowadzić działania edukacyjne i profilaktyczne, mające na celu uświadamianie młodzieży oraz ich opiekunów o znaczeniu tych przepisów dla bezpieczeństwa - informuje mł. asp. Izabela Wypychowska z zespołu prasowego Komendy Wojewódzkiej Policji w Łodzi. - Jednocześnie w przypadkach rażącego lub uporczywego naruszania obowiązujących przepisów policja będzie kierować wnioskami i materiałami do właściwego sądu rodzinnego i nieletnich, który podejmie dalsze decyzje w sprawie - dodaje.

Teoretycznie policjanci widząc dziecko bez kasku powinni ustalić jego wiek i dane - na podstawie karty rowero-

wej, którą ma obowiązek mieć przy sobie - a później znaleźć kontakt do opiekunów i ewentualnie nałożyć na nich karę. Policja nie tłumaczy, jak to będzie wyglądać w praktyce.

Podkom. Maksymilian Jasiak z Komendy Miejskiej Policji w Łodzi zaznacza jednak, że zamiast zastanawiać się nad konsekwencjami prawnymi lepiej się skupić na konsekwencjach dla życia i zdrowia.

- Rowerzysta, podobnie jak pieszy to niechroniony uczestnik ruchu drogowego i w starciu z otoczonym karoserią ciężkim pojazdem nie ma szans. Dlatego dla własnego bezpieczeństwa lepiej ten kask założyć - zaznacza. Podkreśla, że policjanci sami dają dobry przykład - funkcjonariusze jeżdżący w patrolach rowerowych obowiązkowo noszą kaski.

Stanowisko policji potwierdzają raporty, bo młodzi ludzie na rowerach i hulajnogach ulegają wypadkom. Tylko w tym

roku do połowy maja - a sezon dopiero się zaczyna - w województwie łódzkim doszło do 33 zdarzeń drogowych z udziałem nieletnich na hulajnogach elektrycznych i 32 zdarzeń z udziałem młodocianych rowerzystów.

Dane nie obejmują jeszcze dwóch ostatnich tragicznych wypadków z Kutna. 25 maja jadący na hulajnodze 15-latek zderzył się z również jadącym hulajnogą 52-latką. Chłopiec miał na głowie kask, nie odniósł większych obrażeń, ale starszy mężczyzna nie miał ochrony, co skończyło się dla niego tragicznie - uderzył głową w metalowy słup i zmarł w szpitalu. Kilka dni później - również w wyniku obrażeń mózgu - zmarł 62-latek, który 25 maja zderzył się z jadącymi na jednej hulajnodze dwiema nastolatkami.

Takie wypadki do tej pory były rzadkością. Według danych Polskiego Obserwatorium

Bezpieczeństwa w Ruchu Drogowym w regionie łódzkim w roku 2025 na hulajnodze nie zginął nikt (w całym kraju jedenaście osób), a na rowerach śmierć poniosło dwanaście osób (w całym kraju 157). Ale różnego rodzaju obrażenia głowy wśród użytkowników jednośladów są bardzo częste. Wśród ofiar wypadków ma je od 18 do 41 proc. jeżdżących na e-hulajnogach, 20-24 proc. rowerzystów i 35 proc. ofiar poruszających się na rowerach elektrycznych. Jednocześnie używanie kasku może realnie pomóc - u rowerzystów zmniejsza śmiertelne obrażenia głowy o 71 proc, zaś u użytkowników hulajnóg wszystkich obrażeń głowy jest o 44 proc. mniej.

- Brutalna prawda jest taka, że w mieście około 90 proc. powierzchni jest twardych - mówi Adam Stępka, ratownik medyczny z Łodzi. Podkreśla, że nasz mózg jest bardzo wrażliwy

na urazy i każdy uraz czaszkowo-mózgowy to granie z życiem i śmiercią. - Już uczestnik ruchu poruszający się jednośladem z prędkością 20-30 km/h, gdy dojdzie do wypadku może doznać krwotoku wewnątrzczaszkowego, który zagraża życiu - podkreśla Adam Stępka.

Jednocześnie ratownik zwraca uwagę, że obowiązkowe kaski to tylko jeden czynnik mający wpływ na urazy, bo wzmacnia je też prędkość.

- Powinniśmy dopilnować, by część użytkowników jednośladów nie zdejmowała z nich blokad prędkości - mówi.

Tym torem myślenia idą rowerzyści. Uważają oni, że pomysł obowiązkowych kasków dla młodych rowerzystów jest efektem... rosnącej liczby użytkowników dużo bardziej niebezpiecznych hulajnóg elektrycznych. Z danych Polskiej Federacji Rowerowej wynika, że ryzyko wypadku na mającej małe kółka i duże przyspieszenie elektrycznej hulajnodze jest niemal dwadzieścia razy większe niż na zwykłym rowerze. Jednocześnie w ostatnich latach - także z powodu rozwoju infrastruktury - spada liczba zdarzeń drogowych z udziałem rowerzystów.

- Musimy rozróżnić dwie rzeczy: to, czy warto mieć kask na głowie i to, czy państwo powinno zabraniać dzieciom i młodzieży jazdy na rowerze bez kasku i karać za to mandatami - podkreśla Andrzej Janowski, członek zarządu Polskiej Federacji Rowerowej. - My uważamy, że karanie za jazdę na rowerze bez kasku to krok za daleko. Państwo powinno zachęcać do jazdy na rowerze, bo korzyści są bardzo duże. Natomiast obowiązek jazdy w kasku i karanie za jego brak może zniechęcać użytkowników. Tak niestety się stało w nielicznych krajach, które takie obowiązki wprowadziły - zaznacza.

Federacja podkreśla, że zakup kasku to spory koszt, a w przypadku dzieci taki sprzęt powinien być wymieniany mniej więcej co trzy lata. To może wykluczyć część dzieci z rowerowej aktywności. Z danych PFR wynika, że w Australii po wprowadzeniu obowiązkowej jazdy w kasku w ciągu roku prawie połowa 12-17-latków zrezygnowała z jazdy na rowerze. Dlatego zdaniem federacji lepszym rozwiązaniem - przynajmniej dla samych rowerzystów - jest zachęcanie do jazdy w kaskach i walka raczej o zmniejszenie liczby wypadków przez poprawę infrastruktury rowerowej czy lepszą edukację o ruchu drogowym.

Istotne są też aspekty praktyczne. Andrzej Janowski podkreśla też, że stworzony został przepis trudny do wyegzekwowania i jednocześnie niepotrzebnie angażujący siły policji.

- Policja w naszym kraju ma ważniejsze zadania niż bieganie za dziećmi, które jadą do szkoły bez kasku - podkreśla.

FOT. GRZEGORZ GALASINSKI

Słuchajcie, mam taką teorię - gdyby jutro na dobre wyłączyli internet, prąd i zamknęli wszystkie sklepy, najlepiej z tą apokalipsą poradziłoby sobie pokolenie X. No bo kto inny? Zetki bez technologii mogłyby być bardzo zagubione. Większość mileniśców też miałaby problem ze zbudowaniem szafasu bez instrukcji na YouTube. Boomersi skrzyknęliby się w grupę i dzielnie znosili trudne warunki. Ale prawdziwymi mistrzami przetrwania i jedyną szansą ludzkości na odbudowę cywilizacji byłoby pokolenie X. Oni są jak MacGyver. Ze spinacza i gumy do żucia zbudują wynalazki ratujące życie" - zaczyna swój felieton Anna Szlęzak, psycho-terapeutka. I dodaje, że „pokolenie X to ludzie, którzy przetrwali stan wojenny, hiperinflację, trzy bańki spekulacyjne i przejście z faksu na Slacka. To psychologiczny ultramaraton, który od czterdziestu lat nie pozwala im zwolnić, odpocząć i poczuć się w pełni bezpiecznie”.

Pokolenie X to ludzie urodzeni w latach 1965-1980. Rozbieżność niby duża, bo jedni to już dziadkowie, inni wciąż wychowują własne dzieci, ale pewne cechy mają wspólne. Twardzi musieli być od dzieciństwa.

Z kluczem na szyi

Wojtek, rocznik 71., informatyk. Dorastał na Śląsku, rodzice przyjechali tu w poszukiwaniu pracy i lepszej przyszłości. Jakie ma pierwsze skojarzenie z dzieciństwa? Klucz na szyi i młodszy brat uwieszony u nogi.

- W sumie to miałem fajne dzieciństwo! - tak zaczyna.

Rodzice pracowali na poranne zmiany, od godz. 7.00 do 15.00, ale jakąś godzinę zajmował im powrót do domu. Rano mama zaprowadzała Adama, młodszego brata, do przedszkola, on do szkoły maszerował sam. Z kluczem na szyi, jak większość kolegów i koleżanek z klasy. W szkole jadł obiady, drugie śniadanie przynosił ze sobą.

- Wracałem do domu i czekałem na brata, przyprowadzała go zaprzyjaźniona sąsiadka, która chodziła do przedszkola po swoją córkę. Nie pracowała, mąż był górnikiem, więc mogła sobie na to pozwolić. Po przyjściu Adama robiłem nam kanapki, potem odrabiałem lekcje, a brat się bawił - wspomina.

Dość szybko pojął, ale i Adam też, że im sprawniej działają, tym więcej czasu spędzą z kolegami. Nauczył się kroić chleb, kłaść na niego co tam było w lodówce. Odrabiał lekcje starannie, ale co chwila zerkał na zegarek. Adam wiedział, że nie ma co marudzić i przeskadać, bo wtedy be-

W dzieciństwie nosili klucz na szyi i nauczyli się, że najlepiej liczyć na siebie. Przetrwali stan wojenny, hiperinflację, transformację, trzy bańki spekulacyjne i rewolucję technologiczną. Dzisiaj to oni wciąż napędzają światową gospodarkę, chociaż dla tego świata stali się „niewidzialni”

Dorota Kowalska



Wszystko, przez co przeszli w zawodowym życiu, sprawia, że lksy często zostają w pracy po godzinach, są przemęczeni

POKOLENIE X. TWARDZIELE, O KTÓRYCH TROCHE ZAPOMNIAŁ ŚWIAT

dzie siedział w domu, więc jak to mówi Wojtek, „młody współpracował”.

- Rodzice z pracy zawsze wracali zmęczeni. Pytali, jak tam w szkole, czy odrabiałem lekcje, czy nie jesteśmy głodni, Adama, co było na obiad w przedszkolu - wspomina.

Odpowiedzi szły z automatu: „W szkole dobrze”, „Tak, odrabiałem lekcje”, „Nie, nie jesteśmy głodni. Zrobiłem kanapki”. Adam potakiwał i dodawał, że obiad w przedszkolu był smaczny, z nikim

się nie pobił i pani go pochwałała. Po tym błyskawicznym zdaniu relacji z dnia następowo było rytualne: „To możemy iść na dwór?”.

- I mama zazwyczaj kiwała potakująco głową. Dzisiaj myślę, że była w tym potakiwaniu także ulga, rodzice mogli wreszcie odpocząć - śmieje się Wojtek.

Na podwórku koledzy czekali na nich już od godziny 15. Była gra w piłkę na pobliskim boisku, czyli wykoszzonej polanie, wrotki, które on dostał na

gwiazdkę jako pierwszy na osiedlu, był trzepak, zabawy w chowanego. Adam był z nim albo ze swoimi kolegami. Wszyscy trzymali się razem. Do domu musieli wrócić do godziny 19.

- Wiedziałem, że muszę radzić sobie sam. Nie było telefonów, nie było Google'a. Jak coś się stało, mogłem co najwyżej pobiec do sąsiadki. Nie widziałem w tym żadnego heroizmu, wszyscy moi koledzy tak funkcjonowali - wzrusza ramionami Wojtek.

Rodzice, owszem, byli obok, troszczyli się, kochali, ale nie było wylewności, okazania uczuć, przytulania. Uczyli go samodzielności, a właściwie samodzielności uczyło go życie. Tata pokazywał mu, jak dbać o wrotki, jak nasmarować łańcuch w rowerze, nawet dziurę w piłce sami zakleili łątą. Długo nią już nie pograł, ale starczyło na jakiś czas.

Jako dorosły mężczyzna trzy razy wyremontował mieszkanie, naprawia w domu

wszystkie sprzęty, do fachowców dzwoni tylko wtedy, kiedy wie, że z problemem sobie nie poradzi. Inni jego znajomi też tak mają.

- Mówiąc szczerze, z rozrównaniem wspominam tamte czasy. Było trudniej, biedniej, ale dorastaliśmy razem, w grupie. Nie było komputerów, musieliśmy sami wymyślać zabawy, organizować sobie czas - mówi.

Tak, czuje się przez to twardszy, odporniejszy, bardziej zaradny, chociaż pewnie z dzisiejszej perspektywy ktoś powiedziałby, że był dzieckiem niezaopiekowanym. Nie odbiera tak tego. Takie były czasy, tak funkcjonowała większość dzieciaków w jego dzielnicy. No chyba że ktoś miał blisko dziadków, ale zazwyczaj jeździło się do nich na wakacje. Rodzice kolegów, tak jak jego, przyjechali na Śląsk, nie mieli tu rodziny. Musieli sobie radzić bez jej wsparcia, ich dzieci - czyli oni - także. Więc zawsze było przedszkole, potem szkoła i najlepiej studia. Rodzice cały czas im powtarzali, że mają się uczyć, bo jak się już wykształca, czeka na nich praca, a jak będą pracować, z czasem kupią pierwsze mieszkanie, samochód, pojedą na wakacje.

- W czasach mojego dzieciństwa świat wydawał się uporządkowany. Wszyscy mieli po tyle samo, raczej mało niż dużo, ścieżka życiowa też wydawała się jasno określona - opowiada Wojtek. Skończył szkołę, potem studia, i ani jednego dnia nie przepracował w wyuczonym zawodzie.

Nowe czasy, nowe wyzwania

„Pokolenie X nie miało łatwego w życiu, i to nie tylko ze względu na wymagające dzieciństwo. Świat na wejściu obiecał względną stabilność i przewidywalność tylko po to, żeby potem ci ludzie musieli patrzeć, jak co kilkanaście lat kompletnie staje na głowie. Od dziecka słyszeli, że jeśli będą ciężko pracować i trzymać się zasad, to wszystko się ułoży. A potem zasady zmieniły się na ich oczach praktycznie co chwilę” - mówi Anna Szlęzak. I dodaje, że „kiedy lksy wchodziły na rynek pracy, w Polsce skończył się komunizm i rozpoczął trudny okres transformacji. Z jednej strony oznaczało to nowe możliwości, z drugiej niepewność zatrudnienia, drastyczne reformy i ogromne bezrobocie. Na oczach lksów walił się stary porządek i w nieznalym chaosie rodził się nowy”.

No tak, dość szybko okazało się, że trzeba się przebrnąć albo w ogóle szukać pracy w zupełnie innym niż wyuczonym zawodzie. Do tego, kiedy już wydało się, że lksy oparowały rzeczywistość, pojawiły się komputery, internet

- i znowu musieli się w tym wszystkim odnaleźć.

Anna, rocznik 67. Skończyła studia, ale jakoś nie wyobrażała sobie pracy w szkole, a mogła w niej uczyć języka polskiego. Dużo dzieci, hałas, pensja taka sobie. Chciała pisać. To był świetny czas dla dziennikarstwa, otwierały się nowe redakcje: szukano młodych, zdolnych, pełnych pasji. Poszła do jednej z nich. Redaktor naczelny kazał jej napisać dwa teksty, to zobacz, czy się nadaje.

- Napisałam, przyniosłam. Pozwolono mi zostać miesiąc na okresie próbnym. Po tym czasie dostałam umowę; na początku płacono mi za ilość napisanych artykułów, ale pisałam ich tak dużo, że w pewnym momencie szefostwo doszło chyba do wniosku, że taniej będzie, jak dadzą mi umowę o pracę - wybucha śmiechem.

Bo pracowała, wszyscy tak pracowali, jak opętana. Od rana do późnej nocy. Spotkali się w redakcji około godz. 8.00, szef rozdzielał tematy, wcześniej poranny dyżurant obdzwaniał policję, straż pożarną, urzędy, żeby zorientować się, co się dzieje w regionie. Nie było internetu, nie było całodobowej telewizji. Każdy temat trzeba było wyszarpać, wychodzić. Po kolegium jechali w teren. Potem wracali do redakcji, pisali tekst i gadali godzinami przy kawie.

Wychodzili z redakcji około 22.00. Szaleństwo! Nie dlatego, że musieli. Chcieli. Szybko wciągnęła ją ta robota: wyjazdy, rozmowy z ludźmi i tekst podpisany jej nazwiskiem. Miała poczucie misji? Wzrusza ramionami.

- Nie wiem, po prostu lubiłam to, co robię. I miałam wrażenie, że to coś ważnego. Wtedy gazety sprzedawały się w setkach tysięcy egzemplarzy, ludzie nas czytali, pisali do nas - tak odpowiada. - To był dziwny czas, trudny, ale też dający wiele możliwości. Z mojej klasy z liceum wszyscy poszli na studia. Potem w większości próbowali się odnaleźć w nowej rzeczywistości, bo wchodziliśmy na rynek pracy w czasach transformacji - opowiada.

Spogląda na klasowe zdjęcie z liceum. Ewa skończyła romanistkę, pojechała do Paryża, zrobiła tam studia podyplomowe, wróciła do Polski i natychmiast dostała pracę we francuskim koncernie, który wchodził właśnie na rynek Europy Środkowej i Wschodniej. Ona też pracowała od rana do późnej nocy.

Marek - mieli w liceum rozszerzony język francuski, od szkoły podstawowej uczyli się języka rosyjskiego; też załapał się w jakiejś zachodniej korporacji. Ela, jak tylko było można, wyjechała do Anglii. Monika uczy w szkole, Aska kilka lat

po studiach otworzyła własny biznes. Każdy jakoś sobie poradził.

Kuba - pokazuje na zdjęciu chłopaka z bujną czupryną - w pewnym momencie się przebranżowił. Zawsze był dobry z przedmiotów ścisłych. Zaczynał jako nauczyciel matematyki, dzisiaj prowadzi firmę informatyczną. Tak, musieli się cały czas uczyć, dostosowywać do zmian, a świat pędził w zaskakującym tempie.

- Kiedy zaczynałam, pracowaliśmy na starych Macintoshach, a kierowca woził co wieczór do drukarni makiety stron - wybucha śmiechem. - Dzisiaj wszystko jest zautomatyzowane, większość dziennikarzy pracuje z domów i łączy się z redakcją na Teamsach - dodaje.

Brakuje jej tamtych redakcji? Tamtej atmosfery? Na pewno tak.

Nastawieni na pracę

Wszystko, przez co przeszli w zawodowym życiu - transformację, prawdziwy skok technologiczny - sprawia, że Ikсы często zostają w pracy po godzinach, wielu z nich to pracoholicy; potwierdzają to zresztą badania. Blisko co trzeci badany Polak deklaruje, że pracuje więcej niż 40 godzin tygodniowo - wynika z raportu „Polki i przedsiębiorczość 2024: Dynamika czasu pracy”. Wśród przedsiębiorczyń ten odsetek wynosi z kolei aż 42 proc. Najwięcej pracują osoby z pokolenia X - aż 43 proc. z nich ponad 40 godzin tygodniowo.

Przedstawiciele pokolenia X często spędzają w jednej firmie wiele lat i mocno się z nią identyfikują. Uważają też, że samo miejsce pracy czy zawód, który wykonują, jeśli te cieszą się wystarczającym szacunkiem, są już swego rodzaju nagrodą, dla której można czasami pocierpieć: zostać dłużej w pracy, przemiłować brak podwyżki czy premii, machnąć ręką na fanaberie szefa. Ikсы są odpowiedzialne, efektywne i lojalne wobec pracodawcy.

Cenią sobie stabilizację, ważna jest również dla nich godziwa pensja. Utrzymują rodziny, często pomagają też rodzicom albo dorosłym już dzieciom. Także z tego powodu cenią sobie przewidywalność. Dla nich zmiana pracy to ostateczność - kojarzy im się wyłączenie ze stresu, brakiem stabilności. Więc, mówiąc szczerze, harują jak woły, żeby było „po staremu”, żeby nic się nie zmieniło.

„Być może trochę licząc na to, że uchroni ich to przed kolejną katastrofą albo przynajmniej pozwoli odłożyć wystarczająco dużo pieniędzy, żeby przetrwać kolejny kryzys. Życie nauczyło ich, że zawsze muszą być przygotowani na najgorsze i że nieważne, jak bardzo dążą do stabilności,

świat i tak pewnie znowu zrobi im jakiegoś bolesnego psikusa, nawet kiedy mają nadzieję na coś dobrego. No i tak przygotowują się na wszystko, co może pójść nie tak” - mówi w swoim felietonie Anna Szlęzak.

I często idzie nie tak. Pokolenie X według danych GUS stanowi dziś 36,5 procent wszystkich pracujących w Polsce. To oni zarządzają zespołami i utrzymują ciągłość biznesową, często uchodzą za ekspertów w swoich dziedzinach. Mimo to w wielu firmach osoby między 45. a 59. rokiem życia są „niewidzialne”, Ikсы rzadziej chociażby uczestniczą w szkoleniach niż przedstawiciele innych pokoleń. Firmy wychodzą z założenia, że pracownik w tym wieku „już zrobił swoje”, więc przestają w niego inwestować.

Dane Eurostatu są jednoznaczne: Polska szybciej niż średnia unijna traci dojrzałych pracowników. Nie dlatego, że ci chcą odchodzić, ale dlatego, że systemowo są wypychani z rynku pracy.

Powód? Wszechobecne stereotypy na temat Ikсов. Chociażby ten, że to pokolenie

Przedstawicielom pokolenia X zarzuca się także wypalenie zawodowe. Tyle tylko, że cierpią na nie również przedstawiciele dużo młodszych pokoleń.

Niewidzialni dla świata

Nie tylko w pracy Ikсы stają się „niewidzialne”. Przedstawiciele generacji X, a więc współcześni czterdziestolatkowie i pięćdziesięciolatkowie, to najbardziej bogata grupa klientów. Firmy skupiają się jednak głównie na generacji Z. Zdaniem analityków z agencji mediowej Wavemaker wszystko za sprawą błędnego postrzegania Ikсов. Analitycy postanowili przyjrzeć się problemowi: przeprowadzili własne ankiety i wywiady, przeanalizowali istniejące badania. Łącznie przebadano prawie 200 tysięcy przedstawicieli pokolenia X z całego świata. Swoje spostrzeżenia eksperci opublikowali w raporcie: „Finding the Gen X Factor. Confronting marketing mishaps and bias to over-45s in social”.

Do jakich doszli wniosków? Osoby należące do generacji X reprezentują 31 procent globalnej populacji. Jeżeli jednak chodzi o badania rynkowe,

IKSY MAJĄ DOŚĆ. ŻYJĄ TROCHĘ W ROZKROKU MIĘDZY POKOLENIEM SWOICH RODZICÓW I DZIECI. ZMĘCZENI, PRZECIĄŻENI, CZĘSTO WYPALENI

analogowe. To prawda, ale szybko uczy się cyfrowych rozwiązań.

Dane OECD wskazują, że luka kompetencyjna między nimi a przedstawicielami młodszych generacji jest coraz mniejsza. I wcale nie jest tak, że Ikсы nie lubią zmian. Nowego boją się wszyscy albo prawie wszyscy. Są za to przyzwyczajeni do tego, że w życiu trzeba sobie radzić, sporo przeżyli, więc szybko adoptują się do nowych sytuacji.

Pokolenie X wie, jak działa Facebook, ogląda YouTube'a, jest na WhatsAppie, ale korzysta z nich i możliwości, jakie niesie rozwój nowych technologii, kiedy tego potrzebuje. Robi zakupy przez internet, płaci przez niego rachunki, ale nie daje się wciągnąć przez wirtualny świat.

I wcale nie jest tak, że przedstawiciele pokolenia X nie potrafią pracować w zespołach, bo to kolejny mit na ich temat; ich niezależność nie wynika z braku ducha współpracy. Badania Deloitte nad współpracą międzypokoleniową pokazują, że różnorodność doświadczeń sprzyja efektywności zespołów, a pokolenie X często naturalnie pełni rolę pomostu między stylami pracy młodszych i starszych pracowników.

grupa ta jest mocno niedoreprezentowana i w raportach stanowi jedynie cztery procent respondentów. Firmy z różnych branż z jakiegoś powodu straciły zainteresowanie pokoleniem X. Dlaczego? Zdaniem autorów raportu, twórcy marek i reklamodawcy nie doceniają kompetencji Ikсов w kwestii użycia takich nowszych platform społecznościowych, jak TikTok czy Snapchat, uważają, że ci nie korzystają z mediów społecznościowych tak samo jak młodsze pokolenia. Nic bardziej mylnego! Okazuje się, że aż 92 procent przedstawicieli generacji X korzysta z social mediów każdego dnia. Co ważne, korzysta z nich bardziej świadomie niż pokolenie Z.

Ikсы reprezentują prawie jedną trzecią użytkowników TikToka, są też najszybciej rosnącą grupą osób korzystających z tej platformy. Tymczasem, jak wynika z analiz ekspertów z Wavemakera, zaledwie pięć procent marek tworzy swoje kampanie reklamowe z udziałem influencerów, skierowanych do klientów z tego pokolenia. Z ankiet i wywiadów, które przeprowadzono z osobami należącymi do pokolenia X, wynika, że jedynie 13 procent z nich ma poczucie,

że są adresatami reklam w mediach społecznościowych.

W kanapce

Ci twardziele, o których trochę zapomnieli świat, nigdy nie mieli w życiu lekko i wygląda na to, że to się nie zmieni.

„Z jednej strony albo własnie wychowują dzieci, albo nadal pomagają swoim niby dorosłym, ale wciąż nieustabilizowanym pociechom z pokolenia milenialsów czy zetek. A z drugiej strony muszą się już opiekować swoimi nieuchronnie starzejącymi się rodzicami. Wciśnięci jak ser w kanapce między dwa inne pokolenia, które potrzebują ich wsparcia. Ikсы dają z siebie wszystko, ale są też coraz bardziej przeciążone. A jeśli dodać do tego ich charakterystyczną postawę Zosi Samosi, nieumiejętność przyjmowania wsparcia, to ich sytuacja robi się naprawdę poważna” - mówi psychoterapeutka Anna Szlęzak. I dodaje, „że Ikсы są trochę jak ten pies z mema siedzący w płonącym pokoju i powtarzający, że wszystko jest w porządku”.

Agnieszka, rocznik 76. Trzy lata temu kupili z dziećmi dom. Rodzina to ich córka Gosia, jej mąż i dwoje małych wnuków. Zajmują górne piętro, oni mieszkają na parterze.

- Wciąż pracuję zawodowo, mąż też. Kiedy wracamy do domu, wnuki już na nas czekają. Widzą nasz samochód przez okno i momentalnie są na dole - opowiada. Pewnie, że się cieszy. Za Anielę i Antosia dałaby się pokroić. Ale, umówmy się, czasami czuje się zmęczona.

- Zostajemy często z wnukami, jak młodzi wychodzą. Bierzymy je ze sobą na wakacje. Są jeszcze małe, trzeba się naprawdę sprężyć, żeby za nimi nadążyć - przyznaje. Czasami mówi: dość. Wyjeżdżają z mężem na weekend albo po prostu udają, że ich nie ma.

- Oprócz pracy, własnego domu, domu córki mam też tatę na głowie - mówi.

Tata mieszka sam 20 kilometrów od nich. Jeździ do niego raz w tygodniu, najczęściej w soboty rano. Sprząta mu mieszkanie i gotuje na cały tydzień.

- On sam co najwyżej zrobi herbatę, usmaży jajecznicę, przygotuje sobie kanapkę. Zawsze to mama gotowała i sprzątała, więc kiedy odeszła, nagle okazało się, że muszę ją zastąpić - wzdycha. Proponowała tacie zatrudnienie jakieś kobiety do pomocy. Nie zgodził się. „Sam sobie poradzę” - usłyszała. Wiadomo, że sobie nie poradzi.

Musi też ojca wozić na wizyty do lekarzy, sprawdzać, czy przyjmuje lekarstwa, czy robił wszystkie opłaty. Jednak nie skarży się.

Magda, koleżanka, jeździ do rodziców co dwa tygodnie, 130 kilometrów w jedną stronę. Żyją oboje, ale są już dobrze po osiemdziesiątce. Nagotuje, opierze, posprząta i wraca. Waldek wziął matkę do siebie - ma duży dom, wygospodarował dla niej pokój. Podobnie zrobiła Marta ze swoim tatą.

„The Economist” pisze tak: „Mają na głowie coraz starszych rodziców i własne dzieci. Nie zrobili zawrotnej kariery. Często nie dorobili się nawet własnego domu, nie wspominając o okazałym majątku. Są coraz starsi, zaczynają podupadać na zdrowiu, a wiele wskazuje na to, że poczną początek upadku systemu emerytalnego na własnej skórze. Oto pokolenie X - najbardziej zapomnianych i rozczarowanych życiowo osób. Ostatnie badanie przeprowadzone przez Ipsos w 30 krajach pokazuje, że 31 proc. pokolenia X twierdzi, że jest „niezbyt szczęśliwe” lub „w ogóle nie jest szczęśliwe”, co stanowi najwyższy odsetek spośród wszystkich pokoleń. David Blanchflower z Dartmouth College odkrył, że wszelkiego rodzaju negatywne emocje - od nieszczęścia, przez niepokój, po rozpacz - osiągał szczyt w wieku około 50 lat.

Ikсы mają dość. Żyją trochę w rozkroku między pokoleniem swoich rodziców i dzieci. Zmęczeni, przeciążeni, często wypaleni. I świadomi, że właściwie nie mają wyjścia. Nie proszą o pomoc, bo życie ich nauczyło, że najlepiej liczyć na siebie.

Z drugiej strony, coraz częściej - o czym pisze „The Economist” - zastanawiają się, czy było warto tak ciężko pracować, tak bardzo się poświęcać, tak przeć do przodu. Bo co właściwie dzisiaj z tego mają? Ale nawet jeśli czasami przyjdzie im do głowy taka myśl, szybko machają ręką i biegną dalej: bo urodziny wnuka, bo lekarz mamy, bo roczne sprawozdanie w pracy. Nie ma się co mazać - trzeba się wziąć w garść, bo „jak nie my, to kto?”.

Anna Szlęzak mówi tak: „Prawdziwe wzięcie się w garść to odwaga, żeby w końcu przestać być MacGyverem dla całego świata i stać się nim dla samego siebie. To moment, w którym patrzysz w lustro i przyznajesz: »Tak, ten silnik w mojej głowie zgrzyta, ale nie muszę już dłużej udawać, że wszystko jest w porządku tylko dlatego, że inni na mnie polegają«. Potraficie reanimować martwy akumulator na mrozie, ogarnąć Excela i zarządzać chaosem w domu, jakbyście byli dowódcami jednostki specjalnej. Macie tę legendarną sprawczość niemal wdrukowaną w swoje DNA, więc może czas w końcu przekierować ją także na siebie”.

Leon, Zosia, Marysia, Maciek to mali pacjenci wrocławskiego Przylądka Nadziei, którzy każdego dnia walczą z rakiem. Dzięki akcji Łatwoganga ta nierówna walka jest nieco łatwiejsza. Udało się zamknąć zbiórki, które dla dzieci i ich rodzin zorganizowała fundacja Cancer Fighter. Rodzice chorych maluchów nie muszą się już bać, że zabraknie pieniędzy na dojazdy do szpitala, jedzenie, leki. Oto ich historie.

Monika Fajge

JAK BĘDZIE TRZEBA, SPRZEDAMY DOM

Ponad 280 mln złotych - tyle pieniędzy wpłynęło na konto fundacji Cancer Fighters, która pomaga chorym na nowotwory dzieciom i ich rodzinom. Akcja zorganizowana przez młodego youtubera (Łatwoganga) porwała do działania miliony Polaków. Kolejny raz udowodniliśmy, że potrafimy pomagać.

- Dziękuję wszystkim, zarówno tym, którzy dali 5 milionów, jak i tym, co dali 5 złotych. Bo każda kwota wpłacona na zbiórkę, nawet ta najmniejsza, zrobiła różnicę - mówił w rozmowie z Gazetą Wrocławska, tuż po zakończeniu akcji, prof. dr hab. n. med. Krzysztof Kałwak, szef Kliniki Transplantacji Szpiku, Onkologii i Hematologii Dziecięcej (znanej jako Przylądek Nadziei) Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego we Wrocławiu.

Kilka tygodni później fundacja rozdysponowała pierwsze pieniądze. „Wsparliśmy już 115 podopiecznych, a łączna kwota przekazanej im pomocy wynosi 9 215 430 złotych. Za każdą z tych liczb stoi człowiek, rodzina i historia walki o zdrowie” - poinformowała Cancer Fighters.

„Jak będzie trzeba, sprzedamy dom”

- Próbowaliśmy zdiagnozować Leosia odkąd skończył 4 miesiące. Na jego małych rączkach i nóżkach pojawiały się krostki. Dostał leki przeciwalergiczne, potem sterydy. Mijały miesiące, nic nie pomagało, wysypka ciągle wracała. Dopiero kiedy synek skończył rok zrobiono mu szczegółowe badania. Okazało się, że ma bardzo mało płytek krwi, ale w szpitalu ich poziom urósł, lekarze stwierdzili, że to pewnie jakaś infekcja - opowiada w rozmowie z Gazetą Wrocławska pani Sylwia, mama 4-latka.

Razem z mężem mieszkała wtedy w Wielkiej Brytanii, oboje ciężko pracowali, oszczęd-



Pieniądze od darczyńców pomogły też rodzinie 5-letniej Maszy. Dziewczynka choruje na ostrą białaczkę limfoblastyczną. Przyjechała do Wrocławia z Ukrainy z rodzicami

dali na dom, który budowali w Polsce.

Chłopiec trafił pod opiekę poradni hematologiczno-onkologicznej w Anglii, jego rodzice konsultowali się też ze specjalistami w Polsce. Wszyscy mówili jednym głosem: „Leon z tego wyrośnie”. Ale nie wyrósł. Życie rodziny wywróciło się do góry nogami 15 sierpnia 2025 roku. Wtedy lekarze postawili diagnozę: Leon choruje na ostrą białaczkę szpikową o podłożu genetycznym. Kilka miesięcy wcześniej pani Sylwia z dziećmi (pojawiał się też młodszy brat Leona - Tymon) wróciła do Polski. Mąż został w Wielkiej Brytanii, żeby jeszcze trochę zarobić.

- Kiedy dowiedział się o chorobie Leona, rzucił wszystko i przyjechał do Polski. Jesteśmy sami, musiał zająć się Tymkiem, synek niedługo skończy 2 lata. Żyjemy na dwa domy: mąż pod Oleśnicą, ja w szpitalu z Leonem. Zmieniamy się w weekendy. Mąż powiedział: „Jak będzie trzeba, sprzedamy dom”. Długo na niego pracowaliśmy, mieliśmy w nim żyć długo i szczęśliwie, ale nowa rzeczywistość generuje ogromne koszty - tłumaczy pani Sylwia.

Na szczęście, nie było takiej potrzeby. Z pomocą przyszła fundacja Cancer Fighters, która założyła dla rodziny zbiórkę pieniędzy. Dzięki akcji Łatwoganga „skarbonkę” udało się szybko zapłacić.

- Jesteśmy za te pieniądze ogromnie wdzięczni. To dla nas wielkie wsparcie, bo wszystko kosztuje. Kursowanie autem do szpitala we Wrocławiu, kosztują posiłki, które gotuje Leonowi w szpitalu (bo nie smakuje mu szpitalne jedzenie), ja też muszę coś jeść. Niemal kosztują nowe, bawełniane piżamy dla Leona, skarpetki, majtki, szklane bidony. Same sypory, które synek musi przyjmować (starczają na tydzień) kosztują kilkaset złotych. Staraliśmy się oszczędzać, starannie ważymy każdą wydaną złotówkę. Bez pieniędzy ze zbiórki byłby

strach, na pewno byłoby nam ciężko - dodaje mama Leona.

Chłopiec w sierpniu będzie świętował 5. urodziny. Ma za sobą drugi przeszczep szpiku.

- Pierwszy był od braciszka, ale organizm Leona od razu się poddał, po miesiącu była wznowa. Mamy nadzieję, że tym razem będzie dobrze. Synek jest w dobrej kondycji. Ale... nie potrafię się cieszyć, boje się... po prostu.

Uciekli przed wojną, w Polsce toczą walkę o życie córeczki

Pieniądze od darczyńców pomogły też rodzinie 5-letniej Maszy (Marysi). Dziewczynka choruje na ostrą białaczkę limfoblastyczną. Jej rodzice przyjechali do Wrocławia z Ukrainy.

- Córeczka jest dzieckiem w spektrum autyzmu, nie mówię



- Żyjemy na dwa domy: mąż pod Oleśnicą, ja w szpitalu z Leonem - mówi pani Sylwia

za dobrze, komunikacja bywa sporym problemem. Masza coraz gorzej znosiła wybuchy, bardzo się denerwowała, płakała, jej stan się pogarszał. Lekarz powiedział, że dla jej dobra musimy wyjechać. Tak zrobiliśmy - opowiada pani Lena.

Ona sama jest osobą z orzeczeniem niepełnosprawności, ma protezę nogi. Kończynę straciła w wypadku. Liczyła, że w Polsce rozpoczną nowe, lepsze życie, tymczasem jej świat się zawalił.

- To był szok, oboje z mężem płakaliśmy. Byliśmy przerażeni, bo mieszkaliśmy we Wrocławiu od kilku miesięcy, nie znaliśmy ludzi, języka, nie wiedzieliśmy, co będzie. Mąż ma pracę, układa kostkę brukową, ale ja nie pracuję. Zanim Masza zachorowała, udało się znaleźć dla niej miejsce w przedszkolu, a ja zaczęłam rozglądać się za jakimś zajęciem, ale diagnoza wszystko przerwała - przyznaje pani Lena.

Marysia przyjmuje chemię i sterydy. Znosi to dzielnie. Rodzice przywożą ją do Przylądka Nadziei raz w tygodniu.

- Nie mieliśmy pojęcia, że możemy poprosić o pieniądze. O zbiórce dowiedzieliśmy się

od pań z fundacji Cancer Fighters. Byłam przeszczęśliwa i bardzo dziękuję za każdą złotówkę, bo to dla nas niewyobrażalne wsparcie. Córcia przyjmuje dużo leków, nie wszystkie są darmowe. Mamy na dojazdy do szpitala, jedzenie. Wierzę, że będzie dobrze. Musi być - podkreśla pani Lena.

Nie łatwo prosić o pieniądze, ale czasem nie ma wyboru

Pod skrzydła Cancer Fighters trafiła też 5-letnia Zosia. „To mała wojowniczką” - mówi o córeczce pani Agnieszka. U dziewczynki zdiagnozowano Guza Wilmsa (inaczej nerczak zarodkowy, nephroblastoma), to najczęstszy nowotwór złośliwy nerek występujący u dzieci.

- Zosię bolał brzusek, nie chciała jeść, płakała, wymiotowała. Lekarz w przychodni najpierw uznał, że to angina, potem, że wyrostek. Chciałabym, żeby tak było... Niestety, tomograf potwierdził guza na nerce. W Przylądku Nadziei zdiagnozowano Guza Wilmsa. Nie mogłam w to uwierzyć, nie chciałam, to był październik 2024 rok - mówi mama dziewczynki.

FUNDACJA ROZDYSPONOWAŁA PIERWSZE PIENIĄZE. "WSPARLIŚMY JUŻ 115 PODOPIECZNYCH, A ŁĄCZNA KWOTA PRZEKAZANEJ IM POMOCY WYNIOSI 9 215 430 ZŁ"



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Pod skrzydła Cancer Fighters trafiła też 5-letnia Zosia. - To mała wojowniczką - mówi o córeczce pani Agnieszka

Rodzina małej Zosi, podobnie jak rodzina Leosia i wiele innych rodzin małych pacjentów Przyłądka Nadziei, żyje „na dwa domy”.

- Szpital to nasz drugi dom. Kiedy jestem z Zosią w Przyłądce, partner i teściowie opiekują się jej 3-letnią siostrzyczką. Nie jest łatwo, ale sobie radzimy. Pieniądze ze zbiórki dają spokój ducha. Mamy za co kupić jedzenie, opłacić dojazd do szpitala, ale też oszczędzamy, bo nie wiadomo czy Zosia nie będzie potrzebowała leku zza granicy - mówi pani Agnieszka.

I dodaje: Zawsze bardzo współczułam rodzicom, którzy zbierają pieniądze na leczenie swoich dzieci. Nie sądziłam, że sama znajdę się w takiej sytuacji. Nikt nie lubi prosić o pieniądze, ale kiedy walczysz o życie swojego dziecka, zrobisz wszystko.

Zosia przeszła operację usunięcia lewej nerki, ma za sobą chemię i radioterapię. Choć choroba nie odpuszcza (pojawiały się przerzuty na płucach, w marcu kolejna wznowa) dziewczynka dzielnie walczy.

Zosia to dziecko, które nie płacze, nawet jak jest bardzo zmęczona w trakcie leczenia,



FOT. ANETA KOLESIŃSKA

Maciekowi i jego mamie też pomaga Cancer Fighters. „Ciocie” z fundacji stoją na głowie, by mali pacjenci, choć na chwilę, mogli zapomnieć o chorobie

nie narzeka, uśmiecha się od ucha do ucha. Staramy się żyć normalnie na tyle na ile się da, nie zabierając jej dzieciństwa - mówi pani Agnieszka.

Maciek walczy, więc walczę i ja

- Tego, co nasze dzieci muszą przeżyć na szpitalnym oddziale, ile muszą wycierpieć, nie da się opisać. Należą im się ukłony do samej ziemi. Skoro to dziecko ciało tak dzielnie walczy, znosi tyle bólu, to my rodzice musimy stanąć na głowach, żeby im pomagać. Maciek walczy, to i ja walczę - przyznaje pani Barbara, mama 11-latka.

Maciej od urodzenia choruje na nerwiakowłóknakowatość (neurofibromatoza). To choroba o podłożu genetycznym, w przebiegu której powstają guzy wzdłuż różnych rodzajów nerwów. Guzy mogą znajdować się zarówno na skórze, jak i wewnątrz ciała. Maciek ma guza na rdzeniu kręgowym oraz między płucami, jest też dzieckiem autystycznym.

Do Przyłądka Nadziei trafił dwa lata temu. - Syn przyjmuje chemioterapię w tabletkach, stracił włosy, ma problemy ze skórą i z chodzeniem, bo często puchną mu nogi, boli go głowa



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

- Każda kwota wpłacona na zbiórkę, nawet ta najmniejsza, zrobiła różnicę - mówi Gazecie, po zakończeniu akcji, szef Przyłądka prof. Krzysztof Kałwak

i serce. Ponieważ wchodzi w wiek dojrzewania, jest ryzyko, że guz może się uzłośliwić. Maciek ma mocno pod górkę - tłumaczy pani Barbara.

Maciekowi i jego mamie też pomaga Cancer Fighters. „Ciocie” z fundacji stoją na głowie, by mali pacjenci, choć na chwilę, mogli zapomnieć o chorobie. Rodzicom pomagają zakładać zbiórki i zbierać pieniądze. Bo kiedy choruje dziecko, choruje cała rodzina.

Pieniądze ze zbiórki przeznaczymy na rehabilitację Maćka i na leczenie, wizyty u specjalistów, bo czasem mu-

szę iść z synem do przychodni prywatnie. Niewykluczone, że czeka go też amputacja nogi, potrzebna będzie proteza. Bez tych zbiórkowych pieniędzy nie dalibyśmy rady - przyznaje pani Barbara. - Trudno prosić o pomoc, o pieniądze. Wiem, że nie każdy chce pomagać, ale trzeba być w naszych butach, żeby zrozumieć, co przeżywamy. Te pieniądze, każdy grosz, to dla nas realne wsparcie w walce z przeciwnikiem, który zniszczył nasze życie, życie naszych dzieci. Dla Maćka zrobię wszystko. Mam tylko jedno marzenie, żeby był z nami jak najdłużej - dodaje.

WOLNOŚĆ SŁOWA. WARTOŚĆ KLUCZOWA

Wolność słowa każde pokolenie odkrywa na nowo - bo w każdym pokoleniu media są całkowicie inne. Ale jeśli tej kluczowej wartości nie uda się zachować, to zmiany w ekosystemie mediów staną się jedynie pustą formą, bez treści

Agaton Kosiński

W styczniu 1941 r. Franklin D. Roosevelt wygłosił tradycyjne „orędzie o stanie Państwa”. Ale choć amerykańscy prezydenci tego typu mowy głoszą co roku, to tamto wystąpienie nabrało wydźwięku ponadczasowego, uniwersalnego. Dziś jest ono znane jako orędzie „Cztery wolności”. Roosevelt opisywał w nim, jak powinien wyglądać świat po zakończeniu II wojny - bo choć USA wtedy jeszcze nie weszły do globalnego konfliktu (nastąpiło to pod koniec 1941 r.), to już wtedy było wiadomo, że II wojna światowa okaże się punktem zwrotnym w dziejach.

Roosevelt wskazał cztery kluczowe obszary, o które należy dbać: wolność słowa i wypowiedzi, wolność wyznania, wolność od niedostatku, wolność od strachu. Ale na tą pierwszą położył



FOT. POLSKA PRESS

Medal Wolności Słowa to nagroda wręczana od 2021 r. dla osób zasłużonych w obronie tej kluczowej wartości

najsilniejszy akcent. „Pierwszą z nich jest wolność słowa i wypowiedzi, na całym świecie” - podkreślił.

Dziś wydaje się, że wolność słowa to wartość tak po-

wszechna, że oczywista. Że jest jak powietrze, jak podatki, jak wschód słońca rano - coś, czego nigdy nie zabraknie. Ale to tylko ułuda. „Nasze życie jest ciągłą walką” - mawiał Eurypides. Do-

tyczy to także wolności słowa. Uda się ją zachować tylko wtedy, gdy ciągle będzie miała własnych rzeczników gotowych jej bronić.

Bronić przed czym? Choćby przed błyskawicznymi zmianami zachodzącymi w naszej rzeczywistości. Wolność słowa jest wartością zagwarantowaną w polskiej konstytucji. Ale przyjrzyjmy się bliżej zapisom artykułu 54.:

„1. Każdemu zapewnia się wolność wyrażania swoich poglądów oraz pozyskiwania i rozpowszechniania informacji.

2. Cenzura prewencyjna środków społecznego przekazu oraz koncesjonowanie prasy są zakazane. Ustawa może wprowadzić obowiązek uprzedniego uzyskania koncesji na prowadzenie stacji radiowej lub telewizyjnej”.

Od razu widać lukę w zapisach konstytucyjnych - bo w za-

den sposób nie obejmuje ona internetu. Teoretycznie rzecz biorąc media cyfrowe nie mają zagwarantowanej ochrony w konstytucji. Oczywiście, to konsekwencja chwili stworzenia ustawy zasadniczej, wtedy internetu zwyczajnie nie było. Ale już choćby to pokazuje, jak wolność słowa potrafi być ulotna.

Media zawsze idą na przódzie wszelkich zmian. To środowisko

szalenie dynamicznie, wyznaczające standardy zmian na świecie. Tak się działo zawsze, tak też jest teraz w czasach rewolucji cyfrowej. Ale bez zapewnienia fundamentu, jakim jest wolność słowa, ta zmiana będzie tylko pustą formą pozbawioną treści. Jeśli ta kluczowa dla demokracji wolność ma zostać zachowana, trzeba o nią dbać w każdym pokoleniu.

MEDAL WOLNOŚCI SŁOWA

Wskazań kandydatów do uhonorowania Medalem Wolności Słowa można dokonywać poprzez wypełnienie formularza zgłoszeniowego na stronie internetowej <https://medal.fundacja-grandpress.pl>. Kandydatów mogą zgła-

szać:
• kolegia redakcyjne mediów
• władze organizacji pozarządowych, fundacji i stowarzyszeń
• pełnoletni obywatele Polski
Zgłoszenia przyjmowane są do 12 czerwca.

USTALENIA PO SYNODZIE: WIERNI BĘDĄ MOGLI PRZYJĄĆ ŚWIĘCENIA I PROWADZIĆ NABOŻEŃSTWA

Robert Migdał

Z biskupem Maciejem Małygą
o zakończonym właśnie synodzie
archidiecezji wrocławskiej
rozmawia Robert Migdał



Biskup pomocniczy wrocławski Maciej Małyga: Synod polegał na spotkaniach ludzi, którzy najpierw się modlą, a potem ze sobą rozmawiają, słuchając siebie nawzajem. I owocem tego synodu jest pewna wizja życia naszych parafii, która będzie realizowana w archidiecezji wrocławskiej

Czym jest synod? Co to takiego?

Biskup Maciej Małyga: To był proces rozmów parafian i księży, który toczył się przez trzy lata. Te rozmowy były poświęcone ważnym dla nas tematom: jak bardziej budować jedność w naszych parafiach, jak pogłębiać swoją wiarę, jak zaproponować życie wiarą innym ludziom. Synod polegał na spotkaniach ludzi, którzy najpierw się modlą, a potem ze sobą rozmawiają, słuchając siebie nawzajem. I owocem tego synodu jest pewna wizja życia naszych parafii, która będzie realizowana w archidiecezji wrocławskiej.

Trzy lata to długi czas?

Trzy lata to jednak mało. To był dosyć krótki czas. Taka średnia krajowa jest nieco wyższa, powiedzmy może pięć lat. Więc zatem ten synod był zrobiony przez nas dosyć szybko. Samo słowo „synod” znaczy z języka greckiego wspólna droga. I to też obrazuje to, o czym mówimy: że przez te trzy lata chcieliśmy być bliżej siebie, bardziej siebie posłuchać i wspólnie poszukać jakichś kolejnych etapów tej drogi.

A kto wpadł w ogóle na pomysł, żeby taki synod zwołać? Parafianie występowali z taką propozycją? Księża? Czy po prostu jedni i drudzy, żeby spotkać się i porozmawiać o przyszłości Kościoła?

Właściwie niemalże wszyscy w tym samym czasie o tym myśleli. Zaczęło się od papieża Franciszka, który synod zorganizował na poziomie światowym, zapraszając do tego także naszą diecezję. Myślał też o tym ksiądz arcybiskup Józef Kupny. Gdy zrobił spotkanie z osobami zaangażowanymi w życie parafialne, to jedna z osób świeckich też o tym powiedziała: że skoro mamy tak wiele spraw, a mamy już jakieś grono, to może by zrobić synod. No i tak to się rozpoczęło. To była też odpowiedź na pragnienia wielu księży, wielu świeckich, bo ciągle ze sobą rozmawiamy: jak może być lepiej, co możemy zmienić, czyli mówiąc językiem biblijnym, jak się możemy nawrócić... I te rozmowy były tożsame w bardzo różnych gronach: przy obiadach, przy kolacjach, przy spotkaniach. A w końcu udało się stworzyć taką wielką przestrzeń, aby każdy mógł wziąć udział w tym dialogu, w tym rozeznawaniu. To jest też bardzo ważne słowo dla nas: rozeznawanie, czyli takie pogłębione poznawanie tego, co mamy czynić, jakie podejmować decyzje.

Kiedy usłyszałem słowo „synod”, to myślałem, że to jest

po prostu jakieś wielkie spotkanie w jakiejś wielkiej hali, a w niej mnóstwo ludzi. Ksiądz biskup mówi, że to były głównie spotkania w takich małych grupach. Przez te trzy lata dużo było takich spotkań?

Mnóstwo. Mamy 300 parafii i 250 z nich przedstawiło synetę własnego dialogu. Potem to przeszło do dekanatów, czyli związków parafii. Potem jeszcze wyżej, do centralnych komisji. Potem ta myśl znowu wróciła na dół, do parafii.

Żeby znów to przedyskutować.

Tak. Czy tam odnajdują siebie, czy odnajdują to, co wtedy proponowali. I potem ta sama droga, czyli znów do związku parafii i do takiego dużego zgromadzenia. I tu ma pan rację: w ścisłym sensie synod jest dużym zgromadzeniem, faktycznie w jednej przestrzeni. No ale dzięki papieżowi Franciszkowi ten synod zszedł na same dół i stał się procesem, w którym mógł udział wziąć każdy.

Po tych trzech latach jakie są najważniejsze - według księdza biskupa - ustalenia? Co powinien robić wrocławski Kościół w przyszłości?

Mamy jasną drogę, którą będziemy iść przez lata, bo tego się nie da załatwić jednym dokumentem. Po pierwsze, chcielibyśmy, aby wspólnoty parafialne przechodziły od anonimowości do relacji. Chodzi o to, aby parafie, zwłaszcza te duże, w tym wrocławskie, miejskie, gdzie jednak parafian jest bardzo dużo, żeby ludzie tam rozpoznawali swoje twarze, żeby też rozpoznawali swoje dary. Każdy jakieś dary ma i można je dać swojej wspólnotie. No a duszpasterze też uczą się te dary rozpoznawać, przyjmować. Chodzi znowu o tę wspólnotę, o bycie razem, o słuchanie siebie nawzajem.

Czyli na przykład, żeby wykorzystać wartości albo umiejętności parafian, które może były ukryte, a mogą być wykorzystane dla dobra całej wspólnoty Kościoła?

Dokładnie. Nasz gość, kardynał Mario Grech z Watykanu, odpowiedzialny za synody w całym Kościele, który uczestniczył w zamknięciu wrocławskiego synodu, powiedział bardzo piękną rzecz, w sumie znaną od samego początku Kościoła, ale ciągle sobie ją przypominamy: że nie chodzi o to, aby teraz księża przekazali świeckim jakieś kolejne zadania, ale chodzi o to, że każdy, kto jest ochrzczony, już jakieś zadania i jakąś odpowiedzialność ma. Więc to nie jest nadanie

zadań, tylko przywrócenie tego, co wynika z sakramentu chrztu. No i to jest dla nas bardzo ważne odkrycie, co znowu oznacza pewien proces zmiany myślenia, poznawania siebie, zapraszania siebie, ale też tworzenia pewnych struktur, bo to nie jest tylko kwestia takich jakichś miękkich kompetencji. W parafiach, zresztą zgodnie z kodeksem prawa kanonicznego, będą powstawały tak zwane rady do spraw duszpasterskich i rady do spraw ekonomicznych pod przewodnictwem księdza proboszcza, ale oczywiście z udziałem osób świeckich. No i zadaniem tych grup - już formalnych - będzie to, o czym wspomnieliśmy: czyli tak zwane rozeznawanie, czyli przygotowanie różnych decyzji związanych z życiem parafialnym.

Czyli wierni będą mieli większy wpływ na to, co się dzieje w Kościele, i co się dzieje w ogóle we wspólnocie?

Tak, i nazwijmy to współodpowiedzialnością albo udziałem w tym procesie przygotowania decyzji. Z uszanowaniem kompetencji, urzędów, darów, jakie ma dany człowiek.

Co jeszcze będzie wprowadzane w życie z ustaleń synodu?

Spójne działanie, jeśli chodzi na przykład o przygotowanie do sakramentu bierzmowania czy do Komunii Świętej, aby to miało jakość. To są takie wyjątkowe momenty, kiedy jesteśmy bardziej otwarci na Słowo Boże, na liturgię, po prostu na Boga. I chcemy, żeby to miało swoją jeszcze większą jakość, np. angażując parafian do wspierania osób, które przyjmują bierzmowanie albo szykują się do Komunii Świętej.

Żeby to nie była sprawa tylko rodziny osoby, która podchodzi do komunii czy bierzmowania, ale żeby inni też w tym uczestniczyli...

Tak, i wspierali tych, którzy przygotowują się do sakramentu. Wiemy, że to jest duży wysiłek i bardzo duże zaangażowanie wielu osób. I to jest na pewno moment, który warto wzmocnić. Jedno z ustaleń, które zwróciło moją uwagę: wierny, który ma żonę i dzieci, będzie mógł przyjąć... święcenia i zostać diakonem stałym.

Kościół jest tworzony przez wszystkich, którzy przyjęli chrzest. I tam są możliwe różne zadania, tak jak zadanie czy posługa księdza, który przyjmuje święcenia. Ale jest też możliwa posługa tak zwanego diakona stałego, czyli kogoś, kto przyjmuje święcenia, ale już jest żonaty,

jest ojcem rodziny, ma dzieci i prowadzi życie zawodowe. To pierwsze święcenia, czyli diakonat. I potem może posługiwać bardzo aktywnie w parafii, nawet głosząc homilie, prowadząc różne nabożeństwa, posługując pośród ubogich. Takich zadań, posług, jest oczywiście o wiele więcej. Będziemy chcieli do tego właśnie zapraszać ludzi i też wspierać ich w tym kształceniu się do tej posługi.

Jakie warunki trzeba spełnić, żeby przyjąć pierwsze święcenia i zostać diakonem stałym?

To musi być na pewno osoba już ustabilizowana życiowo, rodzinnie, zawodowo, która ma pewne dary: na przykład dar posługi ubogim albo dar głoszenia Słowa Bożego. Ma też odpowiednie wykształcenie. Powinna cieszyć się dobrą opinią swojej parafii, swojego środowiska, bo tam będzie również posługiwała.

A jakie musi mieć wykształcenie?

Ostatecznie musi to być wykształcenie teologiczne, aby potem pełnić we właściwy sposób swoją posługę. Po wiem panu, że zaskoczeniem dla nas było to, że to jest tak wyczekiwana przez wiernych posługa.

Kiedy mogliby pojawić się diakoni w naszych parafiach?

Przygotowania już się rozpoczęły, ale potrzeba nam około roku, żeby np. przygotować całą drogę przyjmowania tych, którzy chcieliby być diakonami. Ksiądz arcybiskup podpisał dokument końcowy synodu. To jest zatwierdzone, więc na pewno po wakacjach, za rok, będzie droga otwarta.

Czy to jest pewnego rodzaju odpowiedź na to, że jest teraz mniej powołań do seminariorów?

No właśnie nie. Od początku myślimy inaczej: że to nie może być odpowiedzią „na jakiś brak” czy, przepraszam, jakąś „zapchajdziurą”, czy uzupełnieniem braku personelu. Od początku widzimy to inaczej: jeśli Bóg kogoś powołuje, to On jest do tego zaproszony. I wszystko jedno, czy mamy wystarczającą liczbę księży - cokolwiek by to znaczyło, czy nie.

Czyli nie „zapchajdziura”, tylko wartość dodana...

Oczywiście, że tak. Wartość dodana, powołanie, coś, co wynika z sakramentu chrztu.

Czy diakonem może zostać tylko mężczyzna, czy też to może być kobieta?

Diakonem może zostać tylko mężczyzna. Natomiast inne formy zaangażowania są



FOT. MACIEJ RAJFUR

Synod archidiecezji wrocławskiej trwał trzy lata. Archidiecezja ma 300 parafii i 250 z nich przedstawiło syntezę własnego dialogu synodalnego

otwarte i dla mężczyzn, i dla kobiet, na przykład posługa katechisty. Mamy katechetów, którzy prowadzą katechezę w szkole. Ale jest też możliwa taka inna posługa i tu używamy podobnego słowa - „katechista”, czyli osoba świecka. To jest mężczyzna lub kobieta, który właśnie z posłaniem arcybiskupa może na przykład pomóc w przygotowaniu młodzieży do bierzmowania albo opiekować się chorymi, albo prowadzić jakieś inne działania. I tutaj, w tym przypadku, nie ma znaczenia płeć. Jest to po prostu ochrzczona kobieta lub ochrzczony mężczyzna, który coś z siebie daje.

Ksiądz arcybiskup Józef Kupny powiedział, że ustalenia synodu to nie będą tylko ustalenia na papierze, tylko będziecie je wprowadzać w życie. Że to nie było tylko po to, żeby to spisać, ogłosić i wsadzić do szuflady. Oczywiście. W ogóle dokument jest tak napisany, że gdyby zakończyć teraz

pracę, to nie miałyby to żadnego sensu, bo dokument ma charakter bardzo otwarty. On wyznacza kierunki i tam nie ma szczegółowych rozwiązań. One będą się pojawiały w trakcie. Już teraz spotykamy się z księżmi w parafiach i opowiadamy o tym, co będzie, żeby oni to potem przekazali dalej swoim parafianom. Realizacja tego będzie przebiegała różnymi drogami, ale będzie też taka propozycja dla chętnych parafii. Roboczo nazywamy to kursem „Zacznyn”. Tak jak zaczyn w cieście w przypowieści Pana Jezusa, żeby się ciasto zakwasiło.

I co to będzie takiego?

Chodzi o to, aby chętni księża proboszczowie zebrali grupę kilku osób, może kilkunastu, którzy mogliby w jakiś sposób angażować się w parafii. W tej chwili nieważne, jak: czy będą członkami tych rad, o których mówiliśmy, czy będą pełnili posługi wśród ubogich. To się okaże póź-

niej. No i ta grupa, czyli ksiądz proboszcz, wikariusze, jeśli są, i te grupy osób świeckich utworzyłyby taką ekipę i przeszłyby jakąś wspólną drogę. Chodzi o to, żeby ci, którzy na różny sposób są współodpowiedzialni za parafię, przeżyli razem taki kurs formacyjny. Dobrze jest to, że to jest dla chętnych z parafii, bo do tego trzeba się przygotować. Trzeba zebrać ludzi, trzeba się też przekonać.

Z pewnością będą bardziej zaangażowani, jeżeli sami będą chcieli to robić...

Tak. A w kolejnym roku następne grupy i potem jeszcze kolejne. „Zacznyn”, jak zaczyn w cieście... Myślę, że to będą dobre spotkania ludzi tworzących jakąś parafię: ksiądz i świeccy razem, można będzie porozmawiać, trochę się poznać, nauczyć współpracy, razem pomodlić. Też się tego nauczyliśmy, że najpierw chcemy się dużo modlić, czytać Biblię. No i potem zawsze coś z tego wyjdzie.

Czy w trakcie tych trzech lat synodu były jakieś tematy kontrowersyjne, gdzie iskrzyło i nie zgadzaliście z parafianami?

Były takie tematy, gdzie szukaliśmy jedności i to się generalnie udawało. Właśnie tym się różni synod

od konsultacji społecznych, że jeśli gdzieś nie ma wspólnej decyzji, to znaczy, że trzeba rozpocząć jeszcze raz ten proces słuchania siebie nawzajem. Tak było w temacie sprawozdawczość finansowa w parafiach. Bardzo wiele parafii to robi, czyli ksiądz proboszcz przedstawia, zwykle na koniec roku, jakie wydatki poniosła parafia na różne działania duszpasterskie, wydatki remontowe, jakiś wyjazd na rekolekcje...

Żeby parafianie mieli jasność, co się dzieje z pieniędzmi, które dali na tace, na co te pieniądze zostały w parafii przeznaczone? Czyli w każdej parafii teraz będą robione takie raporty i parafianie będą mogli się zapoznać z wydatkami z danego roku?

Będzie to proces, to jest nasz kierunek. Natomiast kiedy to się stanie, trudno w tej chwili powiedzieć. Bardzo wiele parafii już to robi. Część będzie to robiła w tej chwili, a inne są jeszcze w drodze. Ale też bardzo nam na tym zależy, bo jest kwestia naszej wiarygodności. Jeśli umiemy być uczciwi w sprawach finansowych, to jest to też oznaką tego, że potrafimy być też uczciwi w innych, takich bardziej ulotnych tematach.

Takim tematem, gdzie też szukaliśmy jedności, był chociażby diakonat. Już o tym wspominaliśmy, ale na samym początku to nie było takie jasne. Ale w toku rozmów okazało się, że tutaj jesteśmy jedno-myślni.

Jak ksiądz myśli, ile będzie trwało wprowadzenie w życie ustaleń synodu archidiecezji wrocławskiej? Pięć lat? Dziesięć? Czy w ogóle można określić jakieś ramy czasowe?

Można zaplanować, że pewne elementy z dokumentu końcowego będą realizowane w ciągu lat trzech albo pięciu. Na przykład wiemy, że w ciągu roku zorganizujemy rady, czyli zgromadzenia osób świeckich i księży, na poziomie diecezji, na przykład zajmujące się duszpasterstwem czy ekonomią. To się da zrobić w ciągu roku. Mamy też jedną datę: rok 2033. To będzie wielki jubileusz chrześcijaństwa. Dwa tysiące lat od męki, śmierci i zmartwychwstania Jezusa Chrystusa. To jest dla nas bardzo wyraźny horyzont i do tego czasu chcielibyśmy uczynić jak najwięcej.

Cała rozmowa wideo z biskupem Maciejem Małgą w studiu TV „Gazety Wrocławskiej” na gazetawroclawska.pl

W CIĄGU ROKU ZORGANIZUJEMY RADY, CZYLI ZGROMADZENIA OSÓB ŚWIECKICH I KSIĘŻY, NAPOZIOMIE DIECEZJI, NP. ZAJMUJĄCE SIĘ DUSZPASTERSTWEM CZY EKONOMIĄ

MARGRABIA WIELOPOLSKI W STAATLICHE MUSEEN W BERLINIE

Od 2026 r. Alte Nationalgalerie w berlińskim muzeum zaprasza galerie narodowe do prezentowania swoich zbiorów. 19 czerwca jako pierwsza zaprezentuje się tam Polska

Mariusz Grabowski

Pod tytułem „Wymyślanie mitów” Agnieszka Lajus, dyrektorka Muzeum Narodowego w Warszawie, wybrała te dzieła z zasobów MNW, które opowiadają polityczno-kulturową historię Polski. Najważniejsze z nich to „Hamlet polski - Portret Aleksandra Wielkopolskiego” z 1903 r. pędzla Jacka Malczewskiego. Trudno bowiem o inny przykład „polskości skondensowanej”.

„Der deutschen Kunst”

Zacznijmy od początku. W 1876 r. cesarz Wilhelm I otworzył „National-Galerie”, znaną obecnie jako Alte Nationalgalerie, która od 1999 r. jest częścią kompleksu Museumsinsel Berlin. Na frontonie widnieje co prawda napis „Der deutschen Kunst” („Sztuce Niemieckiej”), ale podstawą zbiorów była darowizna bankiera Joachima Heinricha Wilhelma Wagera, która obejmowała dzieła artystów włoskich, francuskich, szwajcarskich i belgijskich.

Obecnie Staatliche Museen (a właściwie kompleks pięciu autonomicznych muzeów) posiada imponującą kolekcję dzieł sztuki z okresu między Rewolucją Francuską a Wielką Wojną, klasycyzmem a secesją. Znajdziemy tu m.in. Zbiory Pergamońskie, jak i jedną z największych na świecie kolekcji francuskiej sztuki awangardowej.

Budynek muzeum, zaprojektowany przez Heinricha Stracka według planów Augusta Stülera, został zbudowany w latach 1867-1876. Zbiory MNW zostaną zaprezentowane na I piętrze.

Sława i skandale

Najważniejszym z dzieł będzie „Hamlet polski”, olej Jacka Malczewskiego z 1903 r., symboliczny portret margrabiego Aleksandra Wielkopolskiego (1803-1877). Początek XX w. był dla malarza dość trudny. Liczne zgony w rodzinie, w szczególności śmierć matki skłoniły go do namalowania serii obrazów „Thanatos”. Dodatkowo w 1900 r. Mal-



Namalowany w 1903 r. obraz jest jednym z najbardziej znanych dzieł Malczewskiego. Przedstawia Aleksandra Wielkopolskiego, wnuka carskiego namiestnika w Warszawie

czewski popadł w długoletni konflikt z rektorem krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych Julianem Fałatem. Malczewski zarzucał mu służalczość wobec Austriaków oraz forsowanie przestarzałego programu nauczania. W wyniku tego personalnego sporu musiał zrezygnować z wykładania an ASP.

Dodajmy do tego jego niezbyt ustabilizowane małżeństwo. W 1887 r. ożenił się z córką krakowskiego aptekarza Marią Gralewską, ale w 1900 r. poznał Marię Kingę Balową, z którą zdradzał swoją żonę przez kilkanaście lat. Balowa była dlań mużką, której wizerunek utrwalił na wielu płótnach.

W międzyczasie organizował wiele wystaw swoich prac; w 1903 r. po raz pierwszy odbyła się indywidualna wystawa twórczości Malczewskiego w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie i Lwowie, a także w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie.

Symbol jako klucz

Od strony artystycznej Malczewski był symbolistą, artystą, który odchodząc od dominującego wówczas historyzmu Jana Matejki, otworzył

drzwi do osobistych, wieloznacznych narracji. Symbol traktował jak znak, który poza swoim dosłownym znaczeniem odsyła do innych, głębszych treści, często abstrakcyjnych idei, emocji czy wartości.

Twórczość Malczewskiego, licząca ok. 2 tys. obrazów, jest nie tylko artystycznym świadectwem epoki, ale także niezwykle istotnym elementem polskiej kultury i tożsamości, niejako programowo skłaniającym do refleksji nad naszym narodowym dziedzictwem.

Symbolizm w jego wydaniu był zatem czymś więcej niż tylko stylem artystycznym, był swoistą filozofią patrzenia na świat. W jego pracach granice między rzeczywistością a fantazją zacierały się, a świat realny przenikał się ze światem mitologicznym, religijnym i baśniowym. Przedstawione przezeń postacie, obiekty czy nawet elementy krajobrazu nigdy nie są tylko tym, czym się wydają. Zawsze niosą ze sobą ukryte, symboliczne znaczenia, które wymagają od widza głębszej interpretacji i zaangażowania.

Gonitwa idei

Tym, co wyróżnia Malczewskiego, spośród innych

i wewnętrzne demony. Obraz ten można interpretować jako metaforę procesu twórczego, w którym artysta balansuje na granicy rzeczywistości i wyobraźni, próbując uchwycić ulotne idee, a zarazem wciągając widza w swój hipnotyzujący taniec.

Wzorem Szekspir

Dokładnie nie wiadomo, kiedy Malczewski wpadł na pomysł sportretowania nieżyjącego od ćwierćwiecza margrabiego Wielkopolskiego, polityka mającego na początku XX w. ugruntowaną czarną legendę. Na byłym naczelniku rządu cywilnego w Królestwie Polskim ciążyło odium zdrady narodowej, ugodowości wobec zabójcy oraz prowokatora powstania styczniowego.

Przed jego sztalugami stanął więc w zastępstwie wnuk margrabiego - 42-letni Aleksander Wielopolski (1861-1914), ziemianin i co ciekawe malarz amator. Pomysł na jego portret w stroju Hamleta nie był w 1903 r. żadną ikonograficzną rewelacją, ale obsadzenie w szekspirowskiej roli arystokraty nieparającego się aktorstwem mogło budzić zdziwienie.

Jeszcze większe wątpliwości mogło wywołać odejście od tradycyjnych rekwizytów, zamienienie nieodłącznej niegdyś czaszki na margerytkę oraz otoczenie bohatera dwiema postaciami spoza szekspirowskiego świata.

Z kwiatem w rękę

Sam Malczewski, wielokrotnie pytany o obraz twierdził uparcie, że to symboliczna interpretacja postawy Polaków wobec niewoli. A połączenie postaci historycznej z dylematem szekspirowskiego bohatera to pytanie o sens walki i poświęcenia w obliczu beznadziejnej sytuacji. Młody Wielopolski, syn polityka ugodowego, symbolizuje rozdarcie i niemożność podjęcia jednoznacznej decyzji. To zmusza - sugerował malarz - do refleksji nad odpowiedzialnością i wyborem.

Recepcja obrazu wśród rodaków była trudna. Wielo-

krotnie zarzucano Malczewskiemu symboliczne uproszczenia i granie na skojarzeniach. Znajdująca się po prawej stronie starsza niewiasta z siwymi włosami, odziana w ciemne szaty, ze skutymi kajdanami rękoma i przygnębianą twarzą uosabia „Polskę zniewoloną”. Z kolei znajdującą się po lewej stronie młoda dziewczyna, półnaga, ukazana w chwili zrywania oków, to „Polska młoda”, zdolna do czynu, działania i będąca w stanie wyzwolić się z długotrwałej niewoli.

Postać mężczyzny, czyli tego, który ma dokonać symbolicznego wyboru, jest zamysłona, pogrążona w melancholii, a jego niezdeterminowanie podkreślają jeszcze bardziej kwiat w dłoni i pas na ciele. Lecz tak naprawdę Malczewski pozostawia odbiorcę bez żadnej odpowiedzi.

Jak to rozumieć?

Czy „Hamlet polski” jest w ogóle zrozumiały dla innych nacji? Czym, prócz egzotyki, może zaciekać np. Niemców, skoro tuż po prezentacji obrazu wielu krytyków pisało, że jest on niezrozumiały, afektowany, a pomysł z „Dwiema Polskami” jest tyleż wydumany, co nieestetyczny. Śmiano się z Wielkopolskiego, że jest skupiony wyłącznie na błażej zabawie z kwiatkiem. Jeszcze w 1933 r. Adam Heydel, skądinąd wybitny ekonomista sympatyzujący z narodowcami, podsumowywał gorzko: „nie dostrzega dramatu. Bawi się margerytką”.

Sugerowano, że malarski zapał arystokraty przysłonił mu istotne problemy, którymi powinien był się zająć. A hamletyczną zadumę odczytywano jako „przejaw ironii twórcy wobec bezideowego estetyzmu i indyferentyzmu narodowego, jaki reprezentował Wielopolski”.

Paweł Bień, pisząc o „Hamlecie...” na portalu Niezłaztuka.net zauważył: „(...) najciekawsze czai się u dołu obrazu. Oto talia modela ściana jest pasem, w którym miejsce nabożów zajmują tuby z farbami. Metafora o ogromnej sile oddziaływania, choć znów - niejednoznaczna. W ten sposób «Hamlet polski» staje się także wielkim pytaniem o rolę artysty w zmieniającym się świecie (...) Niejeden już uprawiał domysły, sugerując, że pod postacią Wielkopolskiego kryje się w istocie autobiograficzny gest samego Malczewskiego, a wahania modela są hamletyzowaniem malarza”.

„InterNationalgalerie” w Alte Nationalgalerie - Staatliche Museen w Berlinie. Wystawa zbiorów MNW potrwa od 19 czerwca do 17 stycznia 2027 r. www.smb.museum

KOMU BIJE DZWON W RUDZKIM MOŚCIE

Parafia musi zapłacić 30 tys. zł za zakłócanie spokoju dźwiękiem dzwonów kościelnych. Wyrok jest nieprawomocny, ale w małej miejscowości pod Tucholą budzi skrajne emocje

Maciej Czerniak

Osiedle domów jest sennie. Ciche podjazdy, pas szeregowców z jednej strony kościoła. Z drugiej większe, nieco willowe budynki, z perfekcyjnie utrzymaną przydomową zielenią. Ogródki osiadłe, okrzepłe, rozwinięte w sposób właściwy osiedlu, które istnieje już kilkanaście lat. Może dłużej. Żadne tam łanowe, półdzikie parcele, rozedrgane odgłosami betoniarów. Tu już „zamieszkanie” wydarzyło się.

Ludzie jeszcze w pracy, w końcu to przedpołudnie w środku tygodnia. W domu, w którym miałem nadzieję zastać moją rozmówcę, szczeka pies. Podchodzę raz i drugi. W końcu decyduję, że zacznę od księdza. Mieszka niemal po sąsiedzku. Na tyłach kapliczki, poprzedniczki świątyni, która 12 lat temu wyrosła między ulicami Wydmy i Obrońców Polskości.

„Szczęść Boże i dzień dobry” – mówię przez zamknięte drzwi. Pytam, czy zastałem ks. proboszcza Wiesława Herolda. Słyszę, że tak, ale pada prośba, by spotkać się później i „wtedy porozmawiamy”. Ksiądz musi coś załatwić w mieście.

W Sądzie Rejonowym w Tucholi akta sprawy, jaką wytoczył parafii Opatrzności Bożej w Rudzkim Moście jeden z mieszkańców, zajmują tylko dwa tomy. W końcu sprawa to dość nieskomplikowana, choć obie strony sporu angażuje już od 10 lat. Epilog dzwonowej epopei nastąpił 22 maja. Zapadł wyrok. Sąd nakazał parafii ograniczenie „emisji dźwiękowych” przez „użytkowanie w związku z wszystkimi uroczystościami religijnymi, w tym mszami, pogrzebami, procesjami, wyłącznie najmniejszego dzwonu, maksymalnie dwa razy dziennie w dni powszednie oraz trzy razy dziennie w niedziele i święta na okres nie dłuższy niż 3 minuty”. Mało tego, dzwon i tak nie może rozbrzmieć, choćby nawet w tej sprawie nikt nie wnosil o apelację. Dlaczego? Sąd zdecydował, że najpierw trzeba zainstalować na dzwonnicy „właściwie działający mechanizm”, ogranicza-



FOT. MACIEJ CZERNIAK, ARCHIWUM PARAFII W RUDZKIM MOŚCIE

Założenie na wieży rolet, za którymi skryły się dzwony, nie załagodziło sporu

jący czas dzwonienia do 2 minut. Dodatkowo parafia ma zapłacić skarżącemu ją mieszkańcowi Rudzkiego Mostu 30 tysięcy złotych zadośćuczynienia.

Zestaw lux w tonacji Maryjnej

Ta historia zaczyna się w 2010 roku, kiedy parafia kupuje dzwony za pieniądze подарowane 3 lata wcześniej przez dwóch parafian. O sprawie szeroko i wielokrotnie informował „Tygodnik Tucholski”. Z informacji przedstawianych przez ten tytuł wynika, że darczyńcy to „znani mieszkańcy Tucholi”. Każdy z nich przekazał na ten cel po 50 tys. zł. Jednym z ofiarujących był Kazimierz Cisewski, przewodniczący rady parafialnej, drugim przedsiębiorca Krzysztof Rydelek.

Dzwony zamówiono w renomowanym zakładzie, w Ludwisarni Felczyńskich-Taciszów – przedsiębiorstwie odlewnictwa i konserwacji działającym od 1808 r. Parafia kupiła tam zestaw lux grający w „tona-

cji Maryjnej Fis A H”. Spizowe dzwony ważyły ponad 800, ponad 500 i ponad 350 kg.

W dokumencie ludwisarni, w specyfikacji dzwonów, napisano formułę: „Żywych zwołuje, zmarłych opłakuje, bohaterów słaui, wszystkim przypomina obowiązek względem Boga”. Rozbrzmiały dopiero w 2015 r., kiedy ukończono budowę wieży dzwonowej. Zamiast jednak nieść w świat niebiańską harmonię, podzieliły mieszkańców. Pojawiły się opinie, że dzwonią po prostu za głośno. To, że hałas był zbyt duży, potwierdziło m.in. badanie zlecone przez starostę w Tucholi. Wykonawcą tego zlecenia była firma Akutix z Poznania, a badanie wykazało przekroczenie dopuszczalnej głośności dzwonów o 17,9 db.

W 2016 r. w sprawie zaangażował się jeden z mieszkańców Rudzkiego Mostu, Waldemar Piotrowski. W czerwcu tego samego roku w Starostwie Powiatowym w Tucholi podpisano porozumienie między Piotrow-

skim a ks. Heroldem. Postanowienie było kompromisowe: na dzwonnicy miały zostać zainstalowane żaluzje, a potem duży dzwon miał być uruchamiany tylko przy wyjątkowych okazjach, podczas Świąt Wielkanocnych i na Boże Narodzenie. Porozumienie zakładało również, że parafia przeprowadzi na swój koszt pomiar hałasu, dzwony mały i średni będą używane przed każdym nabożeństwem, a średni na Anioł Pański, ale nie dłużej niż na 2 minuty.

Na tym koniec? Bynajmniej. Ostatecznie żaluzje zamontowano, ale bez odbioru budowlanego wieży. Nadzór stwierdził, że kwestie dotyczące poziomu emitowanego dźwięku nie leżą w gestii inspektorów.

– Problem w tym, że kiedy pojawiały się te rolety, to dźwięk zamiast ulec wygłuszeniu, został skierowany ukośnie w dół, prosto na domy, które znajdują się po sąsiedzku, przy kościele – mówi jedna z mieszkanek. Nie chce zdradzać swojego nazwiska. – Tu za blisko jest i zbyt wielu można by się narażać. My tu przecież mieszkamy – zaznacza.

Poza tym dzwony nie biły – jak zakładało porozumienie – tylko przez 2 minuty. Dlaczego? Ks. Wiesław Herold zarzeka się, że próbował tak ustawić mechanizm, by dźwięk rozchodził się w tym konkretnie określonym czasie. – Kiedy ustawi się dzwony na 2 minuty, to tolerancja wynosi jedną minutę mniej lub więcej – tłumaczy duchowny. – Próbowaliśmy skonfigurować mechanizm, ale co się stało? Nastąpiła awaria: przepalił się elektromagnes. Naprawa była kosztowna.

– Hałas faktycznie był nie do wytrzymania, głowę rozszalało – mówi jeden z mieszkańców. – A najśmieszniejsze, że petycję o to, żeby dzwony zostały, podpisali m.in. ludzie mieszkający z dala. Słyszałem od znajomych, którzy mieszkają 3 kilometry od nas, że im to nie przeszkadza. No jasne, jak się mieszka daleko...

Urzędowa kakofonia

Od porozumienia w 2016 r. zatem niewiele się zmieniło.

Owszem, na dzwonnicy pojawiły się żaluzje, ale hałas nie zniknął. Dopiero w 2023 roku sprawa została skierowana na inne tory. Ponownie, po staraniach Waldemara Piotrowskiego, starosta zlecił badanie głośności dzwonów. Tym razem wybrana została bydgoska firma Ekosonic. Wynik różnił się od pierwszego, ale również wykazano przekroczenie dopuszczalnej normy dźwięku. O 14,6 db. Do starosty wpłynęło pismo, w którym domagano się tego, by urząd wydał decyzję o dopuszczalnym poziomie hałasu dzwonów kościelnych, starostwo jednak odmówiło wszczęcia postępowania w tej sprawie. Kolejny etap historii to odwołanie skierowane do Samorządowego Kolegium Odwoławczego, które z kolei uchyliło decyzję starosty i skierowało sprawę do ponownego rozpatrzenia.

Piotrowski nie składał broni: zwrócił się do policji i do wojewódzkiego inspektora ochrony środowiska w Bydgoszczy. Tucholska komenda w maju 2024 r. umorzyła postępowanie. Decyzja „o niewniesieniu” sprawy do sądu zawierała stwierdzenie, że „czyń nie zawiera znamion wykroczenia z artykułu 5 par. 1 pkt 2 Kodeksu postępowania w sprawach o wykroczenia”.

Z kolei kontrola przeprowadzona przez bydgoskich inspektorów ochrony środowiska wykazała przekroczenia dopuszczalnego poziomu hałasu. Ostatecznie pozew do sądu złożył sam Piotrowski. Sąd Rejonowy w 2024 r. zdecydował, że konieczne będzie „zabezpieczenie roszczeń” powoda. Do czasu rozstrzygnięcia zakazał używania dzwonów w kościele w Rudzkim Moście.

Z jednej strony Watykan, z drugiej „obóz harcerski”

Proces trwał zatem w ciszy. Na jednej z rozpraw, podczas której sędzia Marcin Dobies odbierał wyjaśnienia od świadków, głos zabrał również ksiądz Herold. – Dzwony nie są hałasem – zaznaczał, powołując się również na wolności konstytucyjne. – Ja mam nakaz od Kościoła do dzwonienia na pogrzeb według prawa kanonicznego, mnie grozi wyrzucenie z parafii – dodał.

Z kolei jedna z mieszkanek zeznająca na sali rozpraw nie gryzła się w język, opisując wrażenia estetyczne, jakich doświadczała, słuchając dzwonów w parafii Opatrzności Bożej. – Najważniejsze, że te dzwony były bardzo uciążliwe – mówiła. – Ten ich dźwięk jest piskliwy, jak łyżką o gamek na obozie harcerskim. Wszędzie dzwony biją głęboko, a te w Rudzkim Moście biją przeraźliwie. Dodała, że dźwięk dzwonów z wieży kapliczki (poprzedniczki obecnego kościoła) był cichszy.

Piotrowski pisał do Diecezji Pelplińskiej, a nawet do Waty-

kanu. Stolica Apostolska jednak uznała, że nie ma podstaw, aby zakazać używać dzwonów w kościele pod Tucholą. W dokumentacji procesowej znajduje się takie stwierdzenie powoda, odnoszące się do odpowiedzi z Watykanu: „Otrzymałem informację, że używanie dzwonów kościelnych jest kultem religijnym i nie mają w swojej kompetencji nakazu zaprzestania ich używania”.

Krótko po tym, kiedy sąd zakazał uruchamiania dzwonów do czasu rozstrzygnięcia, parafia, jako głos diecezjalny, zajęła stanowisko, wydając oświadczenie: „Po zwołaniu nadzwyczajnego spotkania Rady Duszpasterskiej, Rady Ekonomicznej oraz przedstawicieli grup duszpasterskich przy parafii Opatrzności Bożej postanowiłem, jako proboszcz, poprzeć sprzeciw przeciwko powyższej decyzji, która została wydana na podstawie jednej osoby niepraktykującej przy naszej parafii”. Pod dokumentem złożyło podpisy ponad 90 parafian.

Ksiądz wrócił na plebanię i – zgodnie z zapowiedzią – rozmawiamy w zaciszu biura parafialnego.

Interwencję do Stolicy Apostolskiej ks. Herold określa jako niedorzeczną, ale ostatecznego wyroku nie chce komentować. Formalnie szczegółów uzasadnienia sądu nie zna, bo wciąż czeka na pismo w tej sprawie. Kiedy jednak wypłynęła informacja o orzeczeniu, zamówił w „Tygodniku Tucholskim” ogłoszenie, zachęcając wiernych do udziału w manifestacji. W odpowiedzi na pikietę przed Sądem Rejonowym w Tucholi przyszło kilkadziesiąt osób. Były transparenty: „Dzwon to nie hałas, to znak wspólnoty” i „Nie róbcie z kościoła trybu cichego”.

– Ja mam płacić? Nie rozumiem tego. Dzwony to nieodłączny element kościoła – mówi ks. Herold. – Naprawdę chciałem dotrzymać warunków porozumienia z 2016 roku, ale były problemy techniczne – podkreśla, dodając, że ma poczucie niesprawiedliwości.

Waldemar Piotrowski, którego zastaję popołudniem w domu, nie gryzie się w język. Zaznacza, że całą sprawę by nie było, gdyby proboszcz wykazał wolę współpracy wcześniej. – Nie działałem sam. Za mną byli ludzie, którzy zgłaszali mi uciążliwość dzwonów. Piotrowski kandydował w 2018 r. w wyborach samorządowych, ubiegał się o mandat radnego, ale ostatecznie nie uzyskał stanowiska. – Prowadziłem wtedy kampanię, spotykałem się z mieszkańcami. Obiecałem im, że sprawę dzwonów doprowadzę do końca niezależnie od wyniku wyborów.

Jeżeli wyrok się utrzyma, zasądzone na jego rzecz pieniądze chce przekazać organizacji pomagającej dzieciom z wadą słuchu. ©

MIETEK SZCZEŚNIAK: SKŁADAMY SIĘ Z CIAŁA I DUSZY, TRZEBA WIĘC NAKARMIC JEDNO I DRUGIE

Niektórym mogło się wydawać, że gdzieś zniknął, ale to nieprawda. Nagrywał i koncertował za oceanem. Teraz przywiózł stamtąd nową płytę – „Brothers”. Nam opowiada o swej równie wielkiej pasji jak śpiewanie – o sadownictwie

Patryk Gzył

Pana dokonania z ostatnich lat wskazują, że równie często co w Polsce pracuje pan w Stanach Zjednoczonych. Jak to możliwe?

A normalnie: jak zamykają się drzwi, to otwiera się okno. (śmiej) Lub inaczej - kiedy coś dzieje się przypadkiem, to podobno Pan Bóg występuje incognito. Tak mawiają mądrzejsi od nas. Jakiś czas temu spotkałem się z amerykańską wokalistką i producentką Wendy Waldman na wymianie artystycznej ze Stanami Zjednoczonymi. Powstał pomysł, żeby twórcy polskich i amerykańskich piosenek napisali coś razem. I Wendy, znana na świecie choćby z piosenki „Save The Best For Last” Vanessy Williams, zaznała współpracy ze mną (śmiej). Zdarzyło się nam tak, że przez dwa dni zrobiliśmy trzy piosenki po angielsku. Mówiąc potocznie - zażarło między nami.

Wendy Waldman jest cenioną artystką z kręgu folku i country. Panu raczej bliższy jest soul, funk i gospel. Jak znaleźliście tak dobre porozumienie?

Wendy prezentuje szerszy sposób myślenia o amerykańskiej muzyce, jak Bob Dylan czy Joni Mitchell. Ma otwarty umysł, jest z pokolenia dzieci kwiatów, kocha jazz, bluesa i rock and roll. Uprawia folk i pop pod szyty innymi stylami. Dopiero będąc w USA przekonałem się, jak wielu jest wirtuozów wśród muzyków folk, country czy bluegrass. To naprawdę wybitni instrumentalści i wokaliści. Pracowaliśmy z Wendy sporo, poszło nam naprawdę snadnie i owocnie. Nagraliśmy z tych naszych spotkań płytę „Signs” w 2011 roku. A potem przyszedł czas na album z chórem Life Choir z Los Angeles pod wodzą H.B. Barnuma.

To też znamienita postać i tym razem zdecydowanie panu bliższa.

Bezsprzecznie. Zaprzyjaźniłem się z nim, zanim doznałem wiedzy, z kim pracował i pracuje. Bo przez ponad 30 lat był kierownikiem muzycznym zespołu Arethy Franklin, a wcześniej produkował dla legendarnej wytwórni Motown nagrania takich wykonawców, jak Frank Sinatra, Ray Charles, Gladys Knight, The Jacksons 5. Nie miałem pojęcia, że to taka znamienita postać, bo przed naszym spotkaniem pewnie tak by się skończyło, że musiałbym zmieniać pieluchę. (śmiej)

Jak to się stało, że tacy uznani muzycy zechcieli pracować z wokalistą z Polski?

Ja z końca drogi i jeszcze na lewo spotkałem tam dwa światy: Wendy z amerykańskiego folku i H.B. Barnuma z soulu i gospel. Oni teraz razem współpracują, robią fajne rzeczy, a ja się cieszę ich przyjaźnią. Naprawdę mam tam w Los Angeles rodzinę. I właściwie mogę śmiało powiedzieć, że pracuję na dwóch kontynentach. Ostatnią swoją płytę „Nierówni” z wierszami ks. Jana Twardowskiego do moich kompozycji w stylu samby i bossa novy zrobiłem z Brazylijczykami w Stanach Zjednoczonych. Taką możliwość daje ten kraj, bo to mozaika kulturowa, największy eksperyment na ludzkości. Jeśli chcesz nagrać płytę z Brazylijczykami - to ją nagrywasz. Jeśli chcesz nagrać gospel z Afroamerykanami - też możesz. No i skorzystałem z tej okazji, bo sprzyjali mi ludzie, których tam poznałem. Oni pokochali mnie, a ja ich. Rzadko się zdarza taka przyjaźń na życie, szczególnie w średnim wieku. Cieszę się więc nią, tym miejscem, tymi możliwościami. Oni są starsi ode mnie,

ale mamy takie same pasje, tak samo kochamy muzykować i mamy coś, co jest najważniejsze, bo daje wewnętrzną radość - pasję oraz ciekawość odkrywania świata i człowieka. To jest coś niezależnego od wieku i narodowości. Niby skorupka się starzeje, a ta kwintesencja życia ciągle się żarzy i tętni.

Tym razem nagrał pan singiel z zespołem Wendy - The Refugees. W Ameryce określa się go supergrupą, bo wchodzi w jego skład znane tam osobowości.

To właśnie „Everybody Body And Soul” - pierwszy singiel zrobiony z nimi. Cidny Bullens grała z Eltonem Johnem czy Bobem Dylanem i nadal cieszy się ich przyjaźnią. To nietuzinkowa postać. Deborah Holland tworzyła z kolei w zespole Animal Instinct ze Stewartem Copelandem z The Police. Obie ciągle nagrywają płyty, piszą świetne piosenki, są aktywnymi artystkami. W naszym mieszczańskim podejściu do życia uważa się, że kiedy ktoś przekroczy pewien wiek, to jest już mało zdolny do wysnucia energii ze świata. A to jest niezależne od wieku, ale od pasji i ognia.

Ten ogień słychać w piosenkach z płyty „Brothers”, które odwołują się do bluesa, soulu i funku. Co pana tak fascynuje w tej muzyce?

Stało się to dzięki Jadwidze Skolarskiej z Polskiego Radia, która puszczała fajne płyty. Nie było wtedy internetu i nie mieliśmy dostępu do muzyki z Zachodu. Czasem tylko pojawiały się w sklepach rzadziej reedycje The Beatles, zrobione na podstawie podobno kradzionych materiałów. (śmiej) Kiedy usłyszałem Arethę Franklin z czarnoskórym chórem - doznałem

ośnienia. Że jest taka wspólna muzyka, że są ludzie, którzy tak cudnie śpiewają, mają niesamowitą barwę głosu i ekspresję, że złożenie melodyki i harmonii, kompozycji i rytmu może być podane na wiele sposobów. Przeszła mi wtedy ochota na bycie śpiewakiem operowym, do czego pragnęła mnie przygotować moja nauczycielka - pani Lidia Małachowicz. Twierdziła, że jestem diamentem operowym i zdobędę sceny świata, ale ja byłem głodny większej ilości harmonii i rytmu. I to mi zostało: ciągle podziwiam muzykę, która powstała w wyniku spotkania białego i czarnego człowieka. Tak narodził się najpierw spirituals, potem gospel, blues, soul, funk i inne. Muzyka wyciekła z czarnych kościołów do popu i protestanccy pastory mieli o to pretensję, że stała się świecka. A to przecież oni zaczynali rap podczas swych kazań. (śmiej) Poznanie tego wszystkiego na własne oczy to jedna z największych przygód mojego życia.

Zaśpiewanie tych piosenek z afroamerykańskim chórem musiało być więc dla pana poruszającym przeżyciem.

Tak. Ale tu nie chodzi o snobowanie się na jakieś gwiazdy, tylko o spotkanie tej kultury na żywo i uczestniczenie w niej. Na dodatek oni czasem zadawali mi pytanie: „Jakbyś chciał, żeby chór zaśpiewał?”. Myślałem sobie wtedy: „Aha, coś tu nie gra. Chyba sobie jaja ze mnie robią”. (śmiej) A chodziło o rodzaj szacunku, jaki do mnie mieli. Zresztą ja mam podobne podejście - jak jest talent, to trzeba za niego podziękować i dobrze go wykorzystać, bo samemu się go nie wymyśliło, nie ma więc powodu, żeby zadzierać nosa. Trzeba tylko

dobrze zadziałać i być za to wdzięcznym.

Ci uznani artyści z Ameryki byli zdziwieni, skąd w białym człowieku z dalekiej Polski taki czarny głos?

Oni spotykają bardzo wielu utalentowanych ludzi, bo przecież Ameryka jest największym eksperymentem na ludzkości. Tam każdy pochodzi z dziesięciu nacji, ras i kultur. Dlatego nie jest trudno w Ameryce spotkać utalentowanego człowieka. Stąd miałem obiekcje, żeby nagrywać coś po angielsku. Jeszcze przed nagraniem „Signs” mówiłem do H.B. Barnuma: „Jaki to ma sens? Przecież ja mam uszy i świadomość, ilu wspaniałych artystów mieliście, macie i mieć będziecie u siebie. Po co jeszcze ja? Po co drewno wozić do lasu? Ja mam swoją piękną publiczność w Polsce”. A on mi na to: „Mietek, ja cię zachęcam, bo mnie nie obchodzi, jak ty wyglądasz czy skąd pochodzisz. Mnie obchodzi to, że ty opowiadasz językiem, który zrozumie każdy człowiek na Ziemi - mówisz językiem duszy”. To było dla mnie wprost przejmujące. Przecież każdy z nas potrzebuje potwierdzenia swojej wartości i sensu tego, co robi, szczególnie od swego mentora, którym stał się dla mnie H.B. Barnum. A nie brakowało w Polsce takich, którzy mówili: „A ten to naśladuje Murzynów” albo „A ten to wyśpiewuje jakieś piosenki o Bogu, to trzeba go skasować”. Nigdy nie rozumiałem ludzi, którzy tak myślą. Jeżeli składamy się z ciała i duszy - trzeba nakarmić jedno i drugie, bo dopiero wtedy opowiadamy o całym człowieku.

Co sprawiło, że piosenki z płyty odwołują się do brzmień z przełomu lat 60. i 70.?

W tym zalewie elektroniki i nudnawych kompozycji już najwyższy czas, by posłużyć się prawdziwym podejściem do muzykowania, czyli graniem praktycznie na żywo w studiu. Ludzie, instrumenty, głosy. To zupełnie inna wibracja, inne nasycenie emocją. Dzięki temu ta muzyka może skrócić dystans z głowy do serca i na odwrót.

Teksty piosenek z „Brothers” mają pozytywne przesłanie, nawołujące do wewnętrznej przemiany. Taki przekaz w naszych mrocznych czasach jest dla pana ważny?

Bardzo. Myślę, że zmiana świata zaczyna się od zmiany samego siebie i zmiany tych, których kochamy. Bo jeśli jest już dwoje ludzi, którzy tak samo myślą, to kolejna ilość tych dwojok daje masę, która może coś naprawdę zmienić.

Mówił pan o „Brothers” już od dłuższego czasu. Trudno było wydać ten materiał w Polsce?

(śmiej) Nagrałbym w swym życiu chyba dwa razy więcej płyt, gdybym z wydaniem każdej nie miał tylu trudności. Taką mamy infrastrukturę, takich mamy wydawców, takie mamy media. Nie tylko ja mam takie trudności, ale wielu innych artystów, którzy starają się opowiedzieć swoją historię własnym językiem. Między nami a publicznością są media i wydawcy. Jeżeli oni stają okoniem, to ludzie nie są w stanie dowiedzieć się, co robimy. Nie ważne, czy płyta jest po angielsku, czy o ciebie, czy o duszy, czy może razem wziętych. To kwestia niesprawnie działającego systemu.

Mimo tych kłopotów z mediami i wydawcami, w zeszłym roku zaczął pan obchody czterdziestolecia swej kariery. Trudno utrzymać się tyle czasu w show-biznesie?

Mnie się udało, bo dostałem największą nagrodę, jaką artysta może dostać - czyli uwagę publiczności. Zagościłem na dobre w jej wyobraźni. Mimo dziur w swojej obecności w polskim życiu artystycznym, ludzie chcą mi towarzyszyć. Na moich koncertach bywają dziś trzy pokolenia. A to dlatego, że dla mnie nie muzyka była najważniejsza, ale przesłanie. To, co powoduje, że człowiek obcując z piosenką, zostaje zainspirowany do ważniejszych rzeczy niż ta piosenka. Nigdy nie chciałem ludzi frustrować, dodawać do tego świata wynurzeń na temat własnego smutku. Chciałem raczej wspierać i pomagać. I myślę, że mi się to po części udało. Mam tego przykłady w pięknych listach i rozmowach podczas podpisywania płyt po koncertach.

Przepustką do kariery stało się dla pana zwycięstwo w Opolu w 1985 roku. Nie było to takie oczywiste, bo zaśpiewał pan trudną piosenkę Krzesimira Dębskiego z tekstem Jacka Cygana - „Przyszedł o zmroku”.

Organizatorzy uprzedzali, że ma być lekko, łatwo i przyjemnie, a ja wybrałem jazzową kompozycję z zaangażowanym społecznie tekstem. Obawiałem się, że mogę zostać wygwizdany - tymczasem okazało się, że dzięki jury wygrałem „Debiuty”. Cieplą przyjęła tę poważną piosenkę również opolska publiczność. A było to na cztery lata przed tym, jak ogłoszono w Polsce koniec komuny. Okazało się jednak, że jeżeli nikomu nieznanemu człowiek zaśpiewa z całego serca i na pełnym gazie, to widownia jest w stanie to odebrać i nagrodzić bisem. Tak też się stało i dostałem lekcję, że nie ma co chodzić na głupie skróty, podlizywać się i robić coś pod publiczność, tylko trzeba tworzyć swoje rzeczy, bo znajdują się ludzie, którzy za tym pójść i to docenią. I za to bardzo dziękuję publiczności.



FOT. PAWEŁ TRZEŚNIEWSKI

Mietek Szczęśniak: Myślę, że zmiana świata zaczyna się od zmiany samego siebie i zmiany tych, których kochamy

Potem występował pan w Opolu, Sopocie i nawet w Zielonej Górze. A z drugiej strony śpiewał pan też na Jazz Jamboree. Gdzie czuł się pan na właściwym miejscu?

Ja w ogóle nie przepadam za konkursowymi festiwalami. Bo to jest nie wiadomo co: zbiorowisko ludzi, którzy nie wiedzą, na co przychodzą, a do tego każdy ma swój gust, z którym się nie dyskutuje. Najbardziej lubię spotkania z publicznością, która wie, na co przychodzi i dla której mogę zrobić opowieść o tym, jak widzę świat i jak mogę sobie i innym pomóc, bo to jest możliwe dzięki muzyce. Najbardziej prestiżowy był dla mnie występ na Jazz Jamboree w rok po debiucie. Ot, nikomu nieznany młodzian zaśpiewał na jednej z najważniejszych scen w całej Europie. Na ten festiwal przyjeżdżała bowiem świetna i świadoma publiczność. W 1986 roku wystąpiłem na Jazz Jamboree dwukrotnie – z grupą Walk Away oraz ze Sławomirem Kulpowiczem w międzynarodowym składzie na czele z Alice Coltrane. To było dla mnie wielkie wydarzenie. Zacząłem wtedy nazywać

siebie śpiewakiem, bo to dla mnie najlepsze określenie. Śpiewałem bowiem na festiwalach popowych, jazzowych, religijnych, poetyckich i muzyki współczesnej.

W powszechną świadomość Polaków wbił się pan duetem z Edytą Górniak w „Dumce na dwa serca”. Jacek Cygan powiedział kiedyś o tej piosence: „Edyta z Mietkiem wzniesli się tu na wyżyny sztuki wokalne”. Zgodzi się pan?

Nie wiem. Może mogliśmy to lepiej zaśpiewać? (śmiech) Ten duet to zasluga wytwórni EMI, dla której wtedy oboje nagrywaliśmy, bo to ona wybrała akurat nas do tej piosenki. A my oboje chętnie podeszliśmy do tego zadania. Kocham różne gatunki muzyczne i staram się wiernie odtwarzać to, co jest dla nich charakterystyczne. Lubie również słowiańszczyznę. Nie wiedziałem jednak, że ta piosenka będzie miała taki oddźwięk. Powstaje przecież wiele utworów, o których ludzie nawet nie mają pojęcia, bo nie ma ich w publikacjach. Gdyby taką „Dumkę” nagrać na którąś z naszych płyt, a nie byłaby wizytówką filmu

„Ogniem i mieczem”, to raczej nie zaistniałaby w wielu radiach, szczególnie tych komercyjnych. Tymczasem okazało się, że trącenie tej słowiańskiej struny sprawiło, iż ludzie pokochali ten utwór aż tak, że ponoć był najdłużej na wszystkich listach przebojów w Polsce.

Podobno nagrywaliście tę piosenkę z Edytą osobno. To prawda?

Nie. Nagrywaliśmy razem. Po prostu tylko były nanoszone osobno.

W 1999 roku reprezentował pan Polskę na Eurowizji z utworem „Przytul mnie mocno”. Po latach wyznał pan: „Pojechałem tam z czymś, co mnie nie odzwierciedlało”. Jak to się stało?

Najpierw powstała piosenka, a potem został do niej wybrany wokalista. Tak zdecydowała wtedy telewizja. Eurowizja nigdy nie była moim ulubionym festiwalem, bo nie lubię konkursów. Artyści to nie sportowcy, a z gustami się nie dyskutuje. Każdy powinien hołdować takiej muzyce, jaka mu się podoba, a drugi powinien to szanować. Wcześniej wygra-

łem cztery duże europejskie festiwale, ale nie było tam półkamery i nikt tego nie pokazał. Na Eurowizji było za to mnóstwo kamer – a ja akurat zająłem niespektakularne miejsce. (śmiech)

Nie odpowiadała panu ta piosenka?

Piosenka jest fajna, w stylu Seweryna Krajewskiego. Ale nie na takie czasy i nie na Eurowizję. Tam inne rzeczy są w cenie. Zresztą wszyscy wiedzą, że to manipulowany konkurs. Nie mówię tu o sobie. Ciągłe nie wierzę, że Alicja Szemplińska dostała od widzów tylko siedemnaście punktów. (śmiech)

W międzyczasie mocno zaangażował się pan w tworzenie sceny muzyki chrześcijańskiej w Polsce, występując z zespołami New Life M, Deus Meus i TGD. Śpiewanie gospel było ważne w pana karierze?

Bardzo ważne. Choć okazało się, że w Polsce płaci się za to niespodziewanie wysoką cenę.

Czyli?

Czyli odrzucenie. Mieszkiałem wtedy w Krakowie przy Placu Wolnica i nagle okazało się, że media i wydawcy, którzy bądź co bądź są polską inteligencją, zareagowali odrzuceniem mnie za przekroczenie tego, co jest od nas większe. Moje nagrania są rodzajem dziennika, który jest upubliczniony. Są wyrazem moich fascynacji i zainteresowań. A ponieważ najbardziej sobie cenię wolność w każdej dziedzinie życia, to zawsze robiłem to, co chciałem. Nie lubię, kiedy ogranicza się jednostkę, która nie chce być ograniczana. Tym bardziej, kiedy ma zdolność wykreowania czegoś, co jest charakterystyczne. Na tym przecież polega działanie artystyczne. Miałem więc szczęście robić to, co chcę, ale było to jakoś dziwnie oceniane.

Czyli ta silna obecność na scenie muzyki chrześcijańskiej zaszkodziła pana karierze w muzycznym mainstreamie?

Oczywiście. Nawet bardzo. Do dziś płacę za to cenę. Wydawcy nie chcieli mnie wydać, a radia nie chciały mnie grać z tego powodu, że niby zajmuję się działalnością religijną. A ja nie to miałem na myśli. Dla mnie człowiek składa się z ciała i duszy, dlatego trzeba opowiadać o obu tych sferach. I tak się starałem. Muzyka była ciałem, a słowa były duszą.

Kiedyś powiedział pan: „Bóg sprawia, że jestem lepszym artystą”. Jak to działa?

Jeżeli szukasz czegoś, co jest od ciebie większe w sensie dobra, piękna i prawdy, to poszerzasz swoją świadomość i staryś się być lepszy niż jesteś. Ma to bezpośredni wpływ na to, co robisz. Skoro zmiana świata ma zaczynać się od zmiany siebie,

być może to jest właśnie najlepsza droga. Zwracając się ku Bogu, rozwijasz zarówno ciało, jak i duszę, pasiesz całego człowieka. To nie jest nic odkrywczego. Robiło to wielu artystów przede mną. Cała historia muzyki, literatury, architektury, malarstwa, rzeźby jest pełna twórców, którzy inspirowali się duchowymi rzeczami. Albo którzy mieli za to zapłacone. (śmiech)

W jednym z wywiadów wyznał pan: „Chciałem niegdyś wycofać się z zawodu. Uznałem, że będę zarabiał na życie w inny sposób”. Z czego to wynikało?

Z tego, że przez całe swoje życie mam problemy z wydaniem każdej płyty. Trzeba więc mieć końskie zdrowie, by się uprzeć i ciągnąć to ponad czterdzieści lat. W pewnym momencie musiałem sobie odpowiedzieć na pytanie, czy właśnie po to zostałem wymyślony. Wydawcy i radiowcy są zblazowaną publicznością, mają za dużo muzyki i własne gusta. Tymczasem artyści tworzą dla ludzi, którzy naprawdę tego potrzebują. Publikatory jednak tego nie wiedzą, bo tego nie badają. Dlatego jest wielu wspaniałych wykonawców, którzy borykają się z takimi samymi problemami jak ja.

Ponoć to Irena Santor odwiedziła pana od zamiaru porzucenia zawodu. Jak to się stało?

Powiedziała, że sobie nie życzy, abym zrezygnował ze śpiewania, bo na moje miejsce wyrośnie dziesięć chwastów. (śmiech) Dodała przy tym coś, co mnie najbardziej przekonało: że kiedyś na czele każdej redakcji muzycznej stali ludzie, którzy byli muzykami, a dziś przeważnie są to biznesmeni, którzy traktują ją jak prywatny folwark. Kierują się własnym widzimisię, zamiast dawać możliwość wyboru publiczności. „Są wśród nich ludzie, którzy nie mają pojęcia, co pan robi. Nie mają nawet narzędzi, by ocenić to, jak pan śpiewa. Ich to nie interesuje i nie mają takiej wiedzy” – powiedziała mi. Pomyślałem wtedy: „Czy zostałem do tego wymyślony i to jest moje zadanie?”. Bo przecież każdy z ludzi ma zadanie życiowe i powinien to odkryć. I po namyśle stwierdziłem: „Tak. To jest moje zadanie. I żeby skały sikały, będę to robił bez względu na powodzenie, popularność i ilość pieniędzy na koncie”.

Nigdy nie myślał pan, żeby nagiąć się do wymagań i trendów rynku, żeby lepiej się panu powodziło?

Patrząc na gusta publikatorów, to nie bardzo. (śmiech)

Dzisiaj tyle samo radości co muzyka daje panu sadownictwo. Jak pan odkrył tę pasję?

To właściwie nie sadownictwo, a dendrologia. Drzewa są bowiem dla mnie niezwykłym

wykwitem przyrody. To dla mnie metafora tego związku między ciałem a duszą. Bo jeśli zasiejesz małe ziarno, a po 25 latach wyrośnie ci według własnego widzimisię wielki „potwór”, to czujesz się do niego przywiązany, jest dla ciebie jak twoje dziecko. U mnie z pustego pola powstał ogród pełen drzew, który wygląda jakby taki był zawsze. Kiedyś powiedziałem do przyjaciół, zapraszając ich na urodziny: „Nie przywoźcie drogich i niedrogich pierdół, tylko sadzonki drzew. Posadźmy je i będziemy mieli wieczną pamiatkę”. I tak się też stało.

Co daje panu takie bliskie obcowanie z naturą?

To samo, co obcowanie z afroamerykańskim chórem, kiedy razem ćwiczymy, nagrywamy czy dajemy koncert w Los Angeles. Albo kiedy idziemy razem poucztować i zjeść coś w knajpie o barwnej nazwie „Dirty South”. To dla mnie wielki przywilej i przygoda. Tak samo jest z moim ogrodem. Te drzewa i krzewy, którymi opiekuję się już 25 lat, są dla mnie jak rodzina. Kiedy gdzieś wyjeżdżam, to za nimi tęsknię. A gdy wracam, gadam z nimi i ustaliam różne rzeczy. (śmiech)

Kiedy w zeszłym roku pojawił się pan w Opolu, aby odsłonić swą gwiazdę w Alei Gwiazd, wszyscy byli zachwyceni, że tak świetnie pan wygląda. To zasługa pracy w sadzie?

Bezwzględnie. Udało mi się zbić wagę, bo niegdyś trochę się zapuściłem. Jestem dwudziestoletnim cukrzykiem i zrobiłem to więc przede wszystkim dla zdrowia. Ale widzę, że przełożyło się to na inspirację dla innych.

Nie założył pan rodziny. Nie czuje się pan czasem samotny na tej swojej posiadłości?

Nie. Moi roślinni towarzysze są dla mnie tak samo ważni, jak towarzysze ludzcy i zwierzęcy. Ktoś, kto ma sad czy ogród, wie, o co chodzi. Jestem człowiekiem, który nie czuje różnicy między różnymi przejawami życia, między człowiekiem a zwierzęciem czy rośliną. Nie trzeba przecież zawsze rozmawiać słowami. Wystarczy spojrzeć sobie w oczy. A ja wierzę, że drzewa też mają oczy.

Kiedyś zadeklarował pan: „Dopóki oddycham, będę śpiewać”. Zamierza pan dotrzymać tej obietnicy?

Oczywiście. Na pewno będę zawsze śpiewał dla siebie. Bo jak będzie marnie, to nie będę tego upubliczniał. (śmiech) Ale tak na serio: śpiew to moja życiowa pasja, coś jak oddychanie. Kocham to – i pewnie będę to robił, podobnie jak uprawiał ogród i malował obrazy, dopóki pozwoli mi na to ciało, czyli nasza marna skorupka.

ALEKSANDRA HARASIUK: NIECH BURSZTYN ZOSTANIE ZACZAROWANY

– Niech bursztyn ma w sobie wszystkie legendy, historie i tajemnice. Chodzi o coś innego: o zbudowanie świadomości, że kupując bursztyn, zwłaszcza bursztyn naturalny, kupujemy kawałek historii. To jest coś, co przez ponad 40 milionów lat było ukryte w ziemi i przechowało dla nas ślad dawnego świata – mówi Aleksandra Harasiuk

Amita Czupryn

Mam takie małe marzenie i myślę, że nie tylko ja: pojechać na urlop nad Bałtyki i znaleźć piękny, wielki bursztyn. Jakie są na to szanse latem?

Jako że z bursztynem wiąże się nauka i wiedza, to trzeba wiedzieć, jakie warunki sprzyjają temu, by znaleźć bursztyn na bałtyckim wybrzeżu, nie tylko w Polsce, ale też na Litwie, Łotwie, w Rosji czy w Skandynawii. Najlepsza jest pogoda sztormowa. Najczęściej to, co znajduje się w morzu w postaci żywicy, czyli bursztynu, wyrzucane jest na brzeg w okresie luty-marzec albo październik-listopad. Wtedy mamy największe zmiany prądów w Bałtyku. Podczas sztormów natura porusza tym, co zalega jeszcze na dnie morza. Latem oczywiście też można bursztyn znaleźć, ale trzeba wiedzieć, gdzie i jak go szukać. Można też skorzystać z pomocy tak zwanych poławiaczy bursztynu i wędrówacich śladem. Dzisiaj najbardziej znanym miejscem jest Mierzeja Wiślana. Są tam trzy miejscowości uznawane za centrum połowów bursztynu. Ale żeby znaleźć naprawdę dużą bryłę, to oprócz posiadania wiedzy trzeba się jeszcze urodzić pod szczęśliwą gwiazdą.

Czy bursztyn jest surowcem niewyczerpywalnym? Ile go właściwie jest? Znajduje się tylko w morzu?

Bursztyn, czyli kopalna żywica, występuje w różnych zakątkach świata, ale pochodzi z różnych epok kształtowania się kontynentów i lądolodów. Nasz bursztyn bałtycki związany jest z formowaniem się kontynentu europejskiego i Skandynawii, z tak zwanych wysp Fenno-

skandii. To czasy eocenu. Tak określamy pochodzenie bursztynu bałtyckiego, jako czas w historii geologicznego tworzenia się naszej części świata. Jeśli chodzi o bursztyn bałtycki na terenie Polski, mamy dwa zasadnicze regiony złóż, które Państwowy Instytut Geologiczny pokazuje w bilansie złóż kopalin. Ostatni dostępny bilans, sporządzony na 31 grudnia 2024 roku, wskazuje województwo lubelskie i pomorskie. Lubelskie oceniane jest na 3690 ton (zasoby przemysłowe wynoszą 2059 ton). 11 złóż lubelskich to 3648 ton i położone są na głębokości 20-30 metrów. Pomorskie oceniono na 41 ton na głębokości 60-130 metrów. Obecnie eksploatowane są złoża w województwie lubelskim: Górka Lubartowska, Leszkowice i Niedźwiada III. W ubiegłym roku, zgodnie z raportem, wydobyto ponad 9 ton bursztynu. Każde wydobycie jest zgłaszane do oficjalnych służb, stąd znamy te liczby.

Ile ważyła największa znaleziona bryła bursztynu?

Jeżeli mówimy o bursztynie bałtyckim, największa znana bryła waży 9,75 kilograma. Została znaleziona w 1860 roku w Rarwinie koło Kamienia Pomorskiego. Dziś znajduje się w Muzeum für Naturkunde w Berlinie.

A najpiękniejszy artefakt z bursztynu, którym możemy się chwalić w Polsce?

Jeżeli mówimy o kolekcjach bursztynu w Polsce, bardzo ważne jest Muzeum Zamkowe w Malborku. Tam znajdują się jedne z najcenniejszych obiektów bursztynowych w Polsce. Muzeum Bursztynu w Gdań-

sku to #mustvisit. Ale tuż za granicą Polski, w Ribnitz-Damgarten, znajduje się Deutsches Bernsteinmuseum, czyli Niemieckie Muzeum Bursztynu. Są tam niezwykle cenne rzeczy z bursztynu związane z dawnym, przedwojennym Gdańskiem, który był wtedy miastem silnie związanym z kulturą niemieckojęzyczną. Oni mają obiekty, których my prawdopodobnie nigdy już w Polsce nie będziemy mieli.

Dlaczego bursztyn bałtycki jest tak wyjątkowy na tle innych żywic kopalnych świata?

Z jednego powodu: zawiera kwas bursztynowy na poziomie 5-8 procent. Przypisuje mu się właściwości korzystne dla zdrowia człowieka. Z bursztynem wiążą się legendy i wierzenia ludowe, które mają ponad 3000 lat. Kiedy patrzymy na jego właściwości mineralogiczne, nie z perspektywy lekarzy czy farmakologów, ale historii i medycyny tradycyjnej, to widzimy przede wszystkim legendy, przekazy i wierzenia. Mówiono, że bursztyn i kwas bursztynowy znajdują się na zewnętrznej warstwie bryłki, którą potem noszono jako biżuterię, amulet czy talizman, mają dobry wpływ na człowieka. Ale trzeba jasno powiedzieć: to nie jest wiedza medyczna w ścisłym sensie.

Czy bursztyn może być polskim diamentem?

Bursztyn bałtycki jest naszym skarbem narodowym, dobrem narodowym i dziedzictwem kulturowym. Ale zawsze bardzo mocno podkreślamy, także PR-owo, że nie ma czegoś takiego jak „bursztyn polski”. Jest bursztyn bałtycki, który wystę-

puje na wspomnianych terenach. Dla nas jest dobrem i dziedzictwem kulturowym, ponieważ od ponad 3000 lat na ziemiach, które dziś znajdują się na mapie Polski, był przetwarzany i używany jako amulet, talizman, przedmiot dekoracyjny czy element kultury. Pod Nowym Dworem Gdańskim znaleziono figurki z bursztynu, które miały ponad 3000 lat. Od setek lat eksportowaliśmy wyroby z bursztynu jako przedmioty rzemiosła i podarunki dyplomatyczne. Jedną z badaczek napisała na KUL-u wspaniałą pracę doktorską o tym, jak od XVII wieku z naszych terenów trafiały w świat bursztynowe szkatuły, kufle, różańce i inne przedmioty jako podarunki dyplomatyczne. Różańce upowszechniali między innymi Krzyżacy z Malborka, którzy monopolizowali wydobycie i handel bursztynem od X wieku. Na ziemiach polskich przez wieki zajmowano się przetwórstwem tego surowca. Mamy na to dowody, mamy wspaniałe okazy w wielu muzeach w Polsce. Dlatego uważam, że powinniśmy mówić o bursztynie jako o naszym dobru narodowym i zapleczu kulturowym. To fascynujące dziedzictwo, które wreszcie warto podnieść do takiej rangi, jak twórczość Chopina czy dorobek Marii Skłodowskiej-Curie.

Diament mierzy się w karatach. A czym mierzy się bursztyn? Wagą, pięknem, kolorem, historią, pochodzeniem?

To dziś jedna z najważniejszych kwestii, którymi zajmuje się Międzynarodowe Stowarzyszenie Bursztynników z siedzibą w Gdańsku. Bursztyn jako żywica od lat był modyfi-

kowany. Jeśli chodzi o skład chemiczny, w 60-80 procentach składa się z węgla, potem z tlenu i wodoru, a także niewielkiej ilości siarki. Po wrzuceniu do ognia płonie, stąd niemiecka nazwa Bernstein. Jest jednak kruchy: w skali Mohsa jego twardość wynosi około 2-2,5. Dlatego nie przetrwał tak jak diament, najtwardszy minerał świata, który ma twardość 10. Po diamentie można przejechać czołgiem i nic mu się nie stanie. Bursztyn łatwo się kruszy, stąd tak mało przetrwało zabytków i artefaktów wykonanych z bursztynu.

O co więc dziś toczy się walka na rynku bursztynu?

O uporządkowanie zasad oceny. Diament ma swoje 4C, czyli kryteria wartości. To bardzo ważne, bo pozwala ograniczać chaos na rynku kamieni jubilerskich. W przypadku bursztynu czegoś tak jednoznacznego nie mamy. W 1996 roku, czyli ponad 30 lat temu, powstało Międzynarodowe Stowarzyszenie Bursztynników. Jedną z jego założycielek była profesor Barbara Kosmowska-Ceranowicz, która od lat 70. zajmowała się bursztynem bałtyckim. W stowarzyszeniu spotkali się naukowcy z różnych dziedzin: chemicy, fizycy, paleontolodzy, historycy sztuki. Musieli wspólnie zastanowić się, jak klasyfikować kamienie jubilerskie z bursztynu. Taka klasyfikacja powstała i wiele osób na świecie – jak muzealnicy, kolekcjonerzy czy gemmologodzy – ją stosują. Ale nie możemy jej nikomu narzucić, bo Międzynarodowe Stowarzyszenie Bursztynników jest organizacją pozarządową. To nie jest prawo obowiązujące cały świat. Dziś ta klasyfikacja obejmuje cztery podstawowe kategorie. Pierwsza to bursztyn naturalny. Niewygrzewany, niepoddany żadnej obróbce technologicznej zmieniającej barwę czy właściwości. Może być wypolerowany, może zostać użyty do naszyjnika albo koralu, ale nie został technologicznie zmodyfikowany przez człowieka. I to jest najcenniejszy okaz. Druga kategoria to bursztyn modyfikowany, czyli kamień, którego wygląd, tekstura bądź trwałość zostały zmienione w wyniku ingerencji człowieka, np. przez obróbkę termiczną. Może wówczas zmieniać kolor i barwę. Sprzedawane są bursztyny barwione na czerwono czy jaskrawozielono, ale to nie są barwy naturalne. Trzecia forma to bursztyn rekonstruowany (prasowany). Jest poddawany nie tylko obróbce termicznej, ale też łączeniu kilku naturalnych bryłek pod wpływem podwyższonej temperatury i ciśnienia, tak aby powstał materiał, który można pociąć i wykorzystać w biżuterii. Czwarta kategoria to bursztyn łączony, tak zwany duplet/trypiet, gdzie kilka rodzajów mate-

riału może zostać zestawionych w jednej bryłce czy w jednym wyrobie. Jest też międzynarodowa organizacja, która w publikacjach dla kamieni jubilerskich traktuje bursztyn bałtycki jako część organicznych materiałów gemmologicznych, podobnie jak koral czy jadeit. I tam pojawia się bardzo ważne ostrzeżenie: jeżeli bursztyn został zmodyfikowany, nie można opisywać go jako naturalnego. Problem polega na tym, że nie wszyscy się do tego stosują. W laboratoriach gemmologicznych u naszych sąsiadów, na Łotwie czy w Rosji, często pisze się, że bursztyn jest naturalny, a dopiero obok dodaje słowo „modyfikowany”, tak aby uzyskać wyższą cenę. To, co robią nieuczciwi producenci, przemysłownicy i handlarze, to już osobna historia. A właściwie cała epopeja.

Jak często bursztyn się podrabia? I co może zrobić przeciętny człowiek, żeby nie dać się oszukać?

Po pierwsze, niestety, każdy może zostać oszukany. Dlaczego? Bo imitacja bursztynu bywają czasami nie do odróżnienia gołym okiem. Druga sprawa jest taka, że tych imitacji jest bardzo dużo. Od XIX wieku robiono różnego rodzaju materiały, które miały udawać bursztyn. Jednym z najbardziej znanych jest bakelit. To nic innego jak tworzywo sztuczne. Wszedł do masowej produkcji wtedy, kiedy chciano uzyskać materiał w kolorze bursztynu, który będzie podobnie wyglądał. Produkowano go między innymi w Niemczech i Stanach Zjednoczonych. W XX wieku było bardzo dużo takich podmian. W biżuterii vintage można znaleźć mnóstwo przykładów. Bursztynnicy zawsze się ekscytują, kiedy w filmie czy serialu pojawia się duża zawieszka przypominająca bursztyn. Tak było choćby przy jednej z nowszych produkcji związanych z „Seksem w wielkim mieście”. Jedną z aktorek miała dużą zawieszka i wszyscy uznali, że to bursztyn. Tymczasem był to bakelit. Podobnie Iris Apfel miała wiele dużych naszyjników. Nosiła bursztyn, faktycznie go lubiła i miksowała z innymi rzeczami, ale część jej biżuterii była również bakelitowa.

Jak najprościej sprawdzić, czy coś jest prawdziwym bursztynem?

Najuczciwsza odpowiedź brzmi: sprzedawca nie jest w stanie dać państwu stuprocentowego potwierdzenia. Od tego są rzeczoznawcy i laboratoria. W Polsce takim miejscem jest laboratorium bursztynu Międzynarodowego Stowarzyszenia Bursztynników w Gdańsku, nadzorowane przez naukowców. To bardzo ważne, bo istnieją też labo-



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Aleksandra Harasiuk, była dyrektorka Międzynarodowego Stowarzyszenia Bursztynników, konsultantka biznesowa

ria, które nie są prowadzone w taki sposób, a badania wykonują samozwańcy rzeczoznawcy, którzy mogą potwierdzić właściwie wszystko. Każdy może więc wysłać wyrób albo pojechać do Gdańska i sprawdzić, czy ma do czynienia z bursztynem naturalnym, bursztynem modyfikowanym czy imitacją. Oczywiście można też wiele wyczytać z koloru i wyglądu. Stowarzyszenie Bursztynników opublikowało na ten temat sporo artykułów: o tym, czy zielony bursztyn jest naturalny, czym jest bursztyn koniakowy z charakterystycznymi pęknięciami w środku, który wielu osobom wydaje się naturalny. Literatura jest bardzo bogata. Mam duży szacunek do sprzedawców, ale to nie są osoby, które powinny być źródłem stuprocentowego potwierdzenia. Od tego są rzeczoznawcy gemmologiczni. Wielu sprzedawców chce doradzić jak najlepiej, ale wiedza na temat bursztynu w różnych miejscach bywa bardzo różna. Czasem niestety wprowadza kupujących w błąd.

Chciałabym zapytać także o ciemną stronę bursztynu: przemysł, nielegalne wydobycie,

cie, szarą strefę. Jak to wygląda?

To nie jest szara strefa. To jest czarna strefa, czyli przestępstwo. Przemysł jest przestępstwem. Nielegalne wydobycie jest przestępstwem. Wprowadzanie na rynek imitacji bursztynu jako prawdziwego bursztynu również jest oszustwem. Zdarza się na przykład, że producent kupuje worek surowca, a ktoś celowo dorzuca do niego imitację. To także jest przestępstwo. Trzeba spojrzeć na prawo, które obowiązuje w Polsce. Z kwestiami wydobywczymi ma do czynienia między innymi Ministerstwo Klimatu i Środowiska, te przepisy nie regulują jednak wszystkiego w sposób idealny. Jeśli ktoś ma własną działkę i zaczyna tam kopać bursztyn na swój użytek, powinien mieć zgodę odpowiedniego urzędu na prace wydobywcze. Czy wszyscy ludzie w Polsce to robią? Nie wiem. Czy zawsze jest to traktowane jako przestępstwo? To też nie jest takie proste. Przestępstwem było natomiast to, co działo się w szalonych latach 90., w pierwszej fali bardzo agresywnego kapitalizmu. Wtedy wiele grup przestępczych, korzystając

z braku regulacji i chaosu prawnego, rozkopywało lasy, plaże i różnego rodzaju działki bez żadnych pozwoleń. Zostawiano po sobie zniszczone tereny, które stawały się zagrożeniem dla ludzi, zwierząt, roślin i drzew. To były działania przestępcze. Wydaje mi się, choć nie jestem policjantką ani osobą pracującą w służbach, które to śledzą, że w Polsce na taką skalę właściwie już się tego nie robi. Mamy większą świadomość i wiemy, że grożą za to kary. Natomiast do Polski bursztyn nadal się przemycą. Sprawdzałam informacje z bilansu złóż kopalni w Polsce, publikowanego przez Państwowy Instytut Geologiczny. Są tam również dane służb celno-skarbowych. W latach 2015-2023 udaremniono w Polsce przemysł 18 ton bursztynu.

Stara się Pani o to, aby w Polsce powstał Instytut Bursztynu. Po co nam taki instytut?

Jestem jednoosobową lożybystką tego tematu. Spotkałam się już z kilkoma ministrami i przedstawicielami ministerstw, bo, jak wspomniałam, bursztyn to nauka, kultura, gospodarka i dyplomacja. W Polsce bursztynem zajmuje się

na co dzień dziewięć ministerstw i dwie kancelarie. Kancelarie dlatego, że przekazują bursztyn jako prezent dyplomatyczny. Dobrze byłoby więc, żeby wiedziały, jakiej jakości bursztyn przekazują. Muzea zajmują się bursztynem, bo kupują obiekty do swoich kolekcji. Ostatnia duża transakcja to 650 tysięcy euro za obiekt zakupiony przez Muzeum Bursztynu w Gdańsku, które jest instytucją samorządową miasta Gdańska. Instytut Bursztynu byłby dla mnie miejscem, które zrzeszałoby naukowców z całego świata zajmujących się bursztynem bałtyckim. To oni mogliby ustalić coś na kształt diamentowych 4C, czyli wspólną klasyfikację jakości bursztynu, którą stosowałyby różne kraje. Muszą to zrobić naukowcy, bo w bursztynie ocena wartości działa inaczej niż w diamentach. W diamentach inkluzje przeszkadzają, są traktowane jako nieczystość. Diament powinien być czysty. W bursztynie jest odwrotnie: inkluzja może podnosić wartość bryłki. Jeżeli w bursztynie znajdziemy bardzo rzadki okaz fauny albo flory, jego wartość rośnie. Przykładem jest jaszczurka zatopiona w bursztynie - niezwykle rzadka i cenna inkluzja. W bursztynie najczęściej zachowują się owady, pajęczaki czy fragmenty roślin, a drobne gady należą do prawdziwych unikatów. Taki instytut mógłby więc uporządkować chaos w ocenie bursztynu. Po drugie, archiwizowałby wiedzę, która jest dziś rozproszona między wieloma dziedzinami nauki. Po trzecie, dzieliłby się tą wiedzą ze światem. A świat tej wiedzy potrzebuje. Bardzo aktywne są dziś rynki azjatyckie, szczególnie Chiny, oraz rynki arabskie. W handlu bursztynem i obiektami z bursztynu obraca się tam ogromnymi pieniędzmi. Ale często brakuje instytucji, do której można się zwrócić po rzetelną, państwową, naukową ekspertyzę.

Chodzi więc nie tylko o promocję bursztynu, ale też o bezpieczeństwo rynku?

Tak jest. Mamy dziś bardzo palący problem: nie ma prawnego uregulowania czynności zawodowej rzeczoznawcy jubilerskiego, nie tylko od bursztynu, ale w ogóle od biżuterii, zegarków, diamentów czy kamieni szlachetnych. Cały luksusowy rynek w Polsce funkcjonuje w dużej mierze dzięki rzeczoznawcom, którzy są samozwańcy. Teoretycznie dziś mogą się obudzić i powiedzieć: jestem rzeczoznawcą bursztynu. Mogę pójść do galerii sztuki albo muzeum i zaproponować, że będę pomagała wyceniać obiekty. Nie ma regulacji, a to może rodzić ogromne konsekwencje. Złazcza gdy mówimy o rzeczach bardzo drogich, kupowanych za pu-

bliczne pieniądze. Kolejna sprawa to konserwacja. Nie mamy wyspecjalizowanego ośrodka konserwacji artefaktów bursztynowych. Rosjanie mają to bardzo dobrze opanowane. Tymczasem bursztyn, przez swoje właściwości fizyczne i kruchość, a także przez niewłaściwe warunki ekspozycji, może ulegać zniszczeniu. Jeśli muzeum kupuje obiekt za ogromne pieniądze, musimy mieć zaplecze chemiczne i konserwatorskie, które pozwoli go zabezpieczyć. Konserwujemy przecież wszystkie inne zabytki. Bursztyn także tego wymaga, dlatego Instytut Bursztynu nie byłby tylko miejscem promocji. Byłby centrum nauki, klasyfikacji, ochrony rynku, ekspertyz, konserwacji i archiwizacji wiedzy. Potrzebujemy takiego zaplecza, jeśli naprawdę chcemy traktować bursztyn jako nasze dziedzictwo.

Czytałam, że nasz bursztyn cieszy się ogromnym powodzeniem w krajach arabskich. Dlaczego?

To są historie znane od tysięcy lat. Bursztyn trafił na tamte rynki już bardzo dawno temu. Peter Frankopan pisał o tym w „Jedwabnych szlakach”, także w kontekście dawnych szlaków niewolniczych. Według tych opisów bursztyn był przewożony razem ze Słowianami, którzy trafiali na tamte rynki jako niewolnicy. Był zupełnie inny niż znane im materiały wykorzystywane do zdobnictwa. A człowiek od tysięcy lat fascynował się tym, co świeci, co jest piękne, niezwykle, inne. Bursztyn ma też tę właściwość, że kiedy bierze się bryłkę do ręki, ona jest ciepła. Zachowuje się inaczej niż zwykłe minerały. To działało na wyobraźnię. Kiedy pojawiły się religie i modlitwa, bursztyn zaczął funkcjonować również jako materiał do przedmiotów religijnych. I dlatego dzisiaj jednym z najcenniejszych akcesoriów dla męczczyzn w krajach Bliskiego Wschodu są mużułmańskie różańce, czyli prayer beads. W krajach arabskich, zwłaszcza w sześciu państwach Rady Współpracy Zatoki Perskiej, mężczyźni potrafili wydawać na nie ogromne pieniądze. Bursztyn z Polski jest tam traktowany jako synonim super-luksusowego materiału. Nawet mniejsi kolekcjonerzy potrafili mieć po kilkaset takich różańców. Na bazarach, gdy wisi różaniec z bursztynu i jest przy nim informacja „made in Poland”, jego cena jest wyższa. Ich podejście do bursztynu to w ogromnej mierze właśnie zakup prayer beads, czyli kulek do modlitwy. W islamie odmawia się 99 imion Allaha i trzeba je sobie odliczać. Chrześcijaństwo później zaadaptowało podobną formę do własnych róż-

zańców. U nas różańce chrześcijańskie są dziś używane coraz rzadziej, natomiast w krajach arabskich te bursztynowe kulki nadal funkcjonują bardzo mocno. Rozmawiam z młodszyimi kolekcjonerami i widzę, że dla nich coraz częściej jest to także atrybut luksusu. Przeciętny bogaty Arab ma bardzo dobry zegarek, bardzo dobry samochód, czyli kluczyki do niego, i właśnie bursztynowy różaniec. To są trzy rzeczy, bez których nie wychodzi z domu.

Ma Pani pomysł, żeby odczarować bursztyn z wizerunku staromodnej zawieszki? Jak pokazywać go jako nowoczesny design, coś wartościowego i jednocześnie opowieść o Polsce?

Ale ja nie chcę odczarowywać bursztynu - niech on zostanie zaczarowany. Niech ma w sobie wszystkie legendy, historie i tajemnice. Chodzi o coś innego: o zbudowanie świadomości, że kupując bursztyn, zwłaszcza bursztyn naturalny, kupujemy kawałek historii. To jest coś, co przez ponad 40 milionów lat było ukryte w ziemi i przechowało dla nas ślad dawnego świata. Niezależnie od tego, czy mówimy o surowej bryłce, czy o obrobionym bursztynie. Jeśli chodzi o biżuterię, czyli już konkretne wyroby z bursztynu, wszystko zależy od świadomości, ale też od odpowiedzialności producentów. Mamy wielu twórców, którzy robią fantastyczny, nowoczesny design. Taki, w którym gdyby w miejsce bursztynu włożyć szafir, nadal byłaby to piękna biżuteria. Ale są też przedsiębiorcy, którzy traktują bursztyn jak tani surowiec i oprawiają go w tani design. Bez dobrego wzornictwa, bez myślenia o tym, czym dzisiaj może zachwycić współczesnego miłośnika biżuterii. Dlatego potrzebne są dwie rzeczy. Po pierwsze, świadomość klientów: co kupują i dlaczego kupują bursztyn. Po drugie, odpowiedzialność projektantów i producentów, żeby pokazywać bursztyn w sposób nowoczesny, ciekawy, atrakcyjny. Takie działania podejmowaliśmy w Stowarzyszeniu. Jeździliśmy po świecie i pokazywaliśmy wyroby designu oraz twórców, którzy naprawdę robią fantastyczne rzeczy. Staraliśmy się też lokować bursztyn w filmach i serialach dzięki współpracy z kostiumografami. Bursztyn pojawił się między innymi w filmie „Miłość na pierwszej stronie” Marii Sadowskiej czy w serialu Polsatu „Bracia”, którego część zdjęć realizowano w Gdańsku i Trójmieście. Chodzi o to, żeby dzisiejszy klient zobaczył, że bursztyn nie musi być wielką, ciężką zawieszka znaną z dawnych lat - może być elementem bardzo dobrej, współczesnej biżuterii.



Już jutro największy bieg uliczny w historii Polski - XII Nocny Wrocław Półmaraton, organizowany przez Młodzieżowe Centrum Sportu Wrocław. W tym roku kompletnie zmieniono trasę biegu, ale biegacze - tak jak w 11 poprzednich edycjach - pojawią się na pięknie oświetlonym moście Grunwaldzkim.

FOT. JAROSŁAW JAKUBCZAK

Szykuje się święto biegania we Wrocławiu, ale też ogromne wyzwanie dla organizatorów XII Nocnego Półmaratonu Wrocław. Takiej liczby biegaczy i kibiców prawdopodobnie we Wrocławiu jeszcze nie było. 6 czerwca (sobota) na głównych ulicach miasta zostanie rozegrany bieg na maksymalnie 26 000 osób (tytuł jest zgłoszonych, ale zwykle 10 proc. z nich, z różnych powodów, nie pojawia się na starcie), co razem z uczestnikami imprez towarzyszących i kibicującymi, może dać liczbę sięgającą nawet 100 tysięcy.

Bo choć same zawody rozpoczną się 6 czerwca późnym wieczorem, o godz. 22, to tak naprawdę przez całą sobotę biegacze i osoby biorące udział w wydarzeniach, będą zmierzwały w okolice Tarczyńskiego Areny. Plan godzinowy na sobotę prezentuje się następująco:

● **10:00-21:00** - Biuro Zawodów (wydawanie pakietów startowych) i EXPO (Stadion Tarczyński Arena Wrocław, Al. Śląska 1)

● **12:00-20:00** - Miasteczko Biegowe na esplanadzie Tarczyńskiego Areny

● **16:00** - Bieg Rodzinny na terenach wokół stadionu

ZRUCHU ZOSTANIE WYŁĄCZONA ALEJA ŚLĄSKA - JUŻ W PIĄTEK - 5 CZERWCA

● **17:30** - Oficjalne otwarcie bram stadionu na koncerty (wystąpią m.in. Sara James oraz Agnieszka Chylińska)

● **20:30-21:30** - Czas na zgłaszanie się zawodników do wyznaczonych stref startowych na półmaraton

● **22:00** - Start 12. Tarczyńskiego Nocnego Wrocław Półmaratonu

● **00:30** - Zamknięcie trasy biegu

● **01:00** - Zakończenie imprezy

Organizatorzy już teraz sygnalizują, żeby nastawić się na dojazd komunikacją zbiorową. - Ze względu na skalę wydarzenia, zmiany w organizacji ruchu oraz ograniczoną dostępność miejsc parkingowych w rejonie stadionu, nie rekomendujemy planowania dojazdu samochodem bezpośrednio pod Tarczyński Arena Wrocław - piszą. - W czasie wydarzenia priorytetem będzie komunikacja zbiorowa

oraz specjalna organizacja ruchu wokół stadionu i trasy biegu.

Jakie utrudnienia czekają kierowców? Przede wszystkim z ruchu zostanie wyłączona aleja Śląska. Nastąpi to już w piątek - 5 czerwca i ulica będzie nieprzejezdna do niedzieli - 7 czerwca, do godziny 10.

Kolejna sprawa, która bezpośrednio dotyczy kierowców, to zakazy parkowania na ulicach, którymi został poprowadzony bieg. Od północy (5 na 6 czerwca) do godziny 3 w nocy - 7 czerwca, będzie obowiązywał zakaz parkowania na ulicach wymienionych poniżej. W tym czasie straż miejska będzie wywoziła na lawetach źle zaparkowane pojazdy z odcinków ulic:

LEGNICKA, od wyjazdu z CH Magnolia na długości zatoki autobusowej (nieczynny przystanek) - strona prawa;

LEGNICKA 44, parking pomiędzy ul. Stacyjną a ul. Boleświecką - strona prawa;



FOT. MIASTO WROCŁAW

Km trasy	Miejsce na trasie	Czas pierwszych zawodników	Czas ostatnich zawodników
START	al. Śląska	22:00	22:40
1 km	ul. Lotnicza	22:03	22:48
2 km	ul. Lotnicza	22:06	22:58
3 km	ul. Lotnicza	22:09	23:08
4 km	ul. Lotnicza/zajezdnia tram	22:12	23:17
5 km	ul. Lotnicza/MagnoliaPark	22:15	23:25
6 km	ul. Legnicka/ Dolmed	22:18	23:32
7 km	ul. Legnicka/ Nabycielska	22:21	23:40
8 km	Kazimierza Wlk./Krupnicza	22:24	23:48
9 km	Traugutta/Kraśnickiego	22:27	23:56
10 km	Pl. Grunwaldzki/Wyspiańskiego	22:30	00:10
11 km	Piastowska/Grunwaldzka	22:33	00:18
12 km	Sienkiewicz/ogród botaniczny	22:36	00:26
13 km	Most Piaskowy/Grodzka	22:39	00:34
14 km	Św. Mikołaja/Nowy Świat	22:42	00:42
15 km	Legnicka/Nowocławska	22:45	00:50
16 km	Legnicka/Zachodnia	22:48	01:00
17 km	Legnicka/Białowieska	22:51	01:08
18 km	Lotnicza/Milenijna	22:54	01:16
19 km	Lotnicza/Nowy Cmentarz Żydowski	22:57	01:24
20 km	Lotnicza przy wiadukcie dla linii tram.	23:00	01:32
META 21097,5 m	Płyta stadionu miejskiego Tarczyński Arena	23:03	01:40

Trasa XII Nocnego Wrocław Półmaratonu - godziny przebiegania pierwszych i ostatnich zawodników.

GRAFIKA MIASTO WROCŁAW

Takiego biegu jeszcze w Polsce nie było. Wrocław szykuje się do potężnej imprezy, mnóstwo utrudnień

Jerzy Wójcik

Już jutro (sobota, 6 czerwca) Wrocław zapełni się biegaczami. Na liście startowej 12. Nocnego Wrocław Półmaratonu zapisanych jest 26 tysięcy biegaczy. Szykuje się nam największy bieg uliczny w Polsce. To będzie ogromne wyzwanie organizacyjne dla miasta, boznaczna większość biegaczy przyjedzie spoza Wrocławia. Tylko około 7000 osób to biegacze z naszego miasta.

KAZIMIERZA WIELKIEGO,
od ul. Widok do pl. Św. Krzysz-
tofa (przed Pl. Dominikańskim)
- strona prawa;

ROMUALDA TRAUGUTTA,
od wyjazdu dla nr 1-7/9 do ul.
Kraśńskiego - strona prawa;

PIASTOWSKA, od Grun-
waldzkiej do H. Sienkiewicza -
dla obu kierunków;

H.SIENKIEWICZA, od ul.
Piastowskiej do ul. M. Sępa-Sza-
rzyńskiego - dla obu kierunków;

H.SIENKIEWICZA, od ul.
kard. S. Wyszyńskiego do ul. pl.
J. Bema - dla kierunku „pod
prąd” - jezdnią południowa
od pl. J. Bema do ul. Kard. S.
Wyszyńskiego);

PL. J. BEMA, od ul. św. Mar-
cyna do ul. B. Drobnera - strona
lewa dla kierunku „pod prąd”;

NOWY ŚWIAT, od ul. Cie-
szyńskiego do ul. Św. Mikołaja
- strona prawa;

ŚW. MIKOŁAJA, od ul. K.
Wielkiego do ul. Wszystkich
Świętych - strona prawa.

I najważniejsza, komunika-
cyjnie sprawa, ulice zamknięte
podczas przebiegania zawod-
ników, którzy - przypomnimy -
pobiegą zupełnie nową trasą
po Wrocławiu:

Organizatorzy informują, że
zamknięcia ulic rozpoczną się
już od godziny 20:30 i mogą
trwać - w przypadku tych naj-
bliższej stadionu, do godziny
3:30. - Ulice na trasie biegu
będą czasowo zamykane i ot-
wierane stopniowo po prze-



Dla kierowców, którzy zdecydują się skorzystać z własnych samochodów i podjechać w okolice Tarczyński Arena (choć najbliższe okolice stadionu będą niedostępne) przewidziano kilka parkingów, z których będzie można w kilkanaście minut dojechać lub dojeżdżać komunikacją specjalną. Powyżej umiejscowienie parkingów, które mają być czynne już od piątkowego (5 czerwca) wieczora.

biegnięciu ostatnich zawodni-
ków. Niektóre ulice zostaną
całkowicie wyłączone z ruchu
- prosimy o wcześniejsze prze-
parkowanie pojazdów - apeluje
MCS.

Ogromna większość linii
tramwajowych i autobusow-

wych, mniej więcej od godz.
20:30 zostanie zawieszona lub
zostaną zmienione trasy ich
przejazdu. Szczegóły znaj-
dziemy w zakładce: ZMIANY
W KURSOWANIU MPK POD-
CZAS NOCNEGO PÓŁMARA-
TONU.

Zawodnicy startujący
w XII Nocnym Półmaratonie
Wrocław mogą liczyć na do-
datkowe, specjalne linie ko-
munikacji miejskiej, które
będą dla nich darmowe (mu-
szą posiadać przy sobie nu-
mer startowy oraz doku-

ment potwierdzający tożsa-
mość). To między innymi li-
nie tramwajowe T1, T2 czy
T20 i autobusowe S1 i S2.
Szczegółowy rozkład jazdy
na: LINIE SPECJALNYCH NA
CZAS PÓŁMARATONU
ZNAJDZIECIE.

Dodatkowe połączenia dla
zawodników oraz kibiców
Nocnego Wrocław Półmara-
tonu przewidziały również
Koleje Dolnośląskie, zarówno
jeśli chodzi o dojazd na sta-
dion, jak i powrót po zawo-
dach. Szczegóły poniżej.

ROZKŁAD JAZDY W DNIU 06.06

WROCLAW
GŁÓWNY

→

WROCLAW
STADION

12:50 – 13:01
13:40 – 13:50
12:50 – 13:01
14:50 – 15:00
15:50 – 16:00
17:10 – 17:20
17:57 – 18:07
18:49 – 19:01
19:53 – 20:02
POŁĄCZENIE SPECJALNE
20:30 – 20:40
20:54 – 21:03
21:50 – 21:59
22:50 – 23:00

12. TARCZYŃSKI NOCNY WROCLAW PÓŁMARATON

ZAPLANUJ POWRÓT

WROCLAW
STADION

→

WROCLAW
KUŹNIKI

→

WROCLAW
MUCHOBÓR

→

WROCLAW
GŁÓWNY

06 CZERWCA OBOWIĄZUJE SIATKA POŁĄCZEŃ REGULARNYCH

ORAZ POŁĄCZENIA SPECJALNE:

23:03 – 23:13

01:00 – 01:10

02:30 – 02:40

03:30 – 03:40

04:46 – 04:58

12. TARCZYŃSKI NOCNY WROCLAW PÓŁMARATON

JAJA GRUBEGO

Hasło utworzą litery z pól ponumerowanych u dołu od 1 do 8.

POZIOMO: 1) lepszy stary niż atomowy, 4) ma władzę dzięki gwiazdzie, 7) polne i filmowe, 8) firma śleziowa zaczynająca od łososi, 9) towarzyszyły grajkowi na dachu, 10) rolnicy z Kenii, 11) pisarz i lotnik z księgarskiej rodziny, 13) poportugalska z Luandą i Kabindą, 16) koszt dzwonka, 21) łagodniejsza forma amoku, 24) ważne dla Indian Maya, 25) Sancho w pobliżu Don Kichota, 26) ważny w hotelu, spolszczony, 28) Kilonia, tam gdzie leży, 29) wojskowy uczeń we wziętkach, 32) rozstawił lokomotywę i Trąbalskiego, 33) pretensja z mansardy, 34) zniszczył Nagasaki, 35) kojarzony z gruszką, brawami i filmem, 36) dziwożona.

PIONOWO: 1) boksterskiej na wierzbie też brak, 2) bez koni się nie obejdzie, 3) daleki od „ciacha”, 4) kto se

naucza języków?, 5) ranny ptaszek, 6) ze starej ceramiki, 12) uszczypliwe Kochanowskiego, 14) miasto i dwie rzeki (co najmniej), 15) o co zabiegał kandydat na rycerza, 17) szczyt rozkwitu umysłowego, 18) głos z klawiatury, 19) italska Demeter, 20) z Olimpii lub z Samotraki, 22) ekspert od czegokolwiek, 23) informuje na czerwono lub niebiesko, 25) drewniana część łoda, 27) największa krętoroga, 30) dawno ją wypłacali, 31) ryży kudła, ... od źródła.

● Rozwiązanie z 22.05.2026 r.

Hasło: DZWONKI

POZIOMO: obuch, zasób, urząd, oryks, impet, canoe, pikling, garsonki, Wieśka, żółw, koleje, tułaczka, koza, Luiza, kokota, jaka. **PIONOWO:** oporopowrotnik, użytek, husyci, sztanga, zdzierstwo, Szopienice, bełt, angaż, luśnia, wizje, łkanie, lokaj, język, Łask, Zola.

1		2		3			4			5		6
				7								
		8										
							8					
9												3
							10					
				11	12							
13	14		15									
					16	17		18	19		20	
	21	22		23				24				
25						26	27					
				28					29	30		31
32												
35												5

1	2	3	4	5	6	7	8
---	---	---	---	---	---	---	---

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

ROKSANA WĘGIEL

Znalazła idealne miejsce

W Dzień Dziecka piosenkarka przekazała fanom radosną nowinę - oficjalnie rozpoczyna budowę własnego gniazda. Z tej okazji opublikowała w sieci fotografię, na której widać ją z rozłożonym planem domu na tle leśnego krajobrazu. - Pod Warszawą jest ta działka. Taka odległość bezpieczna. Do pracy można dojechać, ale to jest totalnie inny świat. Tam czas inaczej leci. My też w sumie dość długo szukaliśmy takiego idealnego miejsca. - powiedziała w rozmowie z Radiem Eska. I dodała: - Dom to niekończąca się historia, tak mi wszyscy mówią. Ciekawe jestem, jak to wszystko wyjdzie, ale mam mnóstwo inspiracji. Projekt jest w fazie wykończenia. Czekamy na spokojnie, bez presji będziemy sobie budować ten dom.

IZABELA JANACHOWSKA

Spełniła marzenie syna

Celebrytka już wkrótce powita na świecie drugie dziecko. I oczywiście chętnie dzieli się z internautami ważnymi chwilami ze swego życia. Tym razem postanowiła pokazać na Instagramie nagranie, na którym można zobaczyć, jak wraz z mężem przekazuje synowi wiadomość o swej ciąży. Dumni rodzice przygotowali dla siedmioletniego Chrisa specjalne pudełko w kształcie serca, w którym znalazły się symboliczne drobiazgi: smoczek, skarpetki, a także niemowlęce body. Na nagraniu widać zaskoczenie i radość chłopca, który wyznaje, że chciałby mieć młodszego brata. „Aż mi serce mięknie, kiedy na to patrzę. Chris od dłuższego czasu wspominał, że marzy o młodszym rodzeństwie” - napisała gwiazda pod nagraniem.

MAŁGORZATA ROZENEK-MAJDAN

Świętowała w łóżku

1 czerwca wypadły 48. urodziny celebrytki. Radosław Majdan nie omieszczał opublikować na Instagramie specjalnego filmiku, na którym można zobaczyć, jak wraz z synem Heniem składają jej ży-



FOT. SYLWIA DĄBROWA

Izabela Janachowska spodziewa się drugiego dziecka i już poinformowała syna, że ten będzie mieć rodzeństwo

czenia. Gwiazda TVN otrzymała od ukochanego i synka ogromne bukiety z biało-różowych hortensji ogrodowych. Nie zabrakło również uścisków i całusów. Także sama solenizantka udokumentowała swe święto na Instagramie. „Takie urodziny sobie wymarzyłam. W łóżku. W piżamie. Bez pędu. Od rana rozmawiam z cudownymi, życzliwymi ludźmi, którzy życzą mi jak najlepiej. Czytam wiadomości, odbieram telefony i myślę sobie, jakie mam szczęście. Jestem szczęśliwa, spełniona i otoczona wspaniałymi ludźmi” - napisała.

SKOLIM

Pokrzepia polskie serca

Jest nową gwiazdą rodzimej estrady, łączącą w swych przebojach disco polo z elementami latino. Zyskało to ogromną popularność. Tylko w wakacje Skolim zagra 150 koncertów, za które może każdorazowo dostać 75 tys. zł. To oznacza, że tylko w lecie zarobiłby w tym roku ponad 11 milionów złotych. Zainkasowane pieniądze lokuje w różnym: w luksusowe auta, własną stację benzynową, a ostatnio także w pensjonat nad morzem. - Moja stawka za koncert jest najwyższa w Polsce. Przyciągam ludzi, bawię ludzi, pokrzepiam polskie serca. Czasem dla kogoś do wódeczki, czasem dla kogoś w samochodzie na lepszy humor, a czasem po prostu na randkę, na pierwszy taniec - tłumaczy swój sukces „Super Expressowi”.

DODA

Nie umrze szybko

Podczas niedawnego wywiadu dla Kozaczka, dziennikarka serwisu spytała ją o... testament. Doda przyznała, że jeszcze nie spisała odpowiedniego dokumentu. Okazało się jednak, że wie już komu przekazać swój okazały majątek. - Na pewno oddam większość na zwierzęta. Nie mam swoich dzieci, więc zapewne na dzieci mojego menadżera, który jest mi jak brat i zawsze się mną opiekuje, zawsze jest na każde zawołanie. Ale ja nie zamierzam umierać jakoś szybko. Ja wiem od zawsze, czuję, że będę bardzo długo żyła. Pochodzę z rodziny długowiecznej, więc myślę, że będę żyła 100 lat - stwierdziła.

PIOTR GĄSOWSKI

Stworzył relację

Aktor, który ma za sobą dwa wieloletnie, nieformalne związki, utrzymuje bardzo dobre kontakty z matkami swoich dzieci. Ostatnio na profilu Gąsowskiego pojawił się wpis poświęcony Hannie Śleszyńskiej i relacji, jaką udało im się zachować po rozstaniu. Okazała była nietypowa - 25. rocznica zakończenia ich związku. „Można stworzyć przepiękną, czułą relację po rozstaniu. Trzeba tylko bardzo chcieć, otrząsnąć się, głęboko zakopać swoje ambicje czy wzajemne pretensje” - napisał aktor.

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne?

Telefonicznie: 800-472-852, 71/37-48-249

Przez internet: ibo.polskapress.pl

e-mail: ogloszenia.wroclawska@polskapress.pl

W Biurze Reklamy:

Biuro Ogłoszeń: **Wrocław**, ul. Świętego Antoniego 2/4
tel. 71/37-48-249, 71/37-48-132

Czekamy od poniedziałku do piątku w godz.: 8-16

WROCŁAWSKA

BIURA W REGIONIE:

Jelenia Góra, tel. 797 607 853

Legnica, tel. 514 800 870

Syców, tel. 514 800 969

Lubin, tel. 514 800 969

Wałbrzych, tel. 502 499 983

Głogów, tel. 798 751 830

Świdnica, tel. 502 499 983

BIURA WSPÓŁPRACUJĄCE:

ARPRO Sp. z o.o. Al. Kasztanowa 20, tel. 71/341-23-53

DAMAK'S ul. Kniaziewiczza 23 B, tel. 71/341-07-87

EUROPARTNER Centrum Ogłoszeń Prasowych Wrocław,
ul. Stefana Czarnieckiego 13, tel. 71/789-44-00 -03

PRESTIGE ul. Kościuszki 128a, tel. 693-693-737

SEBAMAR ul. Sienkiewicza 43, tel. 71/321-29-04

SUNPRESS Biuro Ogłoszeń Prasowych Plac Pereca 3 lok. 1 B, tel. 71/785-55-23

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

KUPIĘ garaż, mieszkanie, tel.
504-358-452.

KUPIĘ każde, got. w 24 h, 500-002-486

**Kupię mieszkanie zadłużone,
z trudnym lokatorem,
komornikiem, udziały. Gotówka,
883-402-202**

KUPIĘ udział w mieszkaniu
500185254.

MIESZKANIA - WYNAJMĘ

POSZUKUJĘ do wynajęcia mieszkania,
pokoju tel. 504-358-452.

Handlowe

ANTYKI

ANTYKI, stare obrazy, meble, starocie
- kupię, 660-532-696.

MASZYNY URZĄDZENIA

KUPIMY maszyny do obróbki metalu
i drewna. Tel.: 782-592-790.

Motoryzacja

CZĘŚCI WYPOSAŻENIE SPRZEDAM

SPRZĘGŁA-NAPRAWA Szczęki
hamulcowe - wymiana okładzin.
Świdnica. www.metalowiec.com Tel.
728-493-565.

AUTOREKLAMA

motofakty.pl

**Motoryzacja
na wysokich obrotach**
motofakty.pl

Finanse biznes

USŁUGI PRAWNE

USŁUGI prawne, pisma procesowe,
porady 24h. Tel. 727-409-713.

Praca

ZATRUDNIĘ

SPRZĄTANIE klatek schodowych oraz
posesji, Wrocław, tel. 515-144-576.

Usługi

AGD RTV FOTO

**Domowa naprawa telewizorów
LED, LCD; 71/351-60-02,
502-175-735.**

BUDOWLANO-REMONTOWE

ELEKTRYCZNE inst. Pomiary.
71/351-15-15, 603-867-128.

ELEKTRYCZNE Pogotowie
71/351-15-15, 603-867-128.

MALARZ, gładzie bezpył. 730-325-737

ROLETKI, żaluzje, moskitiery, okna,
rolety, drzwi. Montaż, produkcja,
naprawa, tel. 71/341-83-03.

INSTALACYJNE

ANTENA absolutnie profesjonalnie,
tel. 603-867-128, 71/351-15-15.

Awarie - Hydraulik - 505-087-474.

HYDRAULICY taniej 694-724-672

HYDRAULIK 24h, awarie 505-982-689.

Hydraulik natychmiast 500323373

PORZĄDKOWE

ZWALCZANIE pluskwy, 660-811-020.

PRZEPROWADZKI

TANIO 508-287-106, 71/784-55-63.

STOLARSKIE

Tapicerstwo tanio 601-892-927.

TRANSPORTOWE

WYWÓZ starych mebli, 660-811-020.

ZABEZPIECZAJĄCE

AWARIE zamków, montaż, serwis
drzwi antywłam. 501-104-158.

Turystyka

KRAJ - GÓRY

**Beskidy turnusy 7 dni od 1050
zł z 30% dofin. dla emerytów/
rencistów, tel 501-642-492.**

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze
śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok.
z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

KRAJ - MORZE

DANA - USTRONIE MORSKIE. Tanie
wczasy z wyżywieniem dla Seniorów.
601-585-510 www.danaustronie.pl

KOŁOBRZEG blisko morza! 511337308

KOŁOBRZEG!!! Wczasy-Tanio. Tel.
94/354-36-65.

ŁEBA - tanie pokoje z łaz. 603-471-715.

MORZE Ustronie Morskie, pok. z łaz.
VI, VII promocja! Tel. 503-936-581.

USTKA - ośrodek wypoczynkowy.
Promocje! Wczasy 604-486-413 www.morski101.pl

Różne

KASA za stare książki 609-643-399

Rolnicze

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%,
K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/
tona, 500-669-621

Towarzyskie

WANDY, 505-353-547.

REKLAMA



**Zarząd Spółdzielni
Mieszkaniowej Lokatorsko-Własnościowej
w Sycowie, ul. Mickiewicza 21,**

głasza przetargi nieograniczone jak niżej:

Przetarg 1

Roboty dekarские w postaci: wymiany rynny dachowej w budynku przy ul. Matejki 10 w Sycowie, wymiany opierzenia i zabudowy gzymsu w budynku przy ul. Matejki 22 w Sycowie, wymiany pokrycia dachowego z obróbkami blacharskimi wraz z robotami towarzyszącymi w budynku przy ul. Mickiewicza 21a w Sycowie, wymiany pokrycia dachowego z obróbkami blacharskimi i rynnami wraz z robotami towarzyszącymi w budynku przy ul. 15-lecia 1a w Sycowie i ul. Kaliskiej 26 w Sycowie (klatka A, B i C). Termin wykonania zadań do dnia 30.11.2026 r. sukcesywnie na poszczególnych nieruchomościach w kolejności wskazanej przez Zamawiającego.

Przetarg 2

Renowacja wypraw ścian i sufitów na klatkach schodowych wraz z robotami towarzyszącymi w budynku przy ul. Komorowskiej 2a w Sycowie (3 klatki). Termin wykonania zadań do dnia 30.06.2027 r. sukcesywnie na poszczególnych nieruchomościach w kolejności wskazanej przez Zamawiającego. Zamawiający zastrzega sobie prawo do rozłożenia robót na etapy z możliwością ich dalszej kontynuacji w 2028 r. przez oferenta wyłonionego w drodze przetargu.

Szczegółowy zakres robót określa specyfikacja istotnych warunków zamówienia, którą można odebrać odpłatnie w siedzibie Spółdzielni w dniu następnym po ukazaniu się ogłoszenia o przetargu. Koszt specyfikacji wynosi 50,00 zł – płatny przelewem na konto nr konta 29 1020 5297 0000 1502 0000 8417 (wymagane okazanie potwierdzenia przelewu w chwili pobrania specyfikacji). Osoba do kontaktów z oferentami – Pan Łukasz Kotala tel. 62 785 30 03, tel. 519 803 513 Ofertę należy złożyć w zamkniętej kopercie z zaznaczeniem numeru przetargu w sekretariacie Spółdzielni do dnia 22.06.2026 r. godz. 9.45

Otwarcie ofert nastąpi w siedzibie Spółdzielni (pokój nr 2) w dniu 22.06.2026 r.:

Przetarg 1 – o godz. 10.00

Przetarg 2 – o godz. 10.15

Oferta powinna spełniać warunki określone w specyfikacji.

Zarząd Spółdzielni ma prawo odwołać bądź unieważnić każdy przetarg bez podania przyczyn.

REKLAMA

0011459132

**ZŁOMOWANIE
POJAZDÓW**
tel. 600 609 606

Wszystkie formalności załatwiamy na miejscu
Płatność gotówką od ręki
Wydajemy zaświadczenie o demontażu
Odbieramy własnym transportem

Cenimy
Twój czas!

Stacja demontażu pojazdów | Czarkowo 16 | 64-125 Poniec

CL	LOW/MBZ	AD	CO	CU	OR	LA	KA	KA	OR	NA	AM	LI	TA
----	---------	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

ROZWIĄZANIE: PROZNO SIĘ TRUDZI, KTO NIE ZNA LUDZI.

Wiśniewski uratował nas przed porażką z Nigerią

Damian Świderski
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Reprezentacji Polski ledwo udało się zremisować w meczu towarzyskim z Nigerią 2:2. Remis uratował strzałem życia Przemysław Wiśniewski w doliczonym czasie gry.

Postawa Białło-Czerwonych w spotkaniu z Afrykańczykami była bardzo słaba i gdyby nie bramka obrońcy Widzewa Łódź, atmosfera byłaby jeszcze gorsza.

Polacy kilka dni temu, w meczu z Ukraincami (0:2), zagrali, jakby już czekali na wakacje. W środowy wieczór rywalem w Warszawie były „Super Orły”, czyli trzecia drużyna ostatniego Pucharu Narodów Afryki.

W pierwszych dwudziestu minutach gra zespołu Jana Urbana w była dość obiecująca. W 21. minucie meczu, Robert Lewandowski, zagrał piętą do Karola Świderskiego, któremu odskoczyła piłka i gdy próbował do niej dopaść, został ewidentnie nadepnięty przez rywala. Rumuński sędzia Alexandru Barbu nie podyktował jednak rzutu karnego. Dwie minuty później Nigeria przeprowadziła atak i piłkę do bramki Kamila Grabary skierował Terem Moffi. Sędzia przez chwilę zastanawiał się, czy uznać gola, ze względu na potencjalnego spalonego, ale po analizie VAR zaliczył bramkę. Gdy wydawało się, że Białło-Czerwoni będą schodzić na przerwę, przegrywając, wyrównał młodzieńki obrońca Mainz Kacper Potulski.

Kwadrans przed końcem meczu wydawało się, że Polacy są bliżsi zdobycia drugiej bramki. Ale jedna z nielicznych akcji rywali zakończyła się



FOT. PAP/LESZEK SZYMAŃSKI

Obrońca Widzewa Przemysław Wiśniewski strzałem rozpaczy z dystansu uratował Polskę przed porażką

przypadkowym kontaktem piłki z przedramieniem Kacpra Kozłowskiego i rzutem karnym, podyktowanym po analizie VAR. „Jedenastkę” wykorzystał w 77. minucie Paul Onuachu. Gdy zanosilo się na trzecią z rzędu porażkę Białło-Czerwonych, w doliczonym czasie gry Przemysław Wiśniewski zdecydował się na strzał rozpaczy z kilkudziesięciu metrów i piłka wpadła do siatki.

Gra reprezentacji z Nigerią przez większość kibiców i dziennikarzy została oceniona bardzo źle. Ale selekcjoner Urban miał inne zdanie. Wyznał po spotkaniu, że uważa ten mecz za całkiem dobry w wykonaniu jego kadry.

gnęli wnioski na mecz z Nigeryjczykami.

W porównaniu do meczu z Ukrainą to spotkanie było naprawdę dobre i na tym musimy bazować, musimy się rozwijać i ciągle uczyć. Jeśli krytyka jest konstruktywna, to trzeba z niej wyciągać wnioski, nie obrażać się i słuchać głosu innych ludzi. My mieliśmy taką szczerą analizę razem z trenerem i wydaje mi się, że wyciągnęliśmy te wnioski. Małe detale są bardzo ważne – oznajmił.

Zdanie Bednarka o nauce nie jest zbyt optymistyczne, biorąc pod uwagę, gdzie na co dzień grają liderzy polskiej kadry i jaki sezon rozegrali, w tym on sam w barwach Porto.

Reprezentacja Polski rozjeżdżie się na wakacje, bo nie zagra na mundialu 2026. Kolejne mecze drużyny narodowej odbędą się jesienią. Rywalami w drugiej dywizji Ligi Narodów, będą: Szwecja, Rumunia oraz Bośnia i Hercegowina.

POLSKA-NIGERIA 2:2 (1:1)

Bramki: dla Polski - Kacper Potulski (45+1), Przemysław Wiśniewski (90+5), dla Nigerii - Terem Moffi (23), Paul Onuachu (77-karny).

Żółte kartki: Polska - Bartosz Slisz, Robert Lewandowski; Nigeria - Abdullahi Bewene, Raphael Onyedika. **Sędzia:** Marian Barbu (Rumunia). **Widzów:** 54 408.

Polska: Kamil Grabara - Przemysław Wiśniewski, Jan Bednarek, Kacper Potulski (82. Jakub Kiwior) - Sebastian Szmarzlik (62. Kacper Kozłowski), Jakub Kamiński, Bartosz Slisz, Piotr Zieliński (90. Karol Czubak), Nicola Zalewski (90. Oskar Pietruszewski) - Robert Lewandowski, Karol Świderski (62. Norbert Wojtuszek).

Nigeria: Maduka Okoye - Abdullahi Bewene, Igoh Ogbu (46. Calvin Bassey), Emmanuel Fernandez (46. Semi Ajayi), Bruno Onyemaechi (46. Zaidu Sanusi) - Wilfred Ndidi, Frank Onyeka (46. Raphael Onyedika), Tochukwu Nnadi (46. Rafiu Durosinmi), Moses Simon (63. Fisayo Dele-Bashiru) - Akor Adams (46. Philip Otele), Terem Moffi (46. Paul Onuachu).

© P

Polskie siatkarki z dwoma zwycięstwami na starcie Ligi Narodów w Nankin

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

SIATKÓWKA. Polskie siatkarki pokonały Czeszki 3:0 (25:22, 25:22, 25:20) w swoim drugim meczu turnieju Ligi Narodów w chińskim Nankin. Dzień wcześniej wygrały z Belgijkami 3:2.

Czeszki w środę niespodziewanie pokonały gospodynie turnieju bez straty seta, co z pewnością mocno je podbudowało przed spotkaniem z Polkami. Początek jednak należał do Białło-Czerwonych, które rozpoczęły w identycznym składzie jak dzień wcześniej przeciwko Belgijkom.

Od pierwszych akcji skutecznością w ataku imponowała Martyna Łukasik, a po serii mocnych zagrywek Julii Szczurowskiej podopieczne Stefano Lavariniego prowadziły 8:4. Potem oba zespoły miały lepsze i gorsze momenty, Czeszki kilka razy pomyliły się w polu serwisowym, co nie pomogło im zniwelować strat.

W drugiej partii, po wyrównanym początku, Polki szybko przejęły inicjatywę. Odblokowała się Szczurowska, która dzień wcześniej poprowadziła reprezentację do zwycięstwa nad Belgijkami, punkty dokładały też środkowe.

Najbardziej wyrównany charakter miała trzecia partia. Coraz lepiej wyglądała współpraca Katarzyny Wenerskiej z Anną Obiałą, nadal skuteczne były Monika Lampkowska i Łukasik, jednak rywalki też poprawiły swoją grę. W ostatnich akcjach nie zawiodły Łukasik, najsukuteczniejsza zawodniczka spotkania (15 punktów) oraz Lampkowska, która udana kiwka zdobyła swój 13 punkt.

– Miłe, że z dnia na dzień gramy lepiej i poprawiamy różne elementy. Było lepiej niż dzień wcześniej – mówiła najlepsza na parkiecie Łukasik.

Kolejnymi rywalkami będą Serbki – dzisiaj to jest w piątek, 5 czerwca o godzinie 13.30 i Chinki w niedzielę, 7 czerwca o godzinie 13.00.

© P



FOT. FIVB

Atakująca Martyna Łukasik była najlepszą siatkarką na parkiecie w meczu Polska – Czechy w Nankin

Podwójne żużlowe Grand Prix w Manchesterze - powtórka z rozrywki?

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

ŻUŻEL. W piątek na torze w Manchesterze odbędzie się trzecia, a w sobotę już czwarta runda walki o indywidualne mistrzostwo świata na żużlu - Grand Prix Wielkiej Brytanii.

Po dwóch rundach żużlowego Grand Prix 2026 na czele klasyfikacji generalnej jest Bartosz Zmarzlik, który walczy o historyczny siódmy tytuł indywidualnego mistrza świata. W Land-

shucie oraz Pradze sześciokrotny mistrz świata stawał na najniższym stopniu podium i z 32 punktami na koncie o jedno „oczko” wyprzedza rewelacyjnego debiutanta w cyklu Kacpra Worynę.

Za plecami Polaków jest Australijczyk Brady Kurtz, którego pasjonująca walka ze Zmarzlikiem była ozdobą ubiegłego sezonu.

W nadchodzący weekend najlepsi żużlowcy świata wystartują na torze, który umożliwia wiele mijanek, co jest gwarantem świetnej rywalizacji.

Jeszcze przed rozpoczęciem rywalizacji organizatorzy musieli ogłosić kolejne zmiany na liście startowej. Oficjalnie potwierdzono, że z podwójnej rundy SGP Wielkiej Brytanii wycofał się Fredrik Lindgren, który nabawił się kontuzji polskiej lidze, w meczu w Lesznie.

Miejsce szwedzkiego żużlowca zajmie Kai Huckenbeck. Niemiec był trzecim rezerwowym całego cyklu, ale wcześniej swoich szans doczekali się już Duńczyk Anders Thomsen oraz Czech Jan Kvech. Obaj zastępują kontuzjowanych Bry-

tjczyka Dana Bewleya (złamał kość udową i doznał zgniecenia kręgu lędźwiowego w lidze duńskiej) i Dominika Kubere (złamał obojczyk w lidze szwedzkiej i obecnie przechodzi rehabilitację po operacji).

Poprzednie Grand Prix Wielkiej Brytanii na torze Bellu Vue w Manchesterze były fenomenalnymi widowiskami, w których zwycięstwa odnieśli obecnie kontuzjowany reprezentant gospodarzy Dan Bewley, a dzień później Zmarzlik. Ubiegłoroczny podwójny weekend był uznawany za jeden z naj-

bardziej widowiskowych momentów sezonu.

Obie tegoroczne rundy w Manchesterze będzie można obejrzeć w Eurosporcie 3, Playerze oraz w HBO Max. Transmisje rozpoczną się o godzinie 19.30 (w piątek o 15.00 zostaną rozegrane też kwalifikacje).

Zmagania skomentuje niezawodny duet Michał Korościel - Marcin Kuźbicki. Reporterką będzie Marcelina Rutkowska-Konikiewicz, z kolei w studiu gośćmi Sebastiana Szczęsnego będą Piotr Protasiewicz oraz Rafał Lewicki.

KLASYFIKACJA PO DWÓCH SGP

1. Bartosz Zmarzlik - 32 pkt., 2. Kacper Woryna (obaj Polska) - 31, 3. Brady Kurtz (Australia) - 26, 4. Leon Madsen (Dania) - 21, 5. Jack Holder (Australia) - 21, 6. Robert Lambert (Wielka Brytania) - 20, 7. Jason Doyle (Australia) - 19, 8. Daniel Bewley (Wielka Brytania) - 18, 9. Dominik Kubera (Polska) - 17, 10. Michael Jepsen Jensen (Dania) - 16, 11. Patryk Dudek (Polska) - 15, 12. Andrzej Lebiediew (Łotwa) - 14, 13. Fredrik Lindgren (Szwecja) - 12, 14. Max Fricke (Australia) - 10, 15. Nazar Parnicki (Ukraina) - 8, 16. Anders Thomsen (Dania) - 4, 17. Norick Bloedorn (Niemcy) - 4, 18. Jan Kvech (Czechy) - 3, 19. Adam Bednar (Czechy) - 1, 20. Kevin Woelbert (Niemcy) - 0.

© P

SPORT

www.sportowy24.pl

KRÓTKO

ŻUŻEL

Łaguta walczy o szybki powrót

Lider Betard Sparty Wrocław Artiom Łaguta przechodzi obecnie rehabilitację po operacji złamanej ręki. „Wszystko jest na dobrej drodze” - napisał w mediach społecznościowych. 35-latek zapewnia, że chce możliwie szybko wrócić do ścigania.

U Łaguty doszło do złamania w okolicy nadgarstka lewej ręki, z perspektywy żużlowca - kluczowej części ciała. Na zdjęciu opublikowanym przez żużlowca w mediach społecznościowych widać szwy po operacji. Od samego

zawodnika bije sporo optymizmu, choć na razie trudno oszacować, kiedy będzie ponownie będzie zdolny do jazdy.

Kolejne ligowe spotkanie Sparty zaplanowano na 14 czerwca. Tego dnia podopieczni Piotra Protasiewicza podejmą Gezet Stal Gorzów. Nawet jeśli Łaguta będzie zgłaszał chęć jazdy w tym meczu, sztab szkoleniowy i medyczny klubu najprawdopodobniej nie będzie chciał ryzykować jego zdrowiem. (DF)

PIŁKA NOŻNA

Piłkarz Chrobrego w GieKSie



Wychowanek Chrobrego Głogów Szymon Bartlewicz przenosi się na zasadzie wolnego transferu (koniec kontraktu) do GKS-u Katowice. Jeden z największych talentów z akademii Chrobrego rozegrał w pomarańczowo-czarnych 97 meczów, strzelił 13 goli i zaniotał 11 asyst. 21-latek to młodzieżowy reprezentant Polski. (PJ)

PIŁKA RĘCZNA

Kochaniak żegna się z Zagłębiem

Po sześciu latach pełnych sportowych emocji, sukcesów i niezapomnianych chwil, Karolina Kochaniak żegna się z żeńską drużyną KGHM Zagłębia Lubin. Rozgrywająca, która przez ostatnie sezony była ważną postacią Miedziowych, od nowego sezonu będzie reprezentować barwy rumuńskiej Corony Braşov.

- Czas powiedzieć „dziękuję”. Chciałabym z całego serca podziękować Zagłębiu za zaufanie, możliwość reprezentowania tych barw i wszystkie chwile, które na zawsze pozostaną w mojej pamięci. To był wyjątkowy czas pełen ciężkiej pracy, emocji i ogromnych sukcesów - powiedziała 66-krotna reprezentantka Polski. (PJ)

WYNIKI LOSOWAŃ LOTTO

ŚRODA, 3.06

Multi Multi - godz. 14

1, 2, 3, 4, 5, 10, 16, 20, 24, 31, 45, 46, 49, 50, 51, 54, 62, [70], 75, 80

Multi Multi - godz. 22

1, 3, 7, 11, 17, 18, 21, 32, 35, 45,

48, 49, 60, 61, 64, 68, 69, [70], 71, 73

Kaskada - godz. 14

2, 3, 7, 10, 13, 14, 16, 17, 18, 19, 23, 24

Kaskada - godz. 22

4, 6, 8, 9, 13, 14, 15, 18, 19, 20, 21, 24

Mini Lotto: 4, 8, 23, 28, 34

Ekstra Pensja

3, 13, 14, 20, 29 + 3

Ekstra Premia

7, 11, 16, 19, 35 + 3

Czwartek, 4.06

Multi Multi - godz. 14

2, 5, 6, 17, [20], 21, 23, 27, 29, 33, 50, 51, 61, 64, 65, 69, 70, 73, 76, 77

Kaskada - godz. 14

1, 7, 8, 9, 13, 14, 16, 17, 19, 21, 22, 24

Miedź Legnica się zbroi: Mazur i Fućak już są, a to nie wszystko

Piotr Janas

x.com: @Piotr_K_Janas

Miedź Legnica dokonała dwóch poważnych wzmocnień. Do klubu dołączają Ukrainiec Myrosław Mazur oraz Chorwat Kristian Fućak. Klub intensywnie pracuje nad jeszcze jednym transferem.

Sezon 2025/2026 przeszedł do historii. Nie będzie to najlepiej wspomniany okres w Miedzi Legnica, która jak zwykle miała ambicje sięgające awansu, a skończyło się miejscem poza strefą barażową (8. lokata w tabeli Betclit 1 ligi). Jasnym stało się, że latem zespół będzie potrzebował przebudowy, ponieważ część piłkarzy wraca do klubów, z których była wypożyczona, a innym kończą się kontrakty, które nie zostaną przedłużone.

W tej pierwszej grupie znaleźli się Mateusz Kowalski, Gleb Kuczko i Cezary Polak. Ten pierwszy niestety tylko terminował w Legnicy, bo wypożyczony z włoskiej Parmy 20-letni napastnik ani razu nie zagrał w pierwszej drużynie. Co innego reprezentant Białorusi Kuczko i Polak, którzy byli ważnymi ogniwami w zespole trenera Janusza Niedźwiedzia, ale obaj po sezonie wracają do swoich klubów (odpowiednio Wisły Płock i Jagiellonii).

Miedzianka nie zdecydowała się na przedłużenie kontraktów z aż pięcioma innymi doświadczonymi piłkarzami. To: 35-letni Kamil Drygas, 32-letni Bartosz



Chorwat Kristian Fućak w ostatnim sezonie strzelił 4 gole w 18 meczach dla spadającej z Betclit 1 ligi Stali Mielec

Kwiecień, 31-letni Patryk Stepiński, 30-letni Jakub Wrąbel oraz 30-letni reprezentant Macedonii z bogatą przeszłością (m.in. Crystal Palace, Benfica) Erdal Rakip.

Jak dowiedziała się „Gazeta Wrocławska”, kadra na nowy sezon zostanie odświeżona, odchudzona i nieco odmłodzona. Na dziś z Miedzią pożegnało się łącznie ośmiu piłkarzy, a przyszło dwóch nowych.

Ci, którzy już dołączyli do zespołu trenera Niedźwiedzia - a będąc precyzyjnym zrobią to po zakończeniu urlopów - są doskonale znanymi w realiach Bet-

clit 1 ligi zawodnikami. Pierwszy umową z Miedzią związał się 28-letni Ukrainiec Myrosław Mazur, który ostatni sezon spędził w Chrobrym Głogów, będąc absolutnie kluczową postacią drużyny, która zagrała w finale baraży o awans do PKO Ekstraklasy.

Mazur urodził się w Kijowie i jest wychowankiem tamtejszego Dynama. Miał talent, był w kręgach zainteresowań selekcjonerów młodzieżowej reprezentacji Ukrainy, ale w pierwszej drużynie Dynama nigdy nie zadebiutował. Grywał w innych klubach ukraińskiej ekstraklasy,

w Mołdawii, Szwecji, a w 2021 roku na chwilę trafił do Polski - do Jagiellonii Białystok. W ekstraklasie zagrał tylko 3 razy, a potem znów wyjechał do Szwecji, grał jeszcze na Litwie, aż w końcu wyjechał do Chrobrym, gdzie z miejsca stał się liderem.

Choć jest stoperem, doskonale egzekwuje rzuty karne. Potrafi też odnaleźć się w polu karnym rywala przy stałych fragmentach, przez co jest niezwykle bramkostrzelny. Sezon 2025/26 zakończył z... 9 bramkami w 35 występach! Miedź miała na niego chrapkę już pół roku temu. Podpisał z nim kontrakt obowiązujący od 1 lipca 2026 roku i choć bardzo chciał, to nie była w stanie wykupić go z Chrobrego już wtedy. Pomarańczowo-Czarni nie chcieli stracić swojego lidera.

Mazur ponad dwukrotnie przebił dorobek strzelecki drugiego nowego nabytku Miedzi, jakim jest Kristian Fućak, mimo iż Chorwat jest napastnikiem. 28-latek całą karierę spędził w ojczyźnie, aż pod koniec 2025 roku związał się ze Stalą Mielec. Strzelił 4 gole i zaliczył 1 asystę w 18 spotkaniach, ale dał się poznać jako bardzo silny i wysoki, a przy tym szybki i mocno pracujący dla drużyny piłkarz. Zawodnik z taką charakterystyką bardzo odpowiada trenerowi Niedźwiedziowi.

To nie koniec transferów w Legnicy, ale przyjąć będzie mniej, niż odejść. Obecnie klub koncentruje się na sprowadzeniu lewego wahadłowego. ©P

To pewne! Kolejny wielki mecz we Wrocławiu

Piotr Janas

x.com: @Piotr_K_Janas

Przesądzone: jak dowiedziała się „Gazeta Wrocławska” we wtorek (9 czerwca) oficjalnie ogłoszony zostanie sierpniowy mecz Manchester United - AC Milan na Tarczyński Arena Wrocław.

Manchester United tego lata nie leci na tournée po Stanach Zjednoczonych ani Azji, jak wielokrotnie miało to miejsce w przeszłości. „Czerwone Diabły” po najlepszym sezonie

od lat (3. miejsce w Premier League i powrót do Ligi Mistrzów) będą jeździć po Europie i rozgrywać mecze w różnych krajach na Starym Kontynencie.

Od 1 kwietnia 2026 roku mówiło się, że o organizację jednego ze spotkań Manchesteru United zabiega Wrocław. Mowa o jednym z najważniejszych, jeśli nie najważniejszym meczu w okresie przygotowawczym, bo ostatnim, planowanym na 15 sierpnia i to z rywalem dużego kalibru - AC Milan.

W ostatnich tygodniach kil-



Manchester United zagra z AC Milan we Wrocławiu

temat meczu Manchester United - AC Milan na Tarczyński Arena Wrocław nie upadł, a wręcz przeciwnie - jest coraz bliżej realizacji. Jak udało nam się ustalić, udało się. Wszystkie strony (oba kluby, zewnętrzny organizator, władze Wrocławia oraz spółka zarządzająca stadionem we Wrocławiu) osiągnęły porozumienie. Oficjalne ogłoszenie tzw. Super Mecz zaplanowano na najbliższy wtorek (9 czerwca) o godz. 12 właśnie na Tarczyński Arena Wrocław. ©P

tygodnik

GŁOGOWSKI

www.glogow.naszemiasto.pl

Nr 23/128

PRAWO

Adwokatka przed sądem jako oskarżona

Odpowie za zakłócenie domowego
miru, znieważenie policjantów
oraz próbę wręczenia łapówki **str. 3**

Nr ISSN 2353-6152
Nr indeksu 350206



KGHM

**Cztery młode
sokoły** wędrowne
z huty miedzi
otrzymały obrączki
str. 4

ŚWIĘTO MIASTA



FOT. WIKTORIA ŻYTA

REKLAMA

0011464646



DIAGNOSTYKA SŁUCHU DZIECKA

Kompleksowa
DIAGNOSTYKA SŁUCHU DZIECI:

- ▶ Videootoskopia
- ▶ Tympanometria
- ▶ otoemisja akustyczna
- ▶ ABR, ASSR
- ▶ Zaburzenia Przetwarzania Słuchowego



ZBADAJ SWÓJ SŁUCH I BEZPŁATNIE

przetestuj aparat słuchowy
u siebie w domu

FONMED
APARATY SŁUCHOWE
od 1997



GŁOGÓW, ul. Kościuszki 15 F
(budynek przy wjeździe do szpitala po byłej aptece)



76 835 05 01, 888 748 707

www.fonmed.pl

TO JEST PRODUKT MEDYCZNY, UŻYWAJ GO ZGODNIE Z INSTRUKCJĄ I ETYKIETĄ

Janusz Michalczyk



Ta kolejka stoi za luksusem

S tarszym Wrocławianom obrazki pod galerią handlową, gdzie niedawno trzystu ludzi koczowało nocą w kolejce do sklepu, mogły przywołać wspomnienia o szarych latach 80., gdy komitety kolejkowe tworzone, by zakupić telewizor, pralkę, lodówkę albo jakiś mebel. Krystyna Prońko śpiewała: „za czym kolejka ta stoi”. Teraz niektórzy są skłonni do podobnych poświęceń, by zaznać luksusu, a inni zwietrzyli niesłychany zysk. Mowa o akcji promocyjnej szwajcarskiej sieci zegarków Swatch, obejmującej też parę salonów w Polsce.

Zastosowano wypróbowaną metodę na przyciągnięcie uwagi, zapowiadając w dniu premiery nietuzinkowego modelu niesłychane zniżki dla pierwszych klientów, przy czym ewentualne rozróby były mile widziane dla uzyskania rozgłosu. Dość powiedzieć, że za zegarek wart rzekomo kilkadziesiąt tysięcy wystarczyło zapłacić około 1600 zł. Gwałtowne emocje były gwarantowane, gdy okazało się, że zegarki są dostępne, lecz jedynie dla kilkunastu osób. Dla zaprowadzenia porządku w wielu miejscach wzywano na pomoc policję, a gdzieś indziej, m.in. w Warszawie i Krakowie, sklepy tego dnia zostały zamknięte dla uniknięcia demolk.

Pomysł był diabelnie przewrotny, bo wkrótce wyszło na jaw, że tak naprawdę nowa seria nie jest limitowana i w najbliższej przyszłości, choć może z pewną zwłoką, chętni będą mogli zakupić ten właśnie model. Ogromna większość kolejkowiczów, która liczyła, że odsprzeda pozyskany w promocji czasomierz z wielokrotnym przebicciem, została nabita w butelkę.

Całą hecę potraktujmy z przymrużeniem oka, bo u jej podłoża leży pragnienie łatwego zarobku. Nie wykluczam, że niektórzy z niedoszłych nabywców mogli się kierować autentycznym pożądanym luksusowego przedmiotu, pożądanym podszytym snobizmem. Ci są dla mnie jeszcze bardziej zabawni, bo wszelkie dobra z najwyższej półki są przecież przeznaczone dla milionerów. To wyznaczniki statusu społecznego, które nie mają większego sensu u przeciętnego człowieka.

Jasne, to ambicja napędza cywilizację dobrobytu. Tylko święci są odporni na pokusy. Trudno oprzeć się okazji do zademonstrowania światu, jacy jesteśmy ważni. Pokora jest chyba najbardziej deficytową cnotą. Mnie jest o tyle łatwiej, że nie noszę żadnego zegarka.

ŻUKOWICE

Przebudują świetlicę wiejską za 3 mln zł

Świetlica w Bukwicy zostanie przebudowana, rozbudowana i nadbudowana. Obiekt obecnie ma powierzchnię 90 m, a będzie miał ponad 220 m. Dobudówka powstanie w miejscu wiaty po lewej stronie budynku. Już za rok mają zakończyć się prace i budynek stanie się sercem wsi, do którego mieszkańcy będą chętnie przychodzić.

Budynek będzie wyposażony w: pompę ciepła, instalację fotowoltaiczną, nową instalację wodno-kanalizacyjną, nową instalację elektryczną, klimatyzację, nowoczesną kuchnię i wyposażenie, toalety dostosowane do potrzeb osób z ograniczoną mobilnością. Pojawia się też nowe tynki i ocieplenie oraz nowe ogrodzenie wokół budynku.

- Ubiegamy się o dotację ze środków unijnych. Myślę, że pozyskamy 1,5 mln zł na tę inwestycję - informował wójt gminy Żukowice Krzysztof Wołoszyn. Koszt inwestycji wyniesie 3 mln zł. Wiktoria Żyta

„Stop nowotworom u dzieci”. I tura

Grażyna Szyszka
Głogów

W czerwcu rozpoczyna się w Głogowie pierwsza tura badań w ramach akcji „Stop nowotworom u dzieci”. Zapisy prowadzone będą telefonicznie, a liczba miejsc jest ograniczona.

Stowarzyszenie „Otwarte drzwi” przy wsparciu finansowym miasta po raz kolejny przeprowadzi akcję badań profilaktycznych „Stop nowotworom u dzieci”. W tym roku w ramach akcji przebadanych zostanie 240 młodych pacjentów w wieku od 7 miesięcy do 17. roku życia. W pierwszej turze - w czerwcu, przebadanych będzie 100. Kolejnych 140 w drugiej turze - jesienią.

Informację o kolejnej edycji programu ogłoszono 1 czerwca czyli w Dniu Dziecka. Miasto przeznaczyło na ten cel 40 tys. zł.

- Program realizujemy od wielu lat ze stowarzyszeniem „Otwarte Drzwi”. W tym roku będzie silniejszy akcent, ponieważ podwajamy pieniądze

na badania, dzięki czemu więcej dzieci i młodzieży z niego skorzysta - powiedział Rafał Rokaszewicz, prezydent Głogowa.

Pierwsza tura badań zaplanowana jest w dniach od 12 do 14 czerwca przy ul. Poczdamskiej 1. Rejestracja do projektu - od 8 do 9 czerwca w godzinach od 16 do 19 pod numerem telefonu 792 188 798.

- Rejestracja odbywa się tylko telefonicznie. Proszę o spokojne podejście do niej, jeśli będzie telefon zajęty, proszę próbować dalej. Może się zdarzyć, że w tym czasie będzie dzwonić wiele osób i linia będzie obciążona - mówi Marta Kaszuba, prezes stowarzyszenia.

Badanie będzie obejmowało USG: tarczycy, grasicy, węzłów chłonnych, jamy brzusznej, miednicy mniejszej (u dziewcząt), jąder (u chłopców).

- Każdego roku zdarza się, że któryś z naszych małych pacjentów jest kierowany przez lekarza do dalszych, szczegółowych badań. Bywały przypadki, moim zdaniem, uratowania życia w ten sposób - mówi Anna Mazurkiewicz ze stowarzyszenia.



FOT. DGL NEWS

GŁOGÓW

Sarenka z Ronda będzie mieć imię

Do 8 czerwca trwa głosowanie na wybór imienia dla Sarenki z Ronda. Nie chodzi jednak o prawdziwe zwierzę - zwycięskie imię zostanie umieszczone na odbłasku w kształcie sarenki.

Propozycje zgłosiły przedszkola nr 1, 2, 5, 10, 15 i 21, które włączyły się do zabawy ogłoszonej przez miasto. W konkursie uczestniczyły także dzieci z niepublicznych placówek: Słoneczko, Przedszkole i Żłobek Małych Piastów, Akademia Pana Kleksa, Boży Domek, Językowy Plac Zabaw oraz Dom Montessori.

Grafika z propozycją, która do 8 czerwca, do godz. 12, zdobędzie najwięcej reakcji, zwycięży. Tym samym wygra również przedszkole, którego wychowankowie zgłosili wybrane imię.

Oto propozycje głogowskich dzieci: Rondzia, Sara, Głogusia, Konstancja, Rondusia, Rondowianka, Ronfetka, Głogotka, Strażniczka Ronda.

Nagrodą jest umieszczenie zwycięskiego imienia na odbłasku oraz przekazanie odbłasków wszystkim dzieciom z przedszkoli biorących udział w konkursie. SEL

JUBILEUSZ SZKOŁY PODSTAWOWEJ NR 6 W GŁOGOWIE



FOT. WIKTORIA ŻYTA

W tym roku 60-lecie świętuje Szkoła Podstawowa nr 6 w Głogowie. Apel rozpoczął się występem wokalnym Pawła Sznajdera, absolwenta szkoły oraz jego siostry, która obecnie uczy się w SP 6. Uczniowie przygotowali rozbudowany program artystyczny. Było przedstawienie, w którym wzięli udział nawet nauczyciele, tańce oraz prezentacje wokalne i instrumentalne. Podczas apelu na ekranie można było zobaczyć filmy, w których absolwenci wypowiadali się o szkole. Wiktoria Żyta

PRAWO WŚRÓD LICZNYCH ZARZUTÓW JEST NAPAŚĆ NA POLICJANTÓW

Adwokatka stanie przed sądem w Głogowie

Grażyna Szyszka
Głogów

Prokuratura przygotowała 18-stronicowy akt oskarżenia. Kobieta odpowie m.in. za znieważenie funkcjonariuszy, naruszenie miru domowego oraz próbę wręczenia łapówki.

Przed głogowskim sądem stanie Aleksandra R., adwokatka z Wielkopolski. W połowie maja br. prokuratura skierowała przeciwko 42-letniej kobiecie 18-stronicowy akt oskarżenia. Oskarżona odpowiada za szereg zdarzeń, miało dojść 5 listopada 2024 roku w Głogowie oraz za późniejsze konsekwencje tych wydarzeń.

Według ustaleń prokuratury, problemy adwokatki rozpoczęły się w nocy z 5 listopada. Aleksandra R. miała przyjechać taksówką pod jedną z prywatnych posesji w Głogowie, wtargnąć na jej teren i - zachowując się agresywnie - odmówić jej opuszczenia. Gdy właściciele wezwali policję, kobieta miała zaatakować funkcjonariuszy, znieważać ich, kopać, a następnie na komendzie proponować im łapówkę w zamian za odstąpienie od czynności służbowych.

Świadkowie zeznali, że od kobiety wyczuwalna była woń alkoholu.

Próba wręczenia łapówki

Podczas interwencji Aleksandra R. miała również powoływać się na swoje wpływy, grozić policjantom zwolnieniem ze służby. Zatrzymaną



O akcie oskarżenia mówi Liliana Łukasiewicz, rzeczniczka Prokuratury Okręgowej w Legnicy

przewieziono do lekarza, który stwierdził, że może zostać osadzona w izbie zatrzymań. Prawniczka opuściła komendę, ale zanim wyszła, prokurator wręczył jej wezwanie do stawienia się kolejnego dnia na przesłuchanie. Ale kobieta się już nie zjawiała.

Lista zarzutów, które prokuratura postawiła 42-latkę jest długa, a grożące jej konsekwencje bardzo poważne.

- Aleksandra R. jest oskarżona o próbę wręczenia 5 tys. zł łapówki funkcjonariuszom w zamian za odstąpienie

od czynności służbowych oraz zwolnienie zatrzymanej - informuje Liliana Łukasiewicz, rzeczniczka Prokuratury Okręgowej w Legnicy.

Kolejne zarzuty dotyczą znieważenia policjantów podczas interwencji. Kobieta miała używać wobec nich wulgarnych słów oraz próbować ucieczki z radiowozu. Według aktu oskarżenia, już po zatrzymaniu na terenie komendy policji w Głogowie miała szarpać i kopać funkcjonariuszy.

Prawniczka odpowie także za naruszenie miru domowego

właścicieli posesji, na którą wtargnęła.

Grozi 8 lat więzienia

To jednak nie koniec. Prokuratura wskazuje również na podstępne wyłudzenie poświadczenia nieprawdy od lekarzy, polegające na uzyskiwaniu zaświadczeń o niezdolności do wykonywania czynności zawodowych i reprezentowania klientów, mimo że - jak ustalono - nadal wykonywała pracę zawodową.

Według śledczych zaświadczenia miały służyć jedynie usprawiedliwieniu niestawienia na czynności procesowe z jej udziałem w roli podejrzanej. Ustalono, że w tym czasie adwokatka była aktywna zawodowo i reprezentowała klientów, również przed sądami. Takie sytuacje miały powtarzać się kilkakrotnie, a oskarżona miała każdorazowo korzystać z usług różnych lekarzy.

Wreszcie wobec adwokatki wydano postanowienie o zatrzymaniu i przymusowym doprowadzeniu na czynności procesowe do głogowskiej prokuratury.

Kobieta została też poddana badaniu psychiatrycznemu. Biegli stwierdzili, że w chwili popełnienia zarzucanych czynów była poczytalna i może stanąć przed sądem.

- Aleksandra R. nie przyznała się do winy i odmówiła składania wyjaśnień. Twierdzi, że została zaatakowana i pobita przez interweniujących policjantów - przekazuje prokuratura.

Oskarżonej grozi kara do 8 lat pozbawienia wolności.

Zapraszamy Was na rajdy rowerowe

Wiktoria Żyta
Głogów

Światowy Dzień Roweru przypadł 3 czerwca. Dla wielbicieli dwukołowego sprzętu przygotowaliśmy informacje o rajdach rowerowych w Głogowie i okolicy.

W Głogowie i okolicy, na przełomie wiosny i lata, rajdy rowerowe są organizowane w wielu miejscowościach. Gdzie i kiedy będą organizowane rajdy rowerowe w czerwcu?

Rajd Rowerowy św. Floriana

Rajd jest organizowany przez Hutę Miedzi Głogów z okazji jej 55. jubileuszu:

13.06.2026 r.
godz. startu rajdu dla dorosłych: 9:00,
godz. startu rajdu dla dzieci: 13:00,

Trasa rajdu dla dorosłych i miejsce zbiórki: Biurowiec HMG - Leśna Dolina - 55 km,

Trasa rajdu dla dzieci i miejsce zbiórki: Staw Głogówko - Leśna Dolina - 5,5 km

Na mecie organizatorzy zaplanowali poczęstunek.

VI Rodzinny Rajd Rowerowy

Rajd jest organizowany przez gminę Radwanice:

13.06.2026 r.
godz. 11:00 (biuro zawodów czynne w godz. 9:00-10:45),

Miejsce zbiórki: park w Radwanicach,

Trasa rajdu: wokół gminy Radwanice - 23 km,

Na mecie będą czekały na uczestników: nagrody, atrakcje, strefa chill oraz poczęstunek.

VII Rajd Rowerowy „Odjazdowy Bibliotekarz”

Biblioteka PANS w Głogowie organizuje rajd:

14.06.2026 r.,
godz. 9:30,

Miejsce zbiórki: PANS w Głogowie,

Trasa rajdu: Głogów - Białogóra - 25 km,

Na mecie organizatorzy zaplanowali sportowe konkurencje rowerowe.

Po rajdzie na uczelni będą czekały na uczestników atrakcje: Piknik Sportowy na terenach zielonych PANS - strefa chill z muzyką na żywo, gastronomia oraz atrakcje. Będzie także losowanie nagród w loterii.

Ścieżki rowerowe

W naszym mieście jest sporo ścieżek rowerowych i pięknych miejsc, w które warto wybrać się rowerem, m.in. nad Odrę. Oprócz tego sposobem na aktywny wypoczynek jest także udanie się rowerem np. na Wzgórza Dalkowskie, które oferują wspaniałe widoki. Doskonałą lokalizacją na rowerowe wycieczki jest także gmina Grębocice, w której szlak rowerowy liczy prawie 60 km, a w Obiszowie - atrakcyjny Bike Park, liczący ponad 30 km.

Wyremontowali boisko przy Szkole Podstawowej nr 2 w Głogowie

Grażyna Szyszka
Głogów

Uczniowie Szkoły Podstawowej nr 2 w Głogowie cieszą się już wyremontowanym boiskiem. Uroczystość połączone z piknikiem z okazji Dnia Dziecka.

Szkoła Podstawowa nr 2 im. Rattowników Górniczo-Hutniczych przy alei Wolności w Głogowie ma nowe boisko. To ważna inwestycja, która będzie służyć uczniom przez kolejne lata. Obiekt został oficjalnie oddany we wtorek, 2



Prezydent przekazał szkole również piłki

czerwca, podczas pikniku z okazji Dnia Dziecka.

- Z boiska można już korzystać i cieszyć się, że dzieci robią to zarówno podczas pobytu w szkole jak i po zajęciach lekcyjnych. I właśnie fakt, że to miejsce pełne życia i chętnie używane przez młodych mieszkańców miasta raduje najbardziej. Oby służyło jak najdłużej - mówi prezydent Rafał Rokaszewicz.

I dodaje: - To nie koniec inwestycji w tej szkole, bo w tym roku wyremontujemy także plac zabaw czy ogrodzenie.

Przypomnijmy. Remont boiska rozpoczął się we wrześniu 2025 roku, a odbiór techniczny boiska miał miejsce pod koniec marca br. W ramach prac zostało ono odwodnione, doczekało się też zupełnie nowej nawierzchni.

Ostateczny całkowity koszt zadania wyniósł 537,5 tys. złotych (wraz z kosztami nadzoru inwestycyjnego). Na zadanie pozyskano dofinansowanie 200 tys. złotych z programu sportowego Urzędu Marszałkowskiego.

Wykonawcą prac była głogowska firma Tolima.



GŁOGÓW

Uczcili pamięć poległych na misjach

Dzień Weterana Działañ poza Granicami Państwa obchodziliśmy 29 maja. Na cmentarzu na Brzostowie głogowscy żołnierze i weterani złożyli kwiaty i zapalili znicze pod pomnikiem weteranów. Na uroczystości spotkali się m.in.: dowódca 4. Batalionu Inżynieryjnego, starosta, przedstawiciele in-

stytucji oraz weterani. O wydarzeniu wypowiedział się Przemysław Subko z 4. Batalionu Inżynieryjnego w Głogowie - Spotykamy się jak co roku z okazji tego święta, aby upamiętnić wszystkich żołnierzy, którzy polegli poza granicami państwa - informował. Wiktoria Żyta

Młode sokoły otrzymały obrączki

Grażyna Szyszka
Głogów

Na kominie „Koniczynka” w Hucie Miedzi „Głogów” dorasta kolejne pokolenie sokołów wędrownych. Cztery pisklęta przeszły obrączkowanie – zabieg, który pozwala śledzić ich dalsze losy.

W Hucie Miedzi „Głogów” przeprowadzono obrączkowanie czterech piskląt sokoła wędrownego. To ważne wydarzenie dla ochrony jednego z najrzadszych ptaków drapieżnych w Polsce, którego krajowa populacja liczy obecnie około 100 par lęgowych. Wkrótce młode sokoły otrzymają imiona wybrane przez pracowników KGHM.

W tym roku platformę lęgową na kominie „Koniczynka” zajęła para sokołów – Luna II i Bosy. Doczekała się ona czterech młodych, co potwierdza, że teren huty od lat pozostaje bezpiecznym miejscem lęgowym dla tego chronionego gatunku. Od momentu uruchomienia platformy zaobrazkowano już 54 pisklęta.



Imiona młodym ptakom nadadzą pracownicy KGHM

Dwie obrączki dla każdego sokoła

Obrączkowanie zostało wykonane przez przedstawicieli Stowarzyszenia Na Rzecz Dzikich Zwierząt „Sokół” przy wsparciu wolontariuszy KGHM oraz pracowników huty. Każde z piskląt otrzymało dwie

obráczki – żółtą, stosowaną do oznaczania sokołów gniazdujących na terenach miejskich i przemysłowych, oraz niebieską, przeznaczoną dla ptaków wykultych na wolności.

Obrączkowanie to ważny moment nie tylko dla ornitologów, ale także dla wszystkich,

kterzy od lat angażują się w ochronę sokołów wędrownych w Hucie Miedzi „Głogów”. Dzięki takim działaniom możliwe jest nie tylko monitorowanie losów ptaków, ale także realne wsparcie odbudowy ich populacji w Polsce. Sokoły upodobały sobie naszą hutę nieprzy-



Para sokołów doczekała się czterech młodych

padkowo. Sprzyjają temu zarówno warunki panujące wokół zakładu, jak i sąsiedztwo Łęgów Głogowskich. To rozległe, zajmujące 600 hektarów, cenne przyrodniczo tereny, które przyciągają wiele gatunków zwierząt – powiedział Dariusz Matyjczak, Główny Specjalista ds. Gospo-

darki Leśnej w Hucie Miedzi „Głogów”.

Gniazdują na kominie od blisko 20 lat

Historia sokołów w Hucie Miedzi „Głogów” rozpoczęła się w 2008 roku wraz z pierwszą próbą gniazdowania. Po zamontowaniu platformy lęgowej już rok później wykluły się pierwsze młode. Od tego czasu zakład stał się jednym z ważniejszych miejsc ochrony tego gatunku w kraju. Jednym z najbardziej znanych sokołów pochodzących z Głogowa była Giga, która później gniazdowała na Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie.

Sokoły nie są jedynymi dzikimi mieszkańcami terenów wokół zakładów KGHM. W okolicy można spotkać m.in. samy, jelenie, dziki, lisy, zające i borsuki, a w starorzeczach Odry również wydry oraz bobry. Obszary te stanowią także ważne miejsce bytowania wielu gatunków ptaków, w tym puszczyk. KGHM od lat prowadzi działania wspierające ochronę przyrody, organizując między innymi coroczne akcje sadzenia drzew z okazji Światowego Dnia Ziemi.

Dzień Dziecka w Radwanicach

Wiktoria Żyta
Radwanice

Z okazji Dnia Dziecka gmina Radwanice przygotowała dla najmłodszych mieszkańców ogrom atrakcji.

W radwanickim parku gmina przygotowała szereg atrakcji dla najmłodszych. Wśród nich były: Miasteczko Cyrkowe, Fabryka Słodkości i strefa dmuchańców. Dodatkowymi rozrywkami były Bill Bombadill Show oraz animacje Mini Disco z bańkami mydlanymi. Dzieci mogły także wziąć udział w konkursach.

– To jest nasz obowiązek, by zorganizować atrakcje dla dzieci w tym szczególnym dniu. W tym roku jest „Ale cyrk!”, czyli impreza w klimacie cyrkowym. Bardzo się cieszę z radości, która gości w naszym parku. Przyszły całe rodziny. Uważam, że takie imprezy są potrzebne mieszkańcom – informował wójt gminy Paweł Piwko.

Do atrakcji były kolejki, a najbardziej obleganymi były dmuchańce. Spora grupa dzieci była zainteresowana także malowaniem twarzy oraz trampolinami.



Gmina zadbała o rozrywkę dla młodych mieszkańców

– Niestety syn jest jeszcze za mały na trampoliny, których nie mógł się doczekać. Jednak dmuchańce też bardzo mu się podobają – mówił pan Przemysław.

Śmiech i radość dzieci słychać w całym parku, a rodzice są zadowoleni z imprezy. Pani Magdalena opowiedziała o swoich pociechach:

– Moje dzieci korzystają ze wszystkiego, ciężko za nimi nadążyć – śmiała się pani Magdalena. – Choć najbardziej upodobały sobie dmuchańce – dodała.

Zmodernizowano filię DPS przy ul. Norwida

Wiktoria Żyta
Głogów

Filia Domu Pomocy Społecznej przy ul. Norwida w Głogowie została zmodernizowana. We wtorek, 2 czerwca, została oficjalnie otwarta po remoncie.

Dom Pomocy Społecznej „Magnolia” w Głogowie jest publiczną placówką opiekuńczą, w skład której wchodzi: Dom Pomocy Społecznej dla Osób Przewlekłe Somatycznie Chorych przy ul. Neptuna oraz Filia DPS – Dom Pomocy Społecznej dla Osób Niepełnosprawnych Intelakualnie przy ul. Norwida.

Filia DPS dla Osób Niepełnosprawnych Intelakualnie przy ul. Norwida została otwarta po zmodernizowaniu budynku A. W wyremontowanym obiekcie pojawiły się m.in. udogodnienia w postaci windy i podjazdów, które ułatwią mobilność jego mieszkańcom.

– Zakończyliśmy pierwszą część inwestycji w budynku A w DPS-ie dla chłopców. Bardzo się cieszymy, że udało się to zrealizować praktycznie w terminie, by osoby, które przebywają

w ośrodku, mogły korzystać z udogodnień nowego obiektu – informował starosta głogowski Michał Wnuk.

O inwestycji opowiedziała także Dorota Młodecka, członkini Zarządu Powiatu: – Budynek przeszedł kompleksową modernizację, m.in. remont dachu, instalacji grzewczej i elektrycznej oraz termomodernizację. Instalacja przyzywowa także została wyremontowana, a to bardzo ważne w tym budynku ze względu na bezpieczeństwo. Wymieniliśmy stolarkę okienną i drzwiową, wyposażyliśmy pomieszczenia tak, by komfort życia został poprawiony – mówiła.

Głos zabrał również wicestarosta głogowski Jeremi Hołownia: – W tym DPS-ie będzie przebywać 28 osób; ponieważ praca z nimi polega na indywidualnym trybie zajęć, będą one przebiegały w komfortowych warunkach. Ten budynek będzie dużo wygodniejszy dla jego mieszkańców oraz pracowników – powiedział.

Inwestycja kosztowała niecałe 10 mln zł. Środki zostały pozyskane z Polskiego Ładu, a wkład powiatu wynosił około miliona zł.



W Polkowicach otwarto pracownię rezonansu

Grażyna Szyszka
Polkowice

W Polkowickim Centrum Usług Zdrowotnych otwarto nowoczesną pracownię rezonansu magnetycznego. Do 15 grudnia mieszkańcy gminy mogą się badać za darmo.

W Polkowicach - mieście bez szpitala - otwarto 1 czerwca pracownię rezonansu magnetycznego. Nowoczesne urządzenie stanęło w Polkowickim Centrum Usług Zdrowotnych. Do 15 grudnia z bezpłatnych badań mogą korzystać mieszkańcy gminy w ramach specjalnego dofinansowania ponadlimitowych świadczeń zdrowotnych. Na ten cel burmistrz Wiesław Wabik przeznaczył 1 mln zł z odzyskanej puli podatku CIT.

Rezonans wart około 5,5 mln zł przekazała Polkowicom Państwowa Agencja Rezerw Strategicznych. Gmina nie miała jednak miejsca na jego instalację, dlatego urządzenie czekało przez pewien czas w magazynie. O przygotowaniu nowej pracowni diagnostycznej w PCUZ zdecydował burmistrz Wiesław Wabik, a prace rozpoczęły się na początku 2025 roku. Projekt wraz z przebudową i przystosowaniem pomieszczeń oraz zakupem urządzeń współpracujących z rezonansem kosztował około 3 mln zł.



Samorządowcy cieszą się z uruchomienie rezonansu dla mieszkańców gminy

Urządzenie, które trafiło do Polkowic, to model Philips MR 5300 o mocy 1,5 tesli, co - jak zapewnia załoga polkowickiej przychodni - gwarantuje bardzo wysoką jakość badań.

- Pacjenci, którzy będą u nas badani, mogą liczyć na pełną współpracę z pobliskimi szpitalami - mówi lek. Roman Pałucki, specjalista radiologii i diagnostyki obrazowej, kierownik pracowni obrazowej.

Z badań rezonansem magnetycznym mogą korzystać wyłącznie osoby posiadające aktualne skierowanie od lekarza specjalisty

Narodowy Fundusz Zdrowia nie przewidział na ten rok finansowania badań w polkowickiej pracowni, co oznacza, że nie można z nich korzystać „na NFZ”. Z racji tego, że urządzenie zostało przekazane przez Państwową Agencję Rezerw Strategicznych, nie można także wykonywać badań komercyjnych.

Dlatego władze gminy Polkowice podjęły decyzję o finansowaniu ponadlimitowych świadczeń w zakresie rezonansu magnetycznego w ramach oferty zdrowotnej burmistrza.

- Za ten milion złotych będzie można przeprowadzić około 1500 badań diagnostyki obrazowej rezonansem magnetycznym - mówi burmistrz Wiesław Wabik.

Do czasu pozyskania kontraktu z NFZ badania są dostępne wyłącznie dla mieszkańców gminy Polkowice po okazaniu Polkowickiej Karty Mieszkańca lub innych dokumentów potwierdzających zamieszkanie na terenie gminy.

200-letni mostek po modernizacji

Grażyna Szyszka
Radwanice

Nowa nawierzchnia, odnowiona konstrukcja i pamiątkowa tablica - zakończył się remont zabytkowego mostu w Kłębanowicach. Inwestycja poprawiła bezpieczeństwo.

Na zabytkowym moście w Kłębanowicach (gm. Radwanice) pojawiła się nowa tablica upamiętniająca zakończenie prac remontowych. To już trzeci tego typu element znajdujący się na obiekcie - obok dwóch historycznych, poniemieckich tablic, które przetrwały do dziś.

Pierwsza z zachowanych tablic zawiera napis „Erbaut 1825”, oznaczający „Zbudowano w 1825 roku”. Druga, z inskrypcją „Verbrannt 1891” („Spalono w 1891 roku”), upamiętnia zniszczenie mostu.

Nową tablicę z napisem „Remont 2026 r.” zamieszczono po ostatnim remoncie.

Podczas renowacji szczególną uwagę zwrócono na zachowanie historycznego charakteru obiektu. Ceglano-kamienna konstrukcja została odnowiona, a wykonane prace nawiązują do pierwotnego wyglądu mostu.

Jak informuje gmina Radwanice, inwestycja obejmowała remont mostu wraz z przyległym odcinkiem drogi gminnej w Kłębanowicach. W ramach zadania wykonano m.in. płytę odciążającą konstrukcję obiektu oraz nową nawierzchnię bitumiczną na 161-metrowym odcinku drogi.

Most w Kłębanowicach to nie tylko ważny element lokalnej infrastruktury, ale także cenny zabytek o znaczeniu historycznym.



Inwestycja obejmowała remont mostu wraz z przyległym odcinkiem drogi gminnej w Kłębanowicach

Dzieciaki jeżdżą tylko w kaskach

Wiktoria Żyta
Głogów

Z dniem 3 czerwca weszły w życie nowe przepisy, które będą wymagały obowiązkowego noszenia kasku dla dzieci i młodzieży do 16. roku życia.

Dzieci i młodzież do 16. roku życia będzie musiała nosić kask, by poruszać się na: rowerach, hulajnogach elektrycznych, urządzeniach transportu osobistego. Spytałismy oficera prasowego z Komendy Powiatowej Policji w Głogowie, podkom. Natalię Szymańską o nowe przepisy.

- Od 3 czerwca 2026 roku zaczną obowiązywać nowe przepisy dotyczące bezpieczeństwa najmłodszych uczestników ru-

chu drogowego. Zgodnie z nowelizacją, osoby poniżej 16. roku życia poruszające się rowerem, hulajnogą elektryczną lub urządzeniem transportu osobistego (UTO) będą miały obowiązek używania kasków ochronnych - informowała.

Wspomniała również o przepisach, które dotyczą dzieci do 13. roku życia:

- Ponadto przepisy wprowadzają zakaz dopuszczania dziecka w wieku do 13 lat do kierowania hulajnogą elektryczną lub urządzeniem transportu osobistego na drodze. Wyjątek stanowi strefa zamieszkania, gdzie dziecko poniżej 13. roku życia będzie mogło korzystać z hulajnog elektrycznej lub UTO wyłącznie pod opieką osoby dorosłej - dodała.

REKLAMA

0011527593

WIELKA PROMOCJA ♦ DOJAZD DO KLIENTA DO 100 KM

ANTYKWARIAT ZŁOTA I FUTER

**KUPUJEMY
ZA GOTÓWKĘ:**
Złoto/ złom złota
Srebro i Monety

WAŁBRZYCH
ul. Wysockiego 2/1
Pon. - pt. 10-16
Sobota 12-15

Sztuce i tace srebrne
Świeczniki srebrne
Zegarki na rękę
Prawdziwe futra każdej jakości
Skup uszkodzonej biżuterii
Wyceń swoje futro!
Zmień futro na gotówkę

TEL. 663 936 236

**DOŁĄCZ DO TYSIĘCY
ZADOWOLONYCH KLIENTÓW
ZŁAP OKAZJĘ!**

**ZAMIEŃ FUTRO
NA GOTÓWKĘ
OD RĘKI!**

PLEBISCYT RUSZYŁO GŁOSOWANIE W KONKURSIE DRZEWO ROKU 2026

Głosujcie na nasz Dąb Folwarczny

Grażyna Szyszka
Głogów

Wśród 16 finalistów znalazł się Dąb Folwarczny, który od lat jest symbolem Zespołu Szkół Przyrodniczych i Branżowych.

Od 1 czerwca można głosować w konkursie organizowanym przez Klub Gaja. W finałowej szesnastce znalazł się okazały Dąb Folwarczny z Głogowa, zgłoszony przez Zespół Szkół Przyrodniczych i Branżowych.

Głosowanie trwa przez cały miesiąc. O tytuł walczy 16 drzew z całej Polski. Celem plebiscytu jest zwrócenie uwagi na ciekawe i wiekowe drzewa, będące ważnym elementem dziedzictwa przyrodniczego oraz kulturowego. Zwycięży drzewo, które zdobędzie najwięcej głosów internautów.

Finałową szesnastkę wyłoniło jury spośród 49 zgłoszeń nadesłanych przez samorządy, nadleśnictwa, szkoły, przedszkola, stowarzyszenia oraz osoby prywatne z całego kraju.

- To często mało znane, ale bardzo ważne dla lokalnych społeczności drzewa. Otaczane są szacunkiem, troską i opieką. Opowiadają o pięknie przyrody, historii i lokalnych tradycjach. Wiele z nich było broniących przed wycinką lub zostało uratowanych dzięki zaangażowaniu mieszkańców - podkreślają organizatorzy.

Dąb szypułkowy

Po sukcesie purpurowego buka z Dalkowa, który zdobył tytuł Drzewa Roku 2025 w Polsce, a następnie został Europejskim Drzewem Roku, o zwycięstwo w tegorocznej edycji walczy Dąb Folwarczny - duma Zespołu Szkół Przyrodniczych i Branżowych w Głogowie.

To dąbszypułkowy o pięknej, regularnej koronie. Ma około 120-140 lat, a jego obwód wynosi 340 cm. Do konkursu zgłosiła go Joanna Kmieć-Beuge, nauczycielka architektury krajobrazu.

Drzewo rośnie na terenie dawnego folwarku i znajduje się w doskonałej kondycji. Posadzone na przełomie XIX i XX



Drzewo z Głogowa prezentuje się znakomicie

wieku, było świadkiem wielu ważnych wydarzeń. Przetrwało wojnę, pożar oraz rozbudowę szkoły. Od lat daje cień kolejnym pokoleniom uczniów i stanowi symbol placówki - jego wizeru-

nek znajduje się w logotypie technikum oraz na sztandarze szkoły.

Dodajmy, że z Dolnego Śląska zgłoszono też do konkursu Dąb Lubiech w gminie Świerzawa,

(wiek ok. 300 lat, wys. 35 m, obw. 670 cm).

Jak głosować?

Głosowanie trwa przez cały miesiąc na stronie drzewo-

roku.pl, gdzie można również znaleźć zdjęcia i historie wszystkich finalistów.

Głosowanie - krok po kroku: Wybierz drzewo, na które chcesz oddać swój głos i kliknij przycisk „Głosuj”.

Pojawi się okienko dialogowe, w którym należy zaakceptować regulamin konkursu i kliknąć OK.

Podaj adres e-mail, na który zostanie wysłana wiadomość z linkiem, który należy kliknąć aby zatwierdzić głos.

Po kliknięciu w link pojawi się strona, na której należy zaznaczyć pole „Nie jestem robotem” (tzw. Captcha) i kliknąć przycisk „Zatwierdź głos”.

Po akceptacji głosu zostanie on automatycznie dodany do wyników głosowania na stronie konkursu.

Zwycięzcę poznamy 1 lipca. Laureat będzie reprezentował Polskę w konkursie European Tree of the Year w lutym 2027 r. Przez cały okres głosowania wyniki pozostaną tajne - liczba głosów oddanych na poszczególne drzewa nie będzie publikowana.

Wielka Majówka, czyli święto zespołu placówek

Wiktoria Żyta
Głogów

Zespół Placówek Szkolno-Wychowawczych w Głogowie zorganizował 28 maja święto szkoły - Wielką Majówkę.

Zespół Placówek Szkolno-Wychowawczych w Głogowie zaprosił uczniów, rodziców, nauczycieli, pracowników, absolwentów oraz wszystkie zaprzyjaźnione szkoły i placówki na swoje święto.

Dyrektorka Zespołu Placówek Szkolno-Wychowawczych jest dumna z uczniów oraz całego przedsięwzięcia, które, jak wspomina, jest zorganizowane dla dzieci.

- Od 25 lat obchodzimy tak święto naszej szkoły. To jest dzień, w którym dzieci są gospodarzami, przychodzą rodzice i wspólnie bawią się z dziećmi. Wczoraj było wspólne pieczenie ciast, a dzisiaj od 7:00 uczniowie i nauczyciele byli zaangażowani w przygotowania. Są atrakcje dla najmłodszych w postaci dmuchańców, malowania twarzy i wielu innych - informowała.



Uczniowie świetnie się bawili

Placówka zaplanowała wiele atrakcji dla uczestników: występy artystyczne uczniów i gości, warsztaty taneczne i kreatywne, dmuchańce, bańki mydlane, malowanie twarzy, kiermasz prac uczniów, spotkania ze służbami (straż, policja), pokaz sportowy i wspólna zabawa, pyszne przekąski, grill i słodkości.

Uczniowie chętnie brali udział w wydarzeniu, były ko-

lejki do dmuchańców, wielu z nich chodziło z pomalowanymi twarzami, a nawet włosami. Sporą grupę przyciągnęły także warsztaty taneczne. Uczennica klasy drugiej, Naomi, świetnie się bawiła.

- Najbardziej nie mogłam się doczekać dmuchańców, bo je uwielbiam, tańce też były fajne - mówiła z uśmiechem na ustach.

Ruszają darmowe lekcje żeglarstwa na Jeziorze Sławskim

Grażyna Szyszka
Sława

Na Jeziorze Sławskim ponownie pojawiają się młodzi adepci żeglarstwa. Dzięki programowi PGE Polsailing dzieci mogą uczestniczyć w profesjonalnych szkoleniach bez opłat.

KS Jacht Klub Sława po raz kolejny znalazł się w gronie ośrodków wybranych przez Polski Związek Żeglarski do realizacji ogólnopolskiego programu PGE Polsailing 2026. Dzięki temu na Jeziorze Sławskim ponownie odbędą się bezpłatne zajęcia żeglarskie dla dzieci i młodzieży. I to bez względu na miejsce zamieszkania.

Pierwsze zajęcia zaplanowano na 4 czerwca. Uczestnicy będą spotykać się na Jeziorze Sławskim przez pięć kolejnych weekendów. W projekcie może wziąć udział 130 dzieci podzielonych na 10 grup szkoleniowych. Każda z nich odbędzie pięć zajęć trwających po 4,5 godziny. W zależności od przydzielonej grupy szkolenia będą odbywać się od czwartku do niedzieli.



W sumie z darmowych zajęć może skorzystać 130 dzieci

- Do kategorii Optimist zapraszamy dzieci do 10. roku życia, natomiast młodzież od 12. roku życia może uczestniczyć w programie Młody Żeglarz. Nadal dysponujemy wolnymi miejscami - informuje Agnieszka Racino, koordynatorka regionalna z Uczniowskiego Klubu Sportowego Yacht Club Sława.

Zakończenie zajęć zaplanowano na lipiec. Na wszystkich uczestników czekają pamiątkowe dyplomy potwierdzające udział w programie. Udział w projekcie jest całkowicie bez-

płatny. Finansowanie zapewniają środki Funduszu Rozwoju Kultury Fizycznej, pozostające w dyspozycji Ministra Sportu i Turystyki.

PGE Polsailing to największy w Polsce program edukacji żeglarskiej, organizowany przez Polski Związek Żeglarski we współpracy z Ministerstwem Sportu i Turystyki. Jego celem jest nie tylko nauka podstaw żeglowania i bezpiecznego zachowania nad wodą, ale także zachęcenie najmłodszych do aktywności sportowej i rozwijania pasji do żeglarstwa.

Świętowali Dzień Sąsiada. Integracja i dobra zabawa

Wiktoria Żyta
Głogów

W piątek, 29 maja, głogowskie instytucje kulturalne wraz z mieszkańcami miasta świętowały Dzień Sąsiada. Jak się bawiono?

Było to pierwsze takie święto i jak zapewniali pracownicy, nie jest ostatnie. Organizatorzy przygotowali wiele atrakcji, m.in.: tańce integracyjne, „sąsialadę”, czyli grę na wzór popularnego teleturnieju, występ Big Bandu.

Na zakończenie prawdziwa sąsiedzka biesiada, czyli chleb ze smalcem i ciasto drożdżowe, które przygotowały warsztaty Zespołu Szkół Ekonomicznych w Głogowie.

Pasujemy idealnie

Kierowniczką MCI Jubilat Marta Zacharzewska-Ionesi opowiedziała o wydarzeniu: - Dzień Sąsiada zaproponowała kierowniczka MOK-u, Dorota Drozd. My jesteśmy nową instytucją, która jest otwarta na propozycje. Ciągłe powtarzam, że zespół MOK-u i nasz jest tak samo szalony. Pasujemy do siebie idealnie. Zawsze jesteśmy gotowi do organizowania wspólnych imprez. Myślę, że dzisiejsze wydarzenie jest początkiem czegoś nowego, więc bardzo się cieszę - mówiła.

Pora na integrację

Było to także święto głogowskiego MOK-u, dlatego



To była okazja do bardzo miłych pogawędek

o współpracę i przygotowania spytałśmy także kierowniczkę CK MOK, Dorotę Drozd.

- Powiedzmy, że pomysł zorganizowania Dnia Sąsiada był wspólny - śmieje się Dorota Drozd. - Współpraca z Jubilatem jest fantastyczna, ponieważ dobrze się znamy, mamy podobną energię i lubimy szalone pomysły. Bardzo się cieszymy, że w końcu mamy sąsiadów. Myślę, że dzisiejsze święto jest świetnym momentem na integrację dwóch instytucji. Za rok widzimy się na następnym Dniu Sąsiada - opowiadała szefowa CK MOK.

Najciekawsza była gra

Mieszkańcy miasta dość licznie przyszedli na wydarzenie. Z zaangażowaniem korzystali z przygotowanych atrakcji.

- Pierwsza taka impreza w Głogowie, za rok na pewno też przyjdę. Najciekawsza była gra, bardzo zabawna. Muzyka na żywo też jest świetnym dodatkiem - mówiła pani Bożena.

Wśród uczestników była także pani Anna, która systematycznie korzysta z wydażeń organizowanych w Jubilacie, między innymi z „Po-

ranka Skowronka”. - Świetnie się bawie, bardzo fajna inicjatywa. Najbardziej podoba mi się integracja, ponieważ bardzo ważne jest przebywanie z ludźmi. Przyszła ze mną siostra i koleżanka. Dobrze spędzamy czas - powiedziała pani Anna.

Na zakończenie imprezy była prawdziwa sąsiedzka biesiada, czyli chleb ze smalcem i ciasto drożdżowe.



Głogowianie cenią sobie możliwość spędzania czasu w gronie zaprzyjaźnionych osób



Organizatorzy przygotowali wiele atrakcji. Dzieci miały okazję poznać maskotkę policjantów

Piknik przy uczelni. Dzień Rodzicielstwa Zastępczego połączyli z Dniem Dziecka

Wiktoria Żyta
Głogów

PCPR w Głogowie we współpracy z PANS, zorganizował Dzień Rodzicielstwa Zastępczego połączony z Dniem Dziecka. W ogrodzie uczelni pojawiło się wiele rodzin.

Powiatowe Centrum Pomocy Rodzinie zorganizowało Dzień Rodzicielstwa Zastępczego połączony z Dniem Dziecka. Inicjatywa powstała w celu podziękowania rodzicom zastępczym za ich zaangażowanie oraz opiekę.

W Głogowie jest obecnie 159 rodzin sprawujących opiekę zastępczą nad 259 dziećmi.

Na imprezie pojawiło się wiele rodzin, które mogły



Dzieci aktywnie uczestniczyły w zajęciach i świetnie się bawiły

uczestniczyć w integracji oraz skorzystać z atrakcji, które przygotowały PCPR i PANS.

- Ważnym aspektem jest zaangażowanie naszych studentów pedagogiki oraz no-

wych mediów w ramach wolontariatu w organizację spotkań oraz opiekę nad podopiecznymi pieczy zastępczej - informowała dr Emilia Sokółowska z PANS w Głogowie.

Dyrektorka PCPR w Głogowie, Arleta Garbolińska, opowiedziała nam o celach wydarzenia.

- Chcemy podziękować wszystkim naszym rodzinom za ich trud i wysiłek, który wkładają w wychowanie dzieci. Ci ludzie otwierają swoje serca i domy, zapewniają tymczasową opiekę i mierzą się z wieloma wyzwaniami. Chcemy, by te osoby poczuły się docenione i aby czuły nasze wsparcie. Połączyliśmy to z Dniem Dziecka; dzieci mogą się dzisiaj dobrze bawić, mają mnóstwo atrakcji - powiedziała.

Dyrektorka zachęca do zaangażowania się w rolę rodziców zastępczych. W trakcie szkolenia jest już kolejne małżeństwo.

GŁOGÓW

Zmiana nazwy naszego szpitala

Pod koniec maja szpital w Głogowie zmienił nazwę. W związku ze zmianami właścicielskimi, dotychczasowy Głogowski Szpital Powiatowy funkcjonuje już pod nazwą Szpital Głogowski spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Zmiana nazwy jest konsekwencją przejęcia przez Gminę Miejską Głogów połowy udziałów w spółce od Powiatu Głogowskiego. Współpraca obu samorządów ma umożliwić skuteczniejsze

inwestowanie w rozwój placówki, pozyskiwanie specjalistów oraz budowanie nowoczesnego centrum opieki zdrowotnej odpowiadającego potrzebom mieszkańców Głogowa i regionu. Nowa misja szpitala brzmi: „Słuchamy. Rozumiemy. Leczymy”. Gmina Miejska Głogów, na równi z powiatem stała się współwłaścicielem szpitala w grudniu ubiegłego roku.
Grażyna Szyszka

REKLAMA 0011459123

ZŁOMOWANIE POJAZDÓW
tel. 600 609 606

Wszystkie formalności załatwiamy na miejscu
Płatność gotówką od ręki
Wydajemy zaświadczenie o demontażu
Odbieramy własnym transportem

Cenimy Twój czas!

Stacja demontażu pojazdów | Czarkowo 16 | 64-125 Poniec



W piątek na scenie stanęli: MASK'Kap, LOKA oraz Agnieszka Chylińska. Publiczność najbardziej wyczekiwała tej ostatniej artystki

Dni Głogowa. Koncerty, pokaz laserowy, wesołe miasteczko oraz rejsy Odrą



W sobotę na scenie stanęli m.in. Bryska i legendarni bliźniacy z Golec uOrkiestry, a w niedzielę Arka Noego



Przez trzy dni muzycznych wrażeń było bez liku. Każdy mógł znaleźć coś dla siebie

TOUR de KIDS Głogów za nami



W zawodach rowerowych przy głogowskim Neptunie 30 maja wzięło udział 115 dzieci



Trasa liczyła około 100 m. Pokonali ją w trzech grupach zawodnicy w wieku od 3 do 7 lat



Wydarzenie zorganizowało stowarzyszenie Nowa Przestrzeń. Każde dziecko otrzymało medal

AUTOPROMOCJA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne
w Twojej gazecie przez
Internetowe Biuro Ogłoszeń.
Bez wychodzenia z domu.

ibo.polskapress.pl



PLOTKI

**KATARZYNA
CEREKWICKA**

Jest mamą

Panowało przekonanie, że jest singielką. Tymczasem w Dniu Matki ogłosiła, że niedawno została mamą i pokazała na Instagramie zdjęcie z malutkim synkiem u piersi. „Macierzyństwo to najpiękniejsza przygoda mojego życia. Pełna miłości, wzruszeń i szczęścia, którego nie da się opisać słowami” – napisała.

OSKAR CYMS

Stracił ząb

Młody piosenkarz słynie z energetycznych występów i świetnego kontaktu z fanami. Tak było też i podczas jego koncertu na Święcie Kwitnących Jabłoni w Grójcu. Szalał na scenie i kręcił mikrofonem. Nagle przypadkowo uderzył nim w dziąsło, co poskutkowało... wypadnięciem zęba. Ceny u stomatologów są horrendalne – wszystko wskazuje więc, że piosenkarz będzie musiał przeznaczyć sporą część swego honorarium z występu na wizytę u dentysty.

MARCIN PROKOP

Przylapany

Od czasu ogłoszenia rozstania z żoną prezenter jest pod ostrzałem plotkarskich mediów. Został przylapany przez paparazzich Pudelka w centrum Warszawy, gdzie w towarzystwie tajemniczej blondynki spędził dwie godziny w jednej z włoskich restauracji. Po zakończonym posiłku para odjechała do mieszkania w centrum miasta, a prezenter niósł ze sobą okazałych rozmiarów turystyczny plecak. Kiedy Pudelek zadzwonił do dziennikarza, aby spytać, kim jest jego znajoma, usłyszał: – To Gosia, naręczona mojego kumpla Karola.

SEBASTIAN FABIJAŃSKI

Dbą o psychikę

W rozmowie z Plotkiem aktor przyznał się, że korzysta z pomocy terapeuty, a doświadczenia sprzed lat zmieniły jego podejście. – Myślę, że mój pobyt w szpitalu psychiatrycznym swego czasu przyniósł do mojego życia model dbania o psychikę i troszczenia się o nią. Problemy psychiczne są często bardzo wstydliwe – powiedział. I wyjaśnił: – Bardzo długo zwlekałem i doprowadziłem się do takiego stanu, że musiałem po prostu iść do szpitala, bo nie było innej możliwości.



FOT. WIKTORIA ŻYTA

Arka Noego przyłączyła się do kibicowania

Podczas trzydniowych Dni Głogowa zorganizowano m.in. strefę kibica, a to z racji niedzielnego pojedynku piłkarzy w barażach o awans do ekstraklasy (patrz - str. 31).

Nawiązał do tego wydarzenia zespół Arka Noego, który zmienił słowa jednej ze swoich piosenek: „Świeć gwiazdeczko, mała świeć, Chrobry Głogów wygra mecz”. WŻ

INFORMATOR: TELEFONY, MAILE

**KOMENDA POWIATOWA
POLICJI**

- OFICER DYŻURNY

tel. 47 8742200
lub 47 8742201

**KOMENDA POWIATOWA
STRAŻY POŻARNEJ**

tel. (76) 8357714, email
kpglogow@kwpsp.wroc.pl

**GŁOGOWSKI SZPITAL
POWIATOWY**

tel. (76) 8373211, email
sekretariat@szpital.glogow.pl

**POWIATOWA STACJA
SANITARNO-EPIDEMIO-
LOGICZNA**

tel. (76) 7272594, email
psse.glogow@pis.gov.pl

**POWIATOWY LEKARZ
WETERYNARI**

tel. (76) 7276590, email
glogow@wroc.wiw.gov.pl

**URZĄD MIEJSKI
W GŁOGOWIE**

tel. (76) 7265400, email
sekretariat@glogow.um.gov.pl

**STAROSTWO POWIATOWE
W GŁOGOWIE**

tel. (76) 7282800, email
starostwo@powiat.glogow.pl

URZĄD GMINY KOTLA

tel. (76) 8318361, email
gmina@kotla.pl

URZĄD GMINY GŁOGÓW

tel. (76) 8365555, email
gmina@gminaglogow.pl

**URZĄD GMINY
GRĘBOCICE**

tel. (76) 8325300, email
sekretariat@grebocice.com.pl

URZĄD GMINY PĘCŁAW

tel. (76) 8317126, email
gmina@peclaw.eu

**URZĄD GMINY
JERZMANOWA**

tel. (76) 8312121, email
sekretariat@jermanno-
wa.com.pl

**URZĄD GMINY GAWO-
RZYCE**

tel. (76) 8316285, email
ug@gaworzyce.com.pl

URZĄD GMINY ŻUKOWICE

tel. (76) 8314241, email
gmina@zukowice.pl

URZĄD GMINY RADWANICE

tel. (76) 8311478, email
sekretariat@radwanice.pl

POGOTOWIE GAZOWE

tel. 992

**POGOTOWIE
CIEPŁOWNICZE**

tel. 993, (76) 8568200

**POGOTOWIE
WODOCIĄGOWE**

tel. (76) 8342131

POGOTOWIE AWARYJNE

tel. 994

URZĄD SKARBOWY

tel. (76) 7272400

**SPÓŁDZIELNIA MIESZKA-
NIOWA „NADODRZE”**

tel. (76) 8520700, email
sekretariat@smnadodrze.pl

**ZAKŁAD GOSPODARKI
MIESZKANIOWEJ**

tel. (76) 8531102, email
sekretariat@zgm.glogow.pl

HUMOR

Żona do męża:

– Kochanie, potrzebuję nowej sukienki na twoją ceremonię wręczenia Nagrody Nobla.
– Ale ja jeszcze nie dostałem żadnego Nobla.
– A, to twój problem.

– Jadzia, a ty się za męża nie wybierasz? – pyta sąsiadka sąsiadkę.
– Wybieram się, wybieram, ale nie mogę znaleźć pasującego. Wiesz, cały czas myślę o twoim mężu...
– O moim Józku myślisz!?!
– Ano, boję się, by mi się też nie trafił taki sam matolek...

– Dlaczego zaprosiłeś mnie do restauracji, w której byłeś już z inną kobietą?
– Kobiet jest mnóstwo, ale dobrych restauracji niewiele.

– Tania, jak ci się udało tak schudnąć?
– To przez wzrost cen benzyny.
– Chodzisz pieszo?
– Jeżdżę głodna!

– Kochanie, przyprowadziłem dziecko z przedszkola! Sam!
– Cudownie, jak mu damy na imię? Bo nasz chodzi do szkoły.

– Marian, jutro dzień panto-
flarza. Będziesz obchodził?
– Nie sądzę. Żona się nie zgodzi...

Kiedy zobaczyłam tytuł pani książki „Szczęśliwa dorosła córka”, pomyślałam, że brzmi on jak obietnica. Czy dorosła córka może być szczęśliwa, jeśli nie miała szczęśliwej relacji z matką?

Może być szczęśliwa. Tylko że to wymaga pracy i powrotu do siebie. Rozmawiałam ostatnio z przyjaciółkami i jedna z nich powiedziała trafnie, że nasze społeczeństwo składa się z matek i ich dzieci. Coś w tym jest. Bo nie chodzi tylko o córki. Chodzi w ogóle o dzieci. Ten powrót do siebie, do swojego wnętrznego dziecka, do jego utulenia, do potrzeby akceptacji – on jest możliwy. Dzięki terapii, dzięki kontaktowi z ludźmi, którzy będą nas otulać ciepłem i akceptacją. To naprawdę możliwe.

Napisała pani książkę dla córek niekochanych, kochanych za mocno, zaniedbanych, albo też zaopiekowanych nadmiernie. To bardzo szerokie spektrum. Co te osoby mają ze sobą wspólnego? Czy to są te same rany?

Nie do końca. Bo mamy różne style wychowania i różne matki. I nie zawsze chodzi o doświadczenia traumatyczne. Czasem chodzi o styl wychowawczy. O to, czy matka była bardziej kontrolującą, czy bardziej zaniedbującą. Można więc powiedzieć, że to są różne style, ale rana albo ślad, który po nich zostaje, bywa bardzo podobny.

Najtrudniejsze dzieciństwo to zawsze to, w którym jest przemoc, chłód, porzucenie? Czy trudne może być także dzieciństwo z matką, która kocha za bardzo?

Może być. Mówimy wtedy o więzi symbiotycznej, w której matka zadusza autonomię dziecka. To jej potrzeby, jej lęk, jej emocje są na pierwszym miejscu. I ona zaczyna tym dzieckiem sterować, kierować, pozbawiać je własnej decyzyjności i poczucia wartości. Dziecko gubi swoją tożsamość. Nie wie, kim jest. Nie może się wyodrębnić. To jest bardzo trudne. Taka matka często używa dziecka także do swoich celów, w sposób parentyfikujący. Czyli czerpie z dziecka jak z partnera, szczególnie wtedy, gdy tego partnera nie ma.

W Polsce chyba w ogóle mamy niepisany zakaz mówienia źle o matce. Matki się nie rusza. Czy pani obserwuje, że to się zmienia?

Matka w ogóle jest ikoną, prawdą? Na szczęście u nas nie jest tak jak u Włochów. Nie wiem, czy oglądała pani „Rodzinę Soprano”. Tam Tony Soprano, kiedy w kontakcie z terapeutką zaczęło do niego dochodzić, co robiła jego matka, przeniósł agresję

właśnie na terapeutkę.

W Polsce też bardzo często lękliwość wobec rodzica, zwłaszcza wobec matki, jest tak duża, że trudno ruszyć z terapią. Trudno powiedzieć coś złego o swojej mamie. W ogóle trudno powiedzieć o rodzicu: „On mnie krzywdził”, „Ona coś mi robiła”. Wolimy to polukrować, służyć, nie patrzeć w tę stronę. Bo to często rodzi ogromny wstyd. Jeśli miałam taką złą matkę, to co to mówi o mnie? Wtedy boimy się dotknąć także siebie, swojego poczucia wartości. Dlatego tak bardzo unikamy mówienia źle o rodzicach. A przecież rodzice zawsze będą nieidealni. Chodzi o to, żeby zobaczyć, że nie są ikonami. Nie są idealnymi.

Kiedy dorosła kobieta zaczyna rozumieć, że lęk, wstyd albo perfekcjonizm nie wzięły się z jej charakteru, tylko z tego, co wydarzyło się w dzieciństwie?

Często dosyć późno. Chociaż przychodzą do mnie także młode dziewczyny, którym perfekcjonizm bardzo już przeszkadza. Mają ataki paniki, objawy somatyczne, lękowe. Są przeciążone. Czasem reagują depresją, bo to przeciążenie jest naprawdę duże. I wtedy pojawia się pierwszy kontakt ze sobą. Pierwsze uzmysłowienie sobie, że to wszystko ma jakieś źródło. Ale jest też taki moment, kiedy same zostajemy rodzicami. Wtedy bardziej czytelnie dochodzi do nas, że mamy różne deficyty, różne niedostatki. Że trudno dać swojemu dziecku coś, czego same nie dostałyśmy. Przychodzą do mnie kobiety, które dopiero planują dziecko, myślą o macierzyństwie albo są na jego początku. Nie zawsze dlatego, że sama zmiana życia je nadwyrężyła, choć oczywiście są też kobiety z depresją poporodową. Często przychodzą dlatego, że macierzyństwo otwiera w nich różne pytania: co dostałam od swojej matki, czego nie dostałam, co mogę dać swojemu dziecku?

Są takie zdania od naszych mam, które zostają z nami na całe życie, nawet kiedy matki już nie ma. Ale pewnie nie wszystkie potrafimy rozpoznać. Czasem sama łapałam się na tym, że zachowuję się jak własna matka. Jakie przekazy najczęściej zostają w córkach?

Bardzo często zostaje z nami przekaz rodzinny i on zostaje nie tylko w głowie, ale też w ciele. Na przykład jako niewypowiedzenie, które zatrzymuje się w gardle. Jednym z takich przekazów jest: „Nie mów nikomu, co się dzieje w domu”. I nie chodzi tylko o przemoc. Czasem

– Wszystko, co robisz, robisz nie tak, jak trzeba
– taki przekaz często zostaje w córkach na całe życie. O tym, jak z ciągłego poprawiania dziecka rodzi się dorosła perfekcjonistka, mówi psycholożka Marta Suska, autorka książki „Szczęśliwa dorosła córka. Uzdrawianie ran z dzieciństwa”

Anita Czapryn



Marta Suska: Macierzyństwo często otwiera różne pytania: co dostałam od swojej matki, czego nie dostałam, co mogę dać swojemu dziecku?

MARTA SUSKA: CÓRKA MA PRAWO DO SWOJEGO ŻYCIA, NAWET JEŚLI MATKA SIĘ OBRAZI

chodzi o to, że dom ma być zamknięty, bo inni ludzie mogą nam zagrażać. Rodzi się nieufność. Dom staje się wyizolowany. Nie wolno nikogo wpuścić, nie wolno niczego wynosić na zewnątrz. Z tym wiąże się także zakaz wypowiadania własnego zdania, zakaz buntu. To później niesiemy w świat. Bo

przecież trzeba być grzeczną. Jest w nas też taka wielopokoleniowa służebność kobiet. Matka Polka, kobieta, która ma służyć innym, podawać do stołu, robić dla innych, poświęcać się. Macierzyństwo w ogóle zakłada pewien rodzaj samopoświęcenia. A kiedy kończy się macierzyństwo, zaczynają się

wnuki i często pojawia się kolejne oczekiwanie: teraz będziesz zajmować się wnuczkami, to jeszcze nie jest czas dla ciebie. No więc kiedy jest czas dla mnie? Kiedy mogę zająć się sobą? Jak już odśłużę swoje?

Jakie zdania matek najczęściej zostają w córkach

na całe życie? Z czym przychodzą do pani kobiety?

Bardzo często to nie są nawet zdania wypowiedziane wprost, tylko przekaz niewerbalny. Czegoś takiego nie zawsze można nazwać traumą, ale to zostaje w nas jako przekonanie. Na przykład: wszystko, co robisz, robisz nie tak, jak trzeba. A w jaki sposób matki to przekazują? Przez ciągłe poprawianie dzieci. Przez komunikaty: możesz to zrobić lepiej, to nie jest twoje najlepsze wykonanie, popraw się. Albo przez takie strofowanie: jak masz tak robić, to lepiej nie rób wcale. To właśnie buduje dążenie do perfekcjonizmu. I to jest chyba najbardziej zabijające poczucie sprawczości, bo dziecko nigdy nie robi czegoś tak, żeby zadowolić mamę. Czasem te przekazy są delikatniejsze, mniej systematyczne. A czasem dziecko w każdej sprawie słyszy albo czuje, że nie dolega, że coś jest nie tak. Nie ma przestrzeni, żeby się wykaazać, żeby usłyszeć: zrobiłaś to dobrze, to jest skończone, już nie trzeba poprawiać. I to właśnie napędza perfekcjonizm.

Jak rozpoznać, które z tych „prawd” i przekonań są moje, a które odziedziczyłam po matce?

Czasami to są rzeczy słyszalne, konkretne zdania. A czasami to są sposoby radzenia sobie. To jest kwestia samoświadomości i obserwacji. Najpierw potrzebujemy zobaczyć siebie. Zapytać: co z tego naprawdę jest moje? W terapii bywa takie ćwiczenie: mam jakieś przekonanie, na przykład „jestem niewystarczająca”, i zaczynam się zastanawiać, kiedy ono do mnie przyszło. Od kiedy jest ze mną? Czy od szkoły podstawowej? Czy pojawiło się później? Kto w mojej rodzinie używał takiego przekonania albo żył tak, jakby ono było prawdą? Wtedy możemy namierzyć, skąd to pochodzi. Dziecko jest w pewnym sensie niezapisaną kartką papieru. Oczywiście rodzimy się z genami, coś jest nam przekazane biologicznie, ale bardzo dużo dzieje się przez kształtowanie i modelowanie przez rodziców. I ten przekaz może być naprawdę niewerbalny. Modelowanie jest najskuteczniejszym sposobem wychowania. Nie to, co rodzic mówi: „Masz być uczciwy”, jeśli na przykład sam kradnie. Wtedy dziecko dostaje podwójny przekaz. Albo słyszy: „Nie pal papierosów”, kiedy oboje rodzice palą. Nie da się oczekiwać, że dziecko po prostu przyjmie coś zupełnie innego. Albo: „Idź do innych dzieci” – mówi matka, siedząc na placu zabaw. Sama patrzy

w telefon, sama nie nawiązuje kontaktu, a wymaga od dziecka, żeby się nie izolowało, tylko poszło do dzieci. To jest właśnie podwójny przekaz. Dziecko najwięcej uczy się przez to, jak my żyjemy. I to ma swoje dobre i złe strony. Pokazujemy mu zarówno dobre rzeczy, jak i te bardzo trudne. Tak jak powiedziałam na początku: z pustego w próżne nie naleję. Jeśli sama czegoś nie dostałam, jeśli nie mam jakichś zasobów i ich nie rozwinę, to nie pokażę ich dziecku. Nie mogę też wymagać od dziecka, że ono będzie inne, jeżeli ja mu tego nie dałam. Na przykład: jeśli nie dałam mu akceptacji, to jak to dziecko ma w przyszłości akceptować siebie?

Pisze pani o Krytycznym Rodzicu, który każe pracować więcej, szybciej, lepiej, nie pozwala odpoczywać, porównuje. Czy to jest głos matki, który z czasem zamienia się w nasz głos wewnętrzny?

Tak. Właśnie tak. Te krytykujące komunikaty, które dostajemy, bardzo często później powtarzamy sobie w głowie. Czasami są to bardzo raniące, wręcz rujnujące komunikaty. Na przykład dotyczące inteligencji. Kiedyś częściej mówiło się do dzieci: „Jesteś debilem”, „Głupia jesteś”.

Albo: „Nie możesz być normalna jak inne dzieci? Jesteś nienormalna”.

Tak. I to porównywanie. Bardzo dobrze, że pani o tym powiedziała, bo porównywanie do innych dzieci też jest niszczące. Dziecko dostaje wtedy komunikat: taka, jaka jestem, nie jestem taka, jak trzeba. Inne dzieci są lepsze. Inne dzieci są bardziej widziane przez mamę. A najgorzej, kiedy jesteśmy porównywani do rodzeństwa.

Słyszałam też, gdy matka zarzucała dziecku: „Nie masz ambicji”. Jak więc odróżnić zdrową ambicję od programu matki: trzeba udowodnić, trzeba być bez zarzutu, trzeba zawsze dowozić? Poznajemy to po uczuciu. Po tym, czy coś robimy dla siebie, czy dla kogoś. Czy ja mam dziecko, wybieram pracę, idę na studia dlatego, że to jest moje? Czy dlatego, żeby moi rodzice się cieszyli i byli ze mnie zadowoleni? Potrzebujemy to odróżnić. Oczywiście, że potrzebujemy aprobaty. To nigdy nie jest zupełnie oderwane od rodziców, bo rodzice nadają nam jakiś kierunek. Ale jeżeli za każdym razem, kiedy przyjeżdżam do domu, czekam na uznanie, na pochwałę, a ona nigdy nie przychodzi, to jest ważna informacja. Może przez całe życie robiłam coś

dla swoich rodziców. To bywa bardzo frustrujące. Kobiety często opowiadają mi na przykład, że kiedy przyjeżdża mama, dom musi być posprzątany. Nieważne, czy ta kobieta dopiero urodziła dziecko, jest w połogu, czy jest wykończona. Musi być posprzątane. Okna muszą być umyte, jeśli mama przyjeżdża na święta. Bo co mama powie? Podobnie jest z wychowywaniem dzieci. Córka stara się mówić do dziecka tak, jak będzie to aprobowane przez jej rodzica. Albo nie mówi matce, że ma trudności wychowawcze. Nie mówi, że dziecko dostało jedynkę, bo mama będzie niepokojona. Albo musi wyjść za mąż w odpowiednim czasie, bo pojawia się oczekiwanie: kiedy będą dzieci?

Przez całe dzieciństwo małej dziewczynce bardzo zależy na akceptacji matki. Odczytuje, czego matka chce, próbuje to spełnić. Czy potem, już jako dorosła kobieta, może sama nie bardzo wiedzieć, czego chce? I jak ma się dowiedzieć, czy to, co robi, to dlatego, że sama tego chce, czy dlatego, że chce jej mama?

Nasza autonomia, nasze prawdziwe autonomizowanie, powinno dokonywać się w wieku nastoletnim. Mniej więcej do dwudziestego roku życia zaczynamy się wyodrębniać, nasza osobowość się kształtuje. To jest taki pierwszy ważny okres w dorosłości. Ale jeśli więc z matką jest nieprawidłowa, możemy nawet do czterdziestki czy pięćdziesiątki być ciągle pod jej jurysdykcją. Jeżeli nie autonomizujemy się w wieku nastoletnim albo we wczesnej dorosłości, to później dużo zależy od tego, co nam się w życiu przytrafi. Może być tak, że pojawi się partner, który wyjedzie z nami do innego kraju, i wtedy stajemy się bardziej niezależne. Moje dorosłe dziecko wyjechało teraz na Erasmusa i mówi, że najlepiej wychowuje się same ze sobą. To jest jego pierwszy taki wyjazd. I coś w tym jest. Kiedy jesteśmy odseparowani od rodziców, możemy się bardziej zautonomizować i poczuć, czego naprawdę chcemy. Dzieje się to także w terapii. Kiedy przerabiana jest więź z którymś z rodziców, często intuicyjnie trochę się od tego rodzica odsuwamy. Czasem bardziej, czasem mniej. Nie dzwonimy tak często, nie jeździmy, potrzebujemy dystansu. Nie po to, żeby zniszczyć relację. Raczej po to, żeby złość albo inne trudne emocje na niej nie zaważyły. Żeby można było to w sobie przepracować. Później często następuje powrót do rodzica, ale już z innego miejsca.

Czyli matka powinna wtedy po prostu poczekać? Nie narzucać się?

To jest trudne, bo matka bardzo często nie jest na tym samym etapie. Nie jest w terapii. Przez całe życie była taka sama, więc może tego nie rozumieć. Bardzo często złości się na dziecko, domaga się czegoś – tego samego, czego domagała się wcześniej. I wtedy zautonomizowanie się od takiej mamy jest naprawdę trudne.

Jakie dorosłe objawy może mieć córka, która przez całe dzieciństwo była „grzecznym dzieckiem”?

Na przykład w relacji romantycznej też jest podporządkowana. Bardziej skłania się ku temu, czego chce partner, co on robi, czego oczekuje. Bardzo często dostosowuje się w sposób lękowy.

Nie stawia granic.

Trudno jest jej stawiać granice także w innych relacjach, również w pracy. Trudno jej awansować, zawalczyć o siebie. Stara się pracować jak najlepiej. To są zazwyczaj osoby, które robią wszystko dokładnie, poprawnie. Będą robiły nadgodziny. Nie zaprotestują, kiedy pojawią się zmiany, które nie uwzględniają ich ścieżki zawodowej. Po prostu się podporządkują. I to jest smutne, bo one nie umieją zawalczyć o siebie. Nie potrafią postawić granic. Tracą swoją autonomię i swoje życie na rzecz innych osób.

Bywa i tak, że matka zaczyna chorować albo ma inne problemy. Robi z córki pocieszycielkę, powierniczkę, domaga się opieki. Kiedy troska o mamę może stać się więzieniem?

To może być różnie przeżywane. Czasami opieka nad mamą jest oddaniem jej tego, co ona sama z siebie dała. Dziecko czuje wdzięczność. Wiadomo, każdy z nas ma jakiś dług wobec rodzica. Rodzic będzie chorował, będzie miał demencję, będzie potrzebował naszego wsparcia. Będzie zależny od nas, tak jak my kiedyś byliśmy zależni jako dzieci. To jest pewien dług do spłacenia. Ale zupełnie inaczej opiekuje się rodzicem, który był dla nas dobry, ciepły, wspierający, a inaczej z chłodną matką, która nie dawała wsparcia, matką kontrolującą, trudną, kłótniową. I taką mamą w starszym wieku naprawdę trudno się opiekować. Czasem rodzice, im są starsi, tym bardziej się domagają. I to nie musi być siedemdziesięcio- czy osiemdziesięcioletnia chora kobieta. Są też mamy, które mają pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat, jeszcze pracują zawodowo, a już doma-

gają się od dorosłych córek, żeby przyjeżdżały co tydzień, żeby poświęcały im każdy weekend, żeby pielili w ogródku. Bo to ma być w raz szacunku do mamy.

W książce pojawia się też zdanie, że mamy prawo do swojego życia, nawet jeśli matka się obrazi. Dla wielu dorosłych kobiet to zdanie może być rewolucyjne. Dlaczego? Mam wrażenie, że poczucie winy tak często stoi za lojalnością wobec matki.

Tak, niestety tak. Mama zawsze może powiedzieć: „Nie tak cię wychowałam”. To jest bardzo częsty tekst. Pojawia się zwykle wtedy, kiedy matce coś się nie podoba i kiedy próbuje zdyscyplinować córkę, choć ta córka jest już dorosła. Ma swoje życie. Na przykład matka mówi: „Miałas do mnie przyjechać w ten weekend, a nie przyjechałaś”. A córka chciała wyjechać ze znajomymi nad jezioro. I nagle jest w dyssonansie, w dyskomforcie. Co powinna zrobić? Z jednej strony jest mama, z drugiej – jej własne życie. Jeżeli więc jest oparta na szacunku i uznaniu odrębności drugiej osoby, matka zrozumie, że mogą się zobaczyć w następnym tygodniu. Albo jeszcze w kolejnym. Przecież się nie pali.

W rozmowach z koleżankami słyszę dość często nawet: „Nie chcę rozdrapywać dzieciństwa, rodzicom już wybaczyłam, nie ma do czego wracać, było, minęło”. Sama zresztą powiedziałam coś podobnego mojej terapeutce. Kiedy powrót do dzieciństwa jest potrzebny, a kiedy może stać się pułapką? Kiedyś myślałam, że jak ktoś ma sześćdziesiąt parę lat i oskarża nieżyjącą matkę za to, że ma nieudane życie, to myślałam, że miał czas, żeby coś z tym zrobić.

Tak, ale czasami dopiero w wieku sześćdziesięciu lat odkrywamy, że matka robiła coś takiego, przez co ja dzisiaj mam trudności, na przykład w każdym swoim romantycznym związku. Każdy ma swój czas dochodzenia do różnych prawd. I to, że ktoś odkrywa coś dopiero w wieku pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu lat, wcale nie jest złe. Myślę, że zawsze trzeba przyrzeczyć się rodzicom, bo to jest baza, z której startujemy. Jeśli patrzymy tylko na tu i teraz na swoje problemy psychiczne, depresyjne, lękowe, to bywa dość płytkie. Pewne struktury zostały w nas ukształtowane w dzieciństwie. Style radzenia sobie także pochodzą z dzieciństwa. Mówię tu o schematach, które w dorosłym życiu często stają się nieadaptacyjne. Jeśli w dzieciństwie ra-

dziłam sobie przez podporządkowanie, bo byłam zależna od rodziców i musiałam się podporządkować, to w dorosłym życiu ten sposób może mi już nie służyć. Na przykład w korporacji. Bo wtedy próbuję przypodobać się każdemu szefowi, każdej koleżance, każdemu się podporządkować. A więc potrzebuję to zmienić. Dlatego warto się temu przyjrzeć. Wiem, że mniej więcej jedna trzecia pacjentów nie chce wracać do przeszłości. Ludzie boją się odkrywać dzieciństwo. A im bardziej unikają tego tematu, tym bardziej narasta lęk. Często zupełnie niepotrzebnie. Bo tam nie zawsze jest jakaś czarna dziura. Nie zawsze jest trauma w najbardziej dramatycznym rozumieniu. Często jest po prostu ten krytyczny negowanie: przez krytykę, ciągle poprawianie, korygowanie. Dopiero w ostatnich latach więcej mówi się o nagradzaniu, o pozytywnym wzmacnianiu. Wcześniej bardzo często była tylko korekta negatywnym: robisz nie tak, nie tak cię wychowałam. Czasem jest też tak, że rodzic był niespójny. Krytykował, ale też potrafił docenić. Chwalił za coś, a potem znowu uderzał w dziecko słowem. I znowu chwalił, i znowu ranił. Można powiedzieć, że to i tak lepsze niż sama krytyka, ale dla dziecka to nadal jest bardzo trudne. Bywa też, że mamy krytykującą matkę, ale w naszym otoczeniu są osoby, które nas wzmacniają. To może być nauczyciel, drugi rodzic, babcia. Ja miałam fantastyczną babcię. Ona zawsze mówiła: „Martusiu, cokolwiek zrobisz, będzie dobrze. Ja może nie wiem, może głupia jestem, ale ty będziesz wiedziała najlepiej”. I to jest właśnie zaufanie do dziecka.

Jest jeszcze temat, który często wraca w przestrzeni publicznej: przebaczenie. Czy przebaczenie matce jest konieczne, żeby pójść dalej? A jeśli córka nie chce przebaczyć, czy nadal może zdrowieć?

Wrócę jeszcze do tego, o czym pani mówiła wcześniej: czy jest sens rozgrzebywać dzieciństwo. Bo czasami rzeczywiście można utknąć w takim rozgrzebywaniu skrzywdzenia. Ale myślę, że nie chodzi przede wszystkim o przebaczenie rodzicom. Chodzi raczej o uznanie, że to jest część mojej przeszłości. Część mojego dzieciństwa, a czasem nawet całe moje dzieciństwo. I teraz pytanie brzmi: co mogę zrobić dzisiaj? Mogę spróbować to naprawić. Naprawić po moich rodzicach to, co, za prze-

prośeniem, spieprzyli. W terapii mówi się o powtórnym rodzicielstwie. Jeśli pacjent nie ma jeszcze zasobów, żeby być własnym dobrym rodzicem, terapeuta bywa takim wspierającym rodzicem. Czasem też wyobrażamy sobie tego rodzica, którego potrzebowaliśmy. W mojej książce piszę o różnych typach matek i o tym, czego możemy od matki potrzebować. Jest tam cała paleta rzeczy: bezpieczeństwo, uznanie, akceptacja, przewodnictwo. I warto zobaczyć, w jaki sposób mogę dać sobie te rzeczy sama. A jeśli sama jeszcze nie potrafię, to gdzie mogę ich szukać? Może trochę da mi przyjaciółka. Może mentorka. Może trener. Ktoś mi zamodeluje jak mogę sobie samej to dać. Potrzebujemy sami po to sięgać i budować własne zasoby. Robimy to dzięki terapii, ale też dzięki warsztatom, książkom, dobrym relacjom.

I tak dochodzimy ostatniego pytania: kim jest szczęśliwa dorosła córka? Czy to jest kobieta, która ma już dobrą relację z matką? Czy raczej ta, która wreszcie ma dobrą relację z samą sobą?

Ta, która ma dobrą relację z samą sobą. Szczęśliwa dorosła córka jest dla siebie najlepszą wersją matki, jaka mogłaby jej się trafić. Buduje w sobie wewnętrzną matkę. Taką, która utuli, zaopiekuje się, odpowie na potrzebę. Jeżeli jestem zestresowana, to zauważam to i staram się być responsywna wobec siebie. Czyli odpowiedzieć na swoją potrzebę. Mogę sobie powiedzieć: chodź, pójdziemy na jogę. Albo: może teraz pójdź spać, prześpij się. Napij się czegoś ciepłego. Zrób sobie herbatę. Bo nie zawsze chodzi o powrót do prawdziwej matki. Czasami taki powrót jest niemożliwy. Szczególnie jeśli matka była karząca, jeśli się znęcała, jeśli była narcystyczna. Albo po prostu już jej nie ma, nie żyje, i naprawienie relacji z nią nie jest możliwe. Dlatego potrzebujemy zbudować tę matkę w sobie.

KSIAŻKA



Marta Suska, „Szczęśliwa dorosła córka. Uzdrawianie ran z dzieciństwa”, Wydawnictwo RM, 2026

KTO BIJE BARDZIEJ? POLACY UKRAIŃCÓW CZY ODWROTNIE?

„Czemu nie walczysz na froncie?! S...j z Polski!” – usłyszał Ukrainiec na bulwarze w Toruniu. A potem napastnik złamał mu nos i wybił zęb. Teraz młody agresor staje przed sądem. Nasza informacja o tym wywołała falę komentarzy. Czy „system” ściga za agresję Polaków, a ukrywa przemoc ze strony Ukraińców?

Małgorzata Oberlan



FOT. 12RF

Liczba napaści na Ukraińców z powodu ksenofobii, rasizmu lub nietolerancji religijnej zwiększyła się w ciągu 2 lat o ponad 66 procent – podają policyjne statystyki, do których dotarł Onet

Dawno żaden tekst na naszych łamach nie wywołał takiej lawiny komentarzy, jak ten. W połowie maja napisaliśmy o akcie oskarżenia i mającym ruszyć procesie 22-letniego Bartosza B., który pobił Ukraińca na bulwarze w Toruniu. Ewidentnie na tle narodowościowym, co śledczym sam przyznał.

Ponad 1600 komentarzy zawierało – i owszem – sporo postów wyprodukowanych przez tzw. boty. Wiele pochodziło też z fejkowych kont facebookowych. Ale naprawdę licznie wypowiedzieli się też realni internauci.

„A o brutalnych pobiciach Polaków przez Ukraińców też piszcie, czy tylko w jedną stronę? Dziwnym trafem od jakiegoś czasu wszystkie media wrzucają podobne artykuły do Waszego” albo „A jak Polaków biją i napadają, to cisza” – padało. Szybko ten akurat zarzut okazał się nietrafiony, bo już po dwóch dniach donosiliśmy o zarzutach prokuratury w Grudziądzu dla 19-letniego Ukraińca za usiłowanie

zabójstwa 61-letniej kobiety w Nowej Wsi i pobiciu jej partnera.

Jaka jest prawda o skali przemocy między Polakami i Ukraińcami? Czy dla tak zwanej poprawności politycznej ukrywane są wydarzenia, w których agresorami są obywatele Ukrainy? I czy w ogóle twarde dane na ten temat są dostępne? Postanowiliśmy przyjrzeć się sprawie – lokalnie (w Kujawsko-Pomorskiem) i szerzej.

Ukraińiec pobity na bulwarze w Toruniu

Zacznijmy od krótkiego przypomnienia sprawy z Bulwaru Filadelfijskiego w Toruniu. Turaj 22-letni obecnie Maciej B. zaatakował przypadkowo spotkanego Ukraińca. Wydarzenia miały miejsce 7 października 2024 r., ale rozpoczęcie procesu w Sądzie Okręgowym w Toruniu wyznaczono dopiero na koniec maja bieżącego roku.

Mający wówczas 20 lat Bartosz B. był pod wpływem alkoholu. Wraz z dwoma kompanami nad Wisłą szukał towarzystwa. Wieczorem młodzi

Torunianie przysiedli się na bulwarze do nieznanego im młodego mężczyzny. Od słowa do słowa i dowiedzieli się, że jest z Ukrainy. I wtedy właśnie w Bartoszu B. uruchomiła się agresja.

„Spier...j! Masz przeje...e w Polsce. Czemu nie walczysz na froncie?” – takie słowa między innymi padły z ust napastnika. Potem przeszedł do rękoczynów.

Bartosz B. uderzył pokrzywdzonego dwa razy w twarz i w głowę. Skutkiem tego było złamanie przegrody nosowej oraz zęba – przekazał nam, pochylając się nad aktem oskarżenia, Jarosław Szymczak, asystent rzecznika Sądu Okręgowego w Toruniu.

Bartosz B. oskarżony został o przestępstwo, które opisuje artykuł 257 Kodeksu karnego: „Napaść z powodu ksenofobii, rasizmu lub nietolerancji religijnej”. Przewiduje on, że „Kto publicznie znieważa grupę ludności albo poszczególną osobę z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, wyznaniowej albo z po-

wodu jej bezwyznaniowości lub z takich powodów narusza nietykalność cielesną innej osoby, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3”.

Proces młodzieńca może skończyć się na jednej rozprawie. Dlaczego?

Już na etapie postępowania prokuratury Bartosz B. wyraził skruchę. Powiedział, że bardzo żałuje tego, co zrobił i że chciałby pokrzywdzonego przez siebie mężczyznę za to przeprosić – przekazał nam Jarosław Szymczak.

Ile podobnych spraw, potocznie nazywanych „przestępstwami z nienawiści” lub „z dyskryminacji”, trafia do Sądu Okręgowego w Toruniu? Niewiele – jak się okazuje. Przez cały 2025 rok i cztery miesiące roku bieżącego prokuratury wyznaczone przed laty w okręgu do prowadzenia tego typu postępowań – Prokuratura Rejonowa Toruń Centrum Zachód i Prokuratura Rejonowa w Grudziądzu – skierowały cztery akty oskarżenia.

W tych czterech sprawach jest tylko jedna, w której pokrzywdzonym (przez Polaka)

jest obywatel Ukrainy. W pozostałych pokrzywdzonymi są obywatele państw pozaeuropejskich (w tym obywatel Zimbabw) oraz Polak dyskryminowany przez rodaka na tle wyznaniowym – wylicza Jarosław Szymczak.

Alarmujące statystyki KGP kontra lokalne podwórko. Co mówi prokuratura?

Tymczasem statystyki ogólnopolskie z ostatnich lat są zdecydowanie gorsze. Twarde dane z ubiegłego roku z Komendy Głównej Policji pozyskali dziennikarze portalu Onet.pl. Mówią one generalnie o skokowym wzroście przestępczości wobec Ukraińców.

Portal nie koncentrował się jednak tylko na sprawach typowych „przestępstw z nienawiści” z kluczowym art. 119 Kodeksu karnego („Kto stosuje przemoc lub groźbę bezprawną wobec grupy osób lub poszczególną osobę z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, politycznej, wyznaniowej lub z powodu jej bezwyznaniowości, podlega

karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5”). Onet pytał policję szerzej – o cały katalog spraw budzący obraz sytuacji w kraju.

„O ponad połowę w ciągu dwóch lat wzrosły w Polsce przestępstwa polegające na stosowaniu gróźb karalnych wobec Ukraińców. O ponad 70 proc. zwiększyła się w tym samym okresie liczba przypadków znęcania się nad osobami tej narodowości. Zaś liczba napaści na Ukraińców z powodu ksenofobii, rasizmu lub nietolerancji religijnej zwiększyła się w ciągu dwóch lat o ponad 66 proc. Tak wynika z policyjnych statystyk, do których dotarł Onet” – pisał Piotr Halicki (W: „Coraz więcej przestępstw przeciwko Ukraińcom. Mamy zatrważające dane”, 30.10.2025 rok, Onet.pl).

Portal przytoczył informacje z KGP. Według danych zgromadzonych przez policję w okresie od 1 stycznia 2025 r. do 31 lipca 2025 r. odnotowano 543 stwierdzonych przestępstw motywowanych uprzedzeniami. To jest o 159 więcej niż w analogicznym okresie 2024



FOT. ARCHIWUM/KRYSTIAN DOBUSZYŃSKI

Na początku wojny Polacy tłumnie i entuzjastycznie wyrażali swoje poparcie i przyjaźń dla Ukraińców i nie szczędzili im pomocy. Obecnie żyje w Polsce przynajmniej 1,8 miliona Ukraińców. Dla policjantów, prokuratorów czy sędziów sprawą oczywistą jest, że Ukraińcy w związku z tym pojawiają się w sprawach karnych w różnych rolach: pokrzywdzonych, świadków przestępstwa, ale także i ich sprawców

roku, gdzie było ich 384. Jest to wzrost o 41 procent - wyliczała w odpowiedzi na pytania Onetu kom. Wioletta Szubska z Wydziału Prasowo-Informacyjnego KGP.

Z danych wynikało też, że najczęściej przestępstw wobec Ukraińców popełnianych jest w Polsce z art. 190 par. 1 Kodeksu karnego, czyli gróźb karalnych. I tutaj - rok po roku - liczba takich sukcesywnie rosła. Na drugim miejscu było „zniszczenie rzeczy” obywatelom Ukrainy (średnio po około 400 takich spraw rocznie).

Twarda przemoc? Trzecie miejsce w tym niechlubnym rankingu czynów, w których pokrzywdzeni są Ukraińcy, zajmują przestępstwa z art. 207 kk, czyli znęcania się (fizycznego lub psychicznego). W 2022 r. było ich 160, rok później 233, a w kolejnym roku liczba ta wzrosła do 278. To skok aż o blisko 73 proc. w ciągu dwóch lat. Od stycznia do końca lipca 2025 r. odnotowano już 196 takich przypadków.

- Fizycznych ataków (art. 157 par. 1 kk), których efektem jest naruszenie czynności narządu ciała i spowodowanie średniego i lekkiego uszczerbku na zdrowiu, w 2022 r. doznały 142 osoby narodowości ukraińskiej. W kolejnym roku liczba ta wzrosła do 175, a w następnym do 204. To wzrost o ponad 43 proc. w ciągu dwóch lat. Przez pierwsze osiem miesięcy 2025 roku doszło już do 118 takich ataków - przekazywał dane policyjne Onet.pl.

Jak te alarmujące statystyki mają się do naszego lokalnego podwórka? Do Sądu Okręgowego w Toruniu wpływają sprawy z Torunia, Grudziądza, Wąbrzeźna, Chełmna, Golu-bia-Dobrzyń i powiatów. Przestępstwami „z nienawiści narodowościowej” (ale i innej) zajmują się wyspecjalizowane

już w tym dwie wspomniane prokuratury: grudziądzka i Toruń Centrum Zachód. Akty oskarżenia z kluczowego art. 119 kk kierują od razu do Sądu Okręgowego.

- Każda taka sprawa to o jedną za dużo, to oczywiste. Nie obserwujemy jednak w naszym okręgu żadnego skokowego wzrostu przestępczości tego typu, w tym alarmującego wzrostu aktów przemocy wobec obywateli Ukrainy na tle narodowościowym. Wciąż takie sprawy się pojawiają, ale nie ma dynamicznego wzrostu - mówi prokurator Izabela Oliver, rzeczniczka Prokuratury Okręgowej w Toruniu.

Ukraińcy sprawcami przemocy. Prokuratura w Grudziądzu niczego nie kryła

Rzeczniczka od razu sama zwraca też uwagę na sprawę, którą obecnie zajmuje się Prokuratura Rejonowa w Grudziądzu. Dotyczy przemocy ze strony 19-letniego Ukraińca, i to brutalnej. Nasza redakcja, podobnie jak inne media, informowała o niej kilkakrotnie.

Nie jest to sprawa dotycząca nienawiści na tle narodowościowym, ale informowanie o niej jest przykładem na to, że zarówno prokuratura, jak i media nie ukrywają faktów, gdy podejrzanym o napad jest Ukraińiec.

Do dramatycznych wydarzeń doszło w Nowej Wsi pod Grudziądem w nocy z 30 kwietnia na 1 maja br. Wówczas służby zostały zaalarmowane o napadzie na 64-latkę. Kobieta w krytycznym stanie trafiła do szpitala. Po ponad dwóch tygodniach zmarła, o czym informowaliśmy na łamach 19 maja.

Ze wstępnych ustaleń śledczych wynika, że 19-latek był dłużny pieniądze 64-lacie.

Znali się, gdyż mężczyzna pracował na posesji kobiety. Wykonywał prace porządkowo-gospodarcze. Gdy młody Ukraińiec przyszedł do kobiety, nie miał pieniędzy, by oddać jej dług. Ta miała poinformować go, że sprawę zgłosi na policję. Wówczas 19-latek miał się przestraszyć i zacząć dusić seniorkę. W tym czasie naszedł partner 64-latk, który próbował pomóc kobiecie. Sam przy tym został pobity przez Ukraińca. To 51-latek wezwał służby.

- Podejrzanym złożył wyjaśnienia. Częściowo przyznał się do zarzucanego czynu, do tego, że dusił pokrzywdzoną, ale twierdził, że nie chciał jej zabić - powiedziała naszej dziennikarce Aleksandra Pasis prokurator Magdalena Chodyna. - Żałował tego, co się stało, zarówno podczas przesłuchania, jak i na posiedzeniu arestowym - dodała prok. Chodyna.

Ten młody Ukraińiec usłyszał zarzut usiłowania zabójstwa kobiety oraz uszkodzenia ciała jej partnera. Został tymczasowo aresztowany na trzy miesiące. Grozi mu kara od 10 lat więzienia aż do dożywocia.

Ukraińcy też są groźni. I też stają przed polskim sądem

Spraw, w których obywatele Ukrainy stawiani są w stan oskarżenia, generalnie przybiera przybywać będzie - to jasne w kontekście wzrostu ich liczby w Polsce. Obecnie mówi się o przynajmniej 1,8 miliona Ukraińców w Polsce.

Dla policjantów, prokuratorów czy sędziów sprawą oczywistą jest, że Ukraińcy w związku z tym pojawiają się w sprawach karnych w różnych rolach: pokrzywdzonych, świadków przestępstwa, ale i ich sprawców. Czy informacje o tych ostatnich przypadkach „system” ukrywa, jak dowodzą niektórzy rodacy?

Nie było milczenia o sprawie niezwykle brutalnego pobicia, którego 16-letni zaledwie Ukrainiec dopuścił się na starszym nieco, polskim koledze w Suwałkach. Większość wiodących mediów ogólnopolskich odnotowała też w maju rok temu jej finał sądowy. Obcokrajowiec skazany został przez tamtejszy Sąd Okręgowy na 8 lat bezwzględnego więzienia. Za co konkretnie?

Do dramatu doszło na początku października 2023 r. Na niezamieszkałym terenie w okolicy ul. Różanej w Suwałkach znaleziono leżącego na ziemi nieprzytomnego mężczyznę ze zmasakrowaną twarzą. Obrażenia głowy pokrzywdzonego były tak rozległe, że utrudniały identyfikację, a nawet określenie jego wieku. Pokrzywdzonym okazał się 20-letni mieszkaniec Suwałk.

Jak potem ustalili śledczy, poprzedniego dnia pokrzywdzony jeździł z kolegami samochodem ulicami Suwałk. Pasażerowie pili alkohol. Po północy pokrzywdzony i jego 16-letni wówczas kolega z Ukrainy wysiedli z samochodu. Przy ulicy Różanej nieletni z nieustalonych powodów zaatakował kolegę, zadając mu kilkanaście silnych uderzeń w głowę, przede wszystkim w twarz. Według prokuratury uderzał też tępym narzędziem.

„Sąd ustalił w trakcie procesu, że pokrzywdzony doznał w trakcie bójki naruszenia i złamania niemal wszystkich kości czaszki z wybięciem i uszkodzeniem zębów oraz trwałym uszkodzeniem oka. Obrażenia głowy spowodowały obrzęk mózgu i doprowadziły do uszkodzenia ośrodkowego układu nerwowego z przewlekłą niewydolnością oddechową. Stan zdrowia pokrzywdzonego uniemożliwia mu samodzielną egzystencję” - donosiły media ogólnopolskie.

Szybkie wydalenie Ukraińca z kraju? Reakcja rządu nie każdemu się podoba

Sprawa z Suwałk to tylko przykład i argument za tym, że jednak „system” odpowiedzialności Ukraińców nie pomija - także w przekazie medialnym. Ten sam „system” zresztą ostatnio zareagował błyskawicznie i kategorycznie wobec Ukraińca w sprawie innego typu, ale głośnej medialnie.

Kilka dni temu ukraiński influencer, który Corvetą wjechał w Tatrych w niedostępny dla aut rejon Morskiego Oka, został wydany z kraju przez najwyższe władze RP z zakazem ponownego wjazdu i zapowiedzią surowych konsekwencji wobec tego typu za-

W LICZBACH

Ilu Ukraińców jest w Polsce?
Według oficjalnych statystyk w Polsce przebywa około 1,8 miliona Ukraińców. Obecnie około 80 procent Ukraińców w Polsce jest aktywnych zawodowo - podaje ZUS. Dla porównania, wskaźniki te w Czechach i Niemczech wynoszą odpowiednio 48 i 25 procent. Natomiast według śródownisk skrajnie prawicowych w Polsce realna liczba Ukraińców zbliża się do granicy 2,8-3 miliona osób w szczytowych momentach (na przykład w sezonie letnim).

chowań. W tym przypadku zresztą obecny rząd znów wszystkich swoją reakcją nie zadowolili. Według niektórych jego reakcja nie była zwykłą odpowiedzią na sam czyn, ale „machina ruszyła ewidentnie pod presją mediów społecznościowych i chyba również doradców od wizerunku”.

A w szkole biją się wszyscy: Polacy Ukraińców i odwrotnie

Wzajemną agresję Polaków i Ukraińców kolejny już rok obserwują nauczyciele. I kolejny już rok muszą sobie z tym radzić.

- Ostatnio na zajęciach dodatkowych 6-letni Polak wymierzył u nas cios pięścią 6-letniej Ukraince. Nic poważnego fizycznie dziewczynce się szczęśliwie nie stało, ale - wiadomo --problem jest. I reagujemy, oczywiście. Standardem jest w takiej sytuacji postawa rodzica pokrzywdzonego dziecka, niezależnie od narodowości. Najczęściej od razu słyszymy żądanie „usunięcia agresora ze szkoły” - mówi nauczycielka ze szkoły podstawowej w Toruniu (dane do wiadomości redakcji).

Jak podkreśla, najczęściej chyba aktów wzajemnej przemocy jest w grupie wiekowej 11 plus. - Nakłada się na to wszystko wzrost w ostatnich latach dzieci „z orzeczeniem”, które autentycznie mają problem z nadpobudliwością, kontrolą emocji itd. Pamiętamy też dobrze falę agresji polskich dzieci wobec ukraińskich na początku wojny. Dzieci uchodźców miały wówczas w naszej szkole (ale i innych) prawo do korzystania na lekcjach z telefonów komórkowych - to z uwagi na nieznaną polskiego i dostęp do translatora. I to budziło agresję polskich uczniów, które komórek mieć nie mogły - dodaje nauczycielka. ©©

CO NA TO PRAWO

Kluczowy artykuł w Kodeksie karnym

Art. 119 Kodeksu karnego - Dyskryminacja. „Kto stosuje przemoc lub groźbę bezprawną wobec grupy osób lub poszczególnej osoby z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, politycznej, wyznaniowej lub z powodu jej bezwyznaniowości, podlega karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5”. Jest to kluczowy przepis, który biorą pod uwagę śledczy specjalizujący się w badaniu tzw. przestępstw z nienawiści, biorący pod uwagę werbalne i fizyczne ataki wobec obcokrajowców.

– Roboczo nazywam to „polskim MAGA”, ale traktuję to jako skrót analityczny, nie prostą kopię amerykańskiego zjawiska. Chodzi o styl polityki, personalizację przywództwa, relacje z otoczeniem Trumpa i próbę połączenia różnych nurtów prawicy. Jednocześnie sam potrzebuje Prawa i Sprawiedliwości chociażby do kolejnej kampanii wyborczej. Dla mnie wystawienie Przemysława Czarnka jako kandydata na potencjalnego premiera PiS to właśnie sygnał, że idzie po ten sam elektorat co Nawrocki. Stąd mogą być spięcia pomiędzy tymi obozami – mówi doktor Anna Materska-Sosnowska, politolożka z Uniwersytetu Warszawskiego

Dorota Kowalska

MATERSKA-SOSNOWSKA: PREZYDENT NAWROCKI PRÓBUJE STWORZYĆ „POLSKIE MAGA”

Mamy nowego I prezesa Sądu Najwyższego. Karol Nawrocki podjął decyzję wbrew oczekiwaniom Jarosława Kaczyńskiego, a nawet swojego byłego współpracownika, pana Cenckiewicza. To koniec bliskiej zależności?

Najpierw zaczniemy od zasady, że prezes partii opozycyjnej nie powinien recenzować kandydata na I prezesa SN. Formalnie decyzja należy do prezydenta, ale sama sugestia, kto „się podoba”, a kto „się nie podoba”, narusza standard kultury państwa prawnego, bo przyzwyczajają opinię publiczną do myślenia, że obsada najwyższych stanowisk w sądownictwie jest elementem partyjnych oczekiwań. I o tym nie zapominajmy. Kiedy przeczytałam wpis Jarosława Kaczyńskiego, sugerujący, kto nie powinien być I prezesem SN, bo to była sugestia przez negację, pomyślałam, że to trochę stawianie prezydenta pod ścianą. W tym sensie decyzja Karola Nawrockiego mogła mieć dla niego także wymiar polityczny: pokazać, że nie jest wyłącznie wykonawcą oczekiwań Jarosława Kaczyńskiego. Nie przeceniałabym jednak tego gestu. To nie jest jeszcze dowód pełnej samodzielności prezydenta, raczej kontrolowany sygnał separacji od prezesa PiS.

A może Karol Nawrocki chce zepchnąć prezesa Kaczyńskiego na margines, chce przyjąć rządy dusz na prawicy?

Już o tym rozmawialiśmy, wydaje się, że prezydent Na-

wrocki próbuje budować szerszy oboz na prawicy, tworzy „polskie MAGA”. Roboczo nazywam to „polskim MAGA”, ale traktuję to jako skrót analityczny, nie prostą kopię amerykańskiego zjawiska. Chodzi o styl polityki, personalizację przywództwa, relacje z otoczeniem Trumpa i próbę połączenia różnych nurtów prawicy. Jednocześnie sam prezydent potrzebuje Prawa i Sprawiedliwości chociażby do kolejnej kampanii wyborczej. To nie jest jeszcze polityk samodzielny, który stworzył swój oboz. On chce go budować, ale to jest proces. Wreszcie, dla mnie wystawienie Przemysława Czarnka na kandydata na potencjalnego premiera Prawa i Sprawiedliwości to właśnie sygnał, że idzie po ten sam elektorat co Nawrocki. Stąd mogą być spięcia pomiędzy tymi obozami.

Ale z drugiej strony Karol Nawrockiego otaczają ludzie Prawa i Sprawiedliwości! I Konfederacji.

No dobrze, ale politycy PiS-u są obecni w kancelarii prezydenta.

Oczywiście, że tak. Dlatego że MAGA, jeśli ma działać, to musi łączyć ze sobą część PiS-u i Konfederatów. Istotne jest też, kogo w tym otoczeniu nie ma albo, kto jest słabiej reprezentowany. To nie wygląda na prostą kontynuację zaplecza Mateusza Morawieckiego. Raczej na próbę zbudowania innego, bardziej prawicowo-populistycznego układu odniesienia.

Myśli pani, że walka frakcji w PiS-ie będzie się nasilać?

Nie sądzę, żeby ucihła. Po utracie władzy przegrupowanie w partii jest naturalne, a w PiS te ruchy nastąpiły z pewnym opóźnieniem, bo po drodze były jeszcze wybory prezydenckie. Komunikaty o spokoju czy dopuszczanie różnych stowarzyszeń wewnątrz obozu nie kończą konfliktu, tylko go na razie formatują. Na dziś myślę, że to napięcie będzie rosło, a nie małało i im bliżej wyborów, tym będzie silniejsze. I tym mocniej będzie wracać pytanie: kto daje partii większą zdolność koalicyjną, a kto lepiej broni jej elektoratu przed Konfederacją i Grzegorzem Braunem.

Koniec końców Mateusz Morawiecki wyjdzie z PiS-u?

Myślę, że tak. Jarosław Kaczyński nigdy nie dopuszczał do tego, żeby powstało coś silnego na prawo od jego formacji. Dzisiaj ta prawa strona wyrosła mu w postaci Konfederacji, a zwłaszcza w osobnym środowisku Brauna. I rozumiem, że wystawienie właśnie Czarnka, który de facto zaprzecza ośmiu latom rządów PiS-u, zaprzecza polityce Morawieckiego, ma odzyskać elektorat z prawej strony, ten najbardziej radykalny. Morawiecki próbuje budować odrębność w taki sposób, by móc wystąpić raczej jako ktoś wypychany niż jako rozłamowiec. Z kolei Kaczyńskiemu bardziej opłaca się, by to środowisko samo wzięło odpowiedzialność za ewentualne

wyjście. To klasyczna gra o winę za rozłam. Ale różne gesty czy ruchy Morawieckiego są wbrew ogólnemu interesowi partii, a na pewno wbrew niezachwianemu przywódcy, czyli prezesowi Kaczyńskiemu.

Tylko nie rozumiem tej gry pozorów. Jakie ma znaczenie, czy Morawiecki sam wyjdzie z PiS-u, czy zostanie z niego wyrzucony?

Ma duże znaczenie symboliczne i negocjacyjne. Kto wychodzi sam, ten łatwo słyszy: zdradził wspólną sprawę. Kto zostaje wyrzucony, może budować opowieść o krzywdzie i wierności pierwotnemu PiS. To widzieliśmy przy wcześniejszych rozłamach. Część projektów po odejściu musiała później wracać na warunkach narzuconych przez Kaczyńskiego. Dlatego obie strony będą unikać ruchu, który przerzuci na nie odpowiedzialność za podział.

Pani zdaniem, Zbigniew Ziobro to problem dla Prawa i Sprawiedliwości?

Myślę, że w długiej perspektywie tak, bo nawet jeżeli w tej chwili politycy PiS-u podnoszą, że to ośmieszenie rządu Donalda Tuska, to Ziobro jest dla nich problemem. Jego wyjazd do Stanów Zjednoczonych przykrył inne wewnętrzne problemy PiS-u, ale nie znosi problemu: były minister sprawiedliwości ma status podejrzanego w bardzo poważnej sprawie, a Prokuratura Krajowa mówi o 26 prze-

stępstwach. Dla PiS wygodne jest bronienie go jako ofiary politycznej, ale koszt reputacyjny takiej obrony rośnie. Trudność polega też na tym, że Ziobro dużo wie o funkcjonowaniu poprzedniego obozu władzy, więc nikt po prawej stronie nie może traktować tej sprawy wyłącznie jako problemu prawnego.

Myśli pani, że ma wiedzę, która mogłaby zaszkodzić politykom prawicy? W końcu był ministrem sprawiedliwości!

Oczywiście, że tak. Jako były minister sprawiedliwości i prokurator generalny z pewnością ma wiedzę o mechanizmach władzy, personaliach i decyzjach podejmowanych w tym czasie. Nie przesądzała bym publicznie, jakie dokumenty posiada ani kto dokładnie czego mógł się obawiać, bo to wymagałoby twardych dowodów. Politycznie istotne jest co innego: ewentualny proces oznaczałby jawny, instytucjonalny zapis rozliczeń. Dla PiS to ryzyko podwójne: prawne i narracyjne. A społeczny odbiór też nie jest neutralny. Obrona osoby poszukiwanej przez prokuraturę jest coraz trudniejsza do przedstawienia jako zwykła solidarność partyjna. Czy Ziobro jest obciążeniem? Napisy na stadionach, moim zdaniem, są jednoznacznie odpowiedzią na to pytanie.

Ziobro nie jest lubiany nawet przez wyborców Prawa i Sprawiedliwości. Dokładnie tak.

Rozumie pani tę decyzję administracji Donalda Trumpa o przyjęciu na swoim terytorium Ziobry, bo dyplomaci tego nie rozumieją?

Nie interpretowałabym tego automatycznie jako strategicznej decyzji całej administracji. Bardziej prawdopodobne wydaje mi się wyjaśnienie sieciowe: kontakty polityczne, środowiska konserwatywne, indywidualni pośrednicy. Ale tu trzeba być bardzo ostrożnym. Informacje o roli konkretnych osób, w tym Adama Bielana, wymagają potwierdzenia. Na dziś powiedziałabym tak: jeśli potwierdzą się doniesienia o politycznym załatwianiu wizy, będzie to poważny sygnał, że relacje ideologiczne zaczynają wpływać na sprawy prawne między sojusznikami.

Mam wrażenie, że jednak Donald Trump pewnymi wpisami, chociażby sugerującymi, że całą chwałę za przysłaniem do Polski 5 tysięcy żołnierzy może wziąć na siebie prezydent Nawrocki... A Donald Trump przysłał już tych żołnierzy?

Jeszcze nie.

Właśnie. I to jest sedno. W polityce bezpieczeństwa trzeba odróżniać wpis w mediach społecznościowych od realnej decyzji wykonanej przez administrację i wojsko.

Ale nie ma pani wrażenia, że Trump miesza się w polską politykę?

Tak, miesza się – i robił to już wcześniej. Proszę zwrócić



Materska-Sosnowska: Trump inwestuje politycznie w Nawrockiego jako swojego partnera ideowego w Polsce. Ale dla Polski najważniejsze jest nie to, kto dostaje symboliczny kredyt, tylko czy obecność wojsk USA będzie trwała

uwagę, że gdyby to zrobił jakiś przywódca europejski, to przede wszystkim Prawo i Sprawiedliwość najpewniej mówiłoby o naruszeniu naszej suwerenności. Jeśli robi to Trump, to prawica przedstawia to jako dowód przyjaźni i znakomitych kontaktów. To jest podwójny standard. Po przegranej Orbána ta relacja staje się dla polskiej prawicy jeszcze ważniejsza, ale też bardziej ryzykowna. Sam wpis o żołnierzach wzmacnia wrażenie, że Trump inwestuje politycznie w Nawrockiego jako swojego partnera ideowego w Polsce. Ale dla Polski najważniejsze jest nie to, kto dostaje symboliczny kredyt, tylko czy obecność wojsk USA będzie trwała, przewidywalna i skoordynowana z NATO.

To wsparcie Donalda Trumpa jest chyba prezydentowi Nawrockiemu na rękę.

Prezydent Trump nie jest do końca przewidywalnym sojusznikiem w klasycznym rozumieniu. Potrafi jednego dnia wzmacniać deklaracje bezpieczeństwa, a wcześniej sygnalizować redukcję obecności USA w Europie. Wypowiedzi Pete'a Hegsetha i amerykańska strategia bezpieczeństwa pokazują wyraźny trend: Europa ma wziąć znacznie większą odpowiedzialność za własną obronę, a USA będą traktować zobowiązania bardziej transakcyjnie. Dlatego medialny gest wobec Nawrockiego nie zmienia strukturalnego ryzyka dla

Polski. Należy też dodać, że Trump ma dziś niskie poparcie w szerokiej opinii publicznej w USA, choć pozostaje silny w swoim obozie. Jesienne wybory do Kongresu pokażą, ile z tej politycznej siły realnie zostaje.

Dobrze, przejdźmy trochę do koalicji rządzącej. Mamy odwołanie prezydenta Krakowa, Aleksandra Miszałskiego. To może być początek jakiejś fali? Opozycja mówi, że tak właśnie jest, że za chwilę będzie referendum w Rzeszowie i że Koalicja Obywatelska straci władzę w wielu samorządach.

Nie przeceniałabym tego, co się stało, ale na pewno nie można nie doceniać wyniku referendum w Krakowie. Jednocześnie referendum odwoławcze jest specyficznym mechanizmem: mobilizuje przede wszystkim przeciwników i tworzy asymetrię kampanii, bo obrońcy często kalkulują frekwencję. Przepisy przez PiS zostały zmienione tak, żeby przez obniżenie progu frekwencyjnego wzmocnić referendum negatywne. Bardzo łatwo jest opozycji odwołać prezydenta. Ale od odwołania prezydenta przez PiS czy Konfederację jest daleka droga. Opozycja ma teraz problem pozytywny: kogo wystawić i jak wygrać wybory, a nie tylko jak zorganizować sprzeciw.

Z drugiej strony mam wrażenie, że pan Miszałski liczył

na to, że to referendum będzie po prostu nieważne, ale się przeliczył.

Wiem, że taka została przyjęta strategia, tak była prowadzona kampania. Uważam ją za ryzykowną reputacyjnie, bo demokracja źle znosi komunikat: zostańcie w domu, żeby wynik był nieważny. Rozumiem logikę prawną, ale politycznie lepiej wygląda mobilizacja własnych zwolenników i jasne powiedzenie: jeśli chcecie kontynuacji, idźcie i zagłosujcie. Przykład Sopotu i Jacka Karnowskiego pokazał, że obrona przez aktywną mobilizację może być skuteczna. A z drugiej strony, czy odwołanie prezydentki popieranej przez KO w Zabrzu zmieniło bieg historii? Zmieniło trendy? Zmieniło co? Nie wydaje mi się. Wniosek jest prosty: nie robiłabym z Krakowa automatycznego trendu ogólnopolskiego, ale potraktowałabym go jako ostrzeżenie dla samorządowców koalicji.

Myśli pani, że koalicja rządząca ma kłopot z Polską 2050, bo Katarzyna Pełczyńska-Nełęcz co rusz krytykuje rząd, w którego skład sama wchodzi?

Problem ma przede wszystkim Polska 2050. Walczą o przetrwanie, byt, pozycję negocyjną i rozpoznawalność, więc wykonują bardzo ostre, wyraziste ruchy i komentarze jak na ugrupowanie współzrządzące. Rozumiem, że zaczynają szukać już koalicjantów na przyszłe listy wyborcze, żeby w ogóle zaistnieć i wejść

do Sejmu. Ewidentnie mają problem. Pytanie, jak to się skończy? To oczywiście uderza także w rząd, bo wyborca nie rozdziela subtelnie: to jest minister z rządu, to jest liderka partii, to jest spór wewnętrzny. Trochę dziwię się premierowi, że tak długo toleruje ten poziom dysonansu. Z drugiej strony doszło do tego, co zapowiadała pani Pełczyńska-Nałęcz nie jest wicepremierem, więc część napięcia ma wymiar czysto polityczny.

W co gra dzisiaj liderka Polski 2050?

Polska 2050 chce ważyć więcej, niż wynika z jej dzisiejszej siły parlamentarnej i sondażowej. W moim przekonaniu jest to projekt o zawężającym się polu manewru.

Chodzą pogłoski, że przy najbliższej rekonstrukcji rządu stanowisko może stracić minister Waldemar Żurek, że jednak premier Donald Tusk oczekiwał szybszych i większych zmian w wymiarze sprawiedliwości.

Nie wiem, nie jest to potwierdzone, więc nie przesądzałybym personalistów. A problem jest szerszy: resort sprawiedliwości od początku tej kadencji ma ogromny ciężar polityczny i prawny, a efekty są wolniejsze, niż oczekiwała część elektoratu rządzących. To dotyczyło Adama Bodnara i dotyczy Waldemara Żurka. Nie wiem, czy dało się wszystko zrobić szybciej, bo część zmian wymaga ustaw, a te napotykały prezydenta. Ale widzę de-

ficyt komunikacji i scenariuszy: opinia publiczna nie wie, co jest niemożliwe prawnie, co trudne politycznie, a co po prostu nie zostało zrobione.

Właśnie się zastanawiam, jak można by wprowadzać zmiany w wymiarze sprawiedliwości? Bo, pan Bodnar źle, pan Żurek źle...

Dlatego nie wiem, czy można te zmiany wprowadzić szybciej, sprawniej.

Zmiany w wymiarze sprawiedliwości musi zaakceptować prezydent, a z tym mamy pewien problem.

Tak, ale okazuje się, że chyba błędem było założenie ministra Bodnara, że wystarczy ewolucyjne porządkowanie instytucji. A przyspieszenie nastąpi po zmianie na stanowisku prezydenta. Dzisiaj wiadać, że część zastanego układu personalnego i proceduralnego działa przeciwko zmianie albo ją spowalnia. No cóż, należało szybciej wykorzystać narzędzia przewidziane prawem, a przede wszystkim trzeba było mieć wariant na sytuację, w której prezydentem nie zostaje kandydat obozu rządzącego. Dobrzy stratedzy muszą mieć plan także na scenariusz niekorzystny.

Koalicjanci - myślę tu o Lewicy, myślę o ludowcach - mogą poprawić jeszcze swoje notowania, bo póki co, one są słabe.

Moim zdaniem tak. Nie wiemy jak, w jakich układach i w jakich koalicjach będą szli do wyborów, to po pierwsze. Po drugie, do wyborów jest jeszcze - tylko i aż - rok. To będzie bardzo trudny i bardzo intensywny czas. Więc gdyby te wybory odbywały się jesienią tego roku, to oczywiście szanse na poprawę notowań byłyby odpowiednio mniejsze niż w momencie, kiedy są za ponad rok.

Mówi się, że być może Nowa Lewica mogłaby połączyć siły z Partią Razem i pójść do wyborów wspólnie, co by na pewno poprawiło ich szanse na dobry wynik wyborczy. Czyje szanse?

Lewicy.

Właśnie. Lewicy - tak, partii Razem - tak. Ale...Matematycznie mogłoby to poprawić szanse wejścia szerzej rozumianej lewicy do Sejmu. Politycznie nie mam pewności, czy byłoby stabilne. Mamy doświadczenie wspólnego startu i późniejszego rozchodzenia się strategii: część lewicy chciała współzrządzić, część chciała pozostać poza rządem. Wspólna lista rozwiązuje problem progę, ale nie rozwiązuje problemu tożsamości, programu i stosunku do rządzenia.

Dlaczego?

Dlatego, że były już próby wspólnej listy, wspólnego wejścia do Sejmu i potem wspólnego trwania. To się nie powiodło. Słyszę o tym, że takie rozwiązanie byłoby dobre, ale nie mam co do tego przekonania. Być może znowu byłaby taka sytuacja, że część lewicy weszłaby do rządu, a część pozostała poza rządem. Nie wiem, czy to jest najrozsądniejsze rozwiązanie. A poza tym, akurat z agendy lewicowej namawiają dużo udało się zrobić i mam takie poczucie, że to jeszcze nie zafunkcjonowało w opinii.

Bardziej prawdopodobne jest, że będziemy mieć rząd prawicowy w roku 2027? Czy koalicja rządząca zdoła się utrzymać u władzy?

Oczywiście, tego nie wiem. Wiem, że jest to realne. O wyniku zdecyduje nie tylko suma mandatów PiS i Konfederacji, ale też to, czy po prawej stronie da się zbudować rząd zdolny do funkcjonowania. Wiem, że to prezydent wskazuje kandydata na premiera i może - tak jak Andrzej Duda, wbrew pewnej logice i policzonych głosach - próbować na to wpływać, ale arytmetyka sejmowa ostatecznie jest twarda. Największym pytaniem byłaby koalicja z Konfederacją, a zwłaszcza stosunek do Grzegorza Brauna. To nie jest detal wizerunkowy, tylko problem sterowności i wiarygodności takiego rządu. Czy wyobraża sobie pani te rozmowy negocjacyjne, a potem koalicyjne?

Średnio.

No właśnie. Sam Kaczyński testował już koalicję z Lepperem i wie, jak bardzo trudna to była koalicja. A myślę, że z Grzegorzem Braunem jeszcze trudniejsza.

Z drugiej strony Jarosław Kaczyński zrobi wszystko, żeby wrócić do władzy. Może tak, może nie.

Co będzie decydować, co będzie najważniejsze w ciągu tego trochę więcej niż roku?

Najważniejsze będą trzy rzeczy. Po pierwsze, bezpieczeństwo: Rosja, Ukraina i realna, nie tylko deklaracyjna, obecność USA w Europie. Po drugie, sprawczość państwa. Po trzecie, konsolidacja po prawej stronie: czy PiS, Nawrocki, Konfederacja i środowisko Brauna będą ze sobą rywalizować, czy znajdą formułę współpracy. Dzisiaj jesteśmy po chwili dużego napięcia. Dlatego nie prognozowałabym dziś wyniku wyborów; wskazałabym raczej czynniki, które będą ten wynik przesuwają, a gdybanie, co będzie za pół roku, naprawdę mija się z celem.

Czy sztuczna inteligencja zastąpi lekarza?

Gdy rozpoznaje obrazy, osiąga skuteczność na poziomie 93-94 procent. Ciągłe się myli, trochę rzadziej niż lekarz, ale tandem lekarz - sztuczna inteligencja (AI) może osiągać nawet około 98 procent poprawnych diagnoz. To połączenie powoduje, że dostajemy coś lepszego, bardziej szczegółowego i szybciej. Gdy 9 lat temu zaczynaliśmy przygodę ze sztuczną inteligencją, ucząc ją rozpoznawania obrazów, sami jeszcze nie mieliśmy świadomości, jak ogromny i szybki może być postęp w tej dziedzinie. Na nasz pierwszy projekt AI otrzymaliśmy grant z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju. Pracowaliśmy nad nim z lekarzami z Instytutu Centrum Zdrowia Matki Polki w Łodzi. Dzięki tej współpracy opracowaliśmy nasz pierwszy algorytm służący rozpoznawaniu obrazów przez AI. Wielki sukces odnieśliśmy po dwóch latach pracy - nauczyliśmy sztuczną inteligencję czytać obrazy anatomiczne i rozpoznawać, czy na zdjęciu rentgenowskim jest klatka piersiowa, głowa czy stopa. Byliśmy dumni z tego, co udało się nam osiągnąć, bardzo się cieszyliśmy z tego wyniku. Wtedy nasz kolega Jacek, który prowadził projekt, przyniósł czarno-białe zdjęcie orangutana i wrzucił je do modelu AI, nad którym pracowaliśmy. Model sztucznej inteligencji, nad którym pracowaliśmy przez dwa lata, uparcie twierdził, że to jest ludzka głowa. Przez pół roku nie byliśmy w stanie nauczyć go, że jest to obraz spoza danych medycznych, na których był trenowany. Byliśmy bliscy załamania i poddania się. Na szczęście nastąpił przełom. Program zaczął działać z coraz większą skutecznością.

Jak dokładnie AI rozpoznaje obrazy?

W tym momencie potrafimy podzielić mózg na setki anatomicznych części według bardzo dokładnych atlasów medycznych. Tego typu analiza byłaby niezwykle czasochłonna do wykonania ręcznie.

Czy przy tworzeniu programów pracowaliście tylko z lekarzami z ICZMP?

Zaczeliśmy od współpracy z lekarzami z Matki Polki, ale w międzyczasie nawiązaliśmy współpracę z lekarzami radiologami ze szpitala im. Norberta Barlickiego w Łodzi. Łódzka radiologia wywodzi się z tej placówki i tamtejsi specjaliści pod kierownictwem profesora Ludomira Stefańczyka włożyli mnóstwo pracy, aby nam pomóc na starcie.

Ale zaczęło się nietypowo...

W szpitalu im. Barlickiego popsuł się tomograf komputerowy. Ówczesny dyrektor

SZTUCZNA INTELIGENCJA MYLI SIĘ RZADZIEJ NIŻ LEKARZ, ALE SAMA NAS NIE WYLECZY

Rozmawiamy z Jakubem Musiałkiem z Łodzi, właścicielem firmy Pixel Technology, która tworzy systemy sztucznej inteligencji (AI) wspierające analizę i opis badań radiologicznych dla placówek medycznych na całym świecie

Liliana Bogusiak-Jóźwiak



Jakub Musiałek, właściciel firmy Pixel Technology

nansu magnetycznego. O ile na tomografii komputerowej robi to wiele firm na świecie, to na rezonansie magnetycznym ta lista nie jest tak duża.

Jak w praktyce wygląda współpraca specjalistów od AI z lekarzami?

Widzimy się raz-dwa razy w tygodniu i mówimy o tym, co model wykrył lub oznaczył w danym tygodniu. Oni to korygują i za każdym razem jest lepiej. Celem jest szybsze i bardziej precyzyjne wykrycie nieprawidłowości. Teraz pomiary wykonywane są najczęściej tak jak człowiek najlepiej potrafi to zrobić - w wymia-

sobie wyobrazić, że przyjeżdża do szpitala pacjent. Ma wykonywaną tomografię komputerową pod kątem tego, czy ma udar. Na tomografii zmian jeszcze nie widać podczas standardowej oceny, ale sztuczna inteligencja już potrafi wykrywać subtelne asymetrie między półkulami mózgu. Planujemy, że za około 2 lata opublikujemy wyniki tych badań. Będzie potrzeba dalszych kilku lat, aby do tych wyników odniosły się neurologiczne autorytety i dopiero wtedy nasze badania mają szansę być zastosowane w szpitalach.

Ale to niejedyny duży projekt, nad którym Pixel Technology pracuje...

Naszym złotym Graalem jest zbudowanie modelu AI, który wspierałby wykrywanie cech sugerujących zatorowość płucną na badaniach bez kontrastu. Gdański Uniwersytet Medyczny ma pomysł, jak to zrobić, i będziemy składali wspólny grant do NCBR. Jeśli uda się nam ten projekt zrealizować, pozwoli to zmienić życie milionów ludzi. Inny znaczący program to badanie serca pod kątem zwężenia naczyń. Chcemy wykrywać je na tyle wcześnie, aby można było leczyć pacjenta wyłącznie farmakologicznie. Kolejny projekt to model, który pozwala skrócić czas potrzebny na opis badania. Dziś pacjent czeka na wynik 3-4 tygodnie. Pracujemy nad tym, aby specjalista mógł to zrobić w 3-4 godziny.

Kto korzysta z waszych projektów AI?

Dziesiątki placówek medycznych w Polsce i sporo za granicą. Certyfikowaliśmy nasze modele medyczne zgodnie z MDR i jesteśmy jednym z niewielu europejskich podmiotów, które taką certyfikację posiadają. Jesteśmy blisko podpisywania kontraktów z dużymi organizacjami międzynarodowymi.

Co dalej?

Programy i modele z wykorzystaniem sztucznej inteligencji będą nas diagnozować bardzo szybko i bardzo dokładnie. Super byłoby, gdyby te informacje miał kto wykorzystać i wdrożyć leczenie na wczesnym etapie, tam gdzie wystarczy jeszcze zmiana stylu życia pacjenta lub farmakologia.

Jest obawa, że będziemy w stanie diagnozować bardzo wiele i bardzo szybko, ale system ochrony zdrowia tego nie udźwignie...

Rzeczywiście. Problem polega na tym, że w zdrowie części pacjentów należałoby zainwestować już dużo wcześniej. Postawić w większym stopniu na profilaktykę, choć jej efekty nie zawsze są od razu widoczne. Czujemy, że to jest dobra droga, ale problemem są pieniądze. Kto miałby zapłacić za badania pilotażowe dla 10 tysięcy pacjentów? To jest duża grupa.

Który z projektów badawczych, nad którym pracowaliście, uważa Pan za najciekawszy?

W pandemii z profesorem Miłoszem Parczewskim ze Szczecina zrobiliśmy model AI, który przewidywał, czy pacjent trafiający na SOR przejdzie ciężko chorobę. Mieliśmy również drugi model, który prognozował rokowania pacjentów podłączonych do respiratora. Początkowo mieliśmy skuteczność na poziomie 77 procent, w końcowej fazie 84 procent skuteczności. W momencie gdy w szpitalach brakowało łóżek i respiratorów, to było coś wyjątkowego. Wyniki badań na grupie 20 tysięcy pacjentów już opublikowaliśmy. Ten projekt pokazywał, że technologia działa i może realnie wpływać na zdrowie i życie ludzi. Niestety, nie udało się nam wtedy doprowadzić do tego, aby był on gdzieś w Polsce wykorzystywany na masową skalę.

Nie obawia się Pan, że AI zostanie wykorzystana w sposób budzący wątpliwości etyczne?

Zgłosiła się do nas jedna z dużych firm prawniczych w Polsce. Zaproponowała, abyśmy przygotowali dla nich taki program, do którego pacjent mógłby wgrać wynik swoich badań. AI oceniałaby poprawność opisu wyniku badania, pod którym podpisał się lekarz i gdyby okazało się, że są niezgodności w opisie, program automatycznie generowałby pozew do sądu o odszkodowanie. Zmroziło mnie to. Zawsze uważałem, że lepiej zapobiegać niż leczyć.

WIERZYMYS, ŻE MAKSIU ZAGRA KIEDYŚ W PIŁKĘ NOŻNĄ

Po tym, jak influencer Łatwogang zebrał 12 mln zł na pomoc 8-letniemu Maksowi, choremu na genetyczną chorobę dystrofii mięśni, w życiu jego rodziny pojawiło się światło nadziei. Chłopiec będzie mógł przejść nowatorską terapię genową w Stanach Zjednoczonych

Piotr Samolewicz

Po sukcesie pierwszego challenge'u (ang. wyzwania) Łatwoganga na rzecz dzieci chorych onkologicznie, wielu ludzi zaczęło zgłaszać się do Piotra Hanckiego o pomoc, także rodzice Maksymiliana, Anna i Robert Toccy ze wsi Dziurdziów koło Leska na Podkarpaciu. Zaledwie na kilka dni przed planowaną akcją Łatwoganga dowiedzieli się, że chce on przejechać na rowerze bez snu z Zakopanego do Gdańska w celu zebrania pieniędzy na leczenie ich synka.

- Na życzenie Piotra akcja była utrzymywana do końca w tajemnicy. Bo nie było wiadomo, czy uda się ją „spiąć” organizacyjnie - mówi mama Maksymiliana.

Państwo Toccy żegnali influencera w piątek, 22 maja w Zakopanem. Potem cała rodzina pojechała samochodem do Gdańska.

- Nie wyobrażaliśmy sobie, że może nas nie być w Gdańsku i mu nie podziękować za to, co dla nas zrobił.

Piotr Hancke pokonał ok. 660 km w 52 godziny. Jego wyczyn był transmitowany w sieci, im bardziej zmniejszał się dystans do Gdańska, tym więcej ludzi wpłacało pieniądze na pomoc dla Maksa, a później też dla drugiego chłopca chorego na tę samą chorobę, Adasia.

Piotra Hanckiego witaly tłumy

- Z Piotrem spotkaliśmy się na stacji paliw przed Gdańskiem. Już na niej były tłumy. Ludzie czekali na niego

przy drogach, witali transparentami i flagami. Najwięcej ludzi powitało go w mieście: dzieci, motocykliści, rowerzyści. Wszyscy podążali za autobusem, w którym jechał Piotr i jego ekipa. Miało się wrażenie, jakby ludzie witali jakąś sławę, bohatera. Zresztą nie ma co ukrywać, że Łatwogang jest bohaterem - mówi pani Anna.

- Zwierzył nam się, że miał już takie momenty, że czuł się naprawdę słaby, szczególnie w ostatnią noc przed finałem przed stadionem Arena w Gdańsku. Ale dał radę, jego wyczyn jest nie do opisania. Na stacji paliw, na której spotkaliśmy się, widzieliśmy, że jest słaby, tymczasem to on się nas pytał, jak my się czujemy. „U mnie wszystko jest OK” - mówił. Niesamowity człowiek! Myślę, że witający go ludzie na finale w Gdańsku, krzyczący i machający, dodali mu energii. Wszyscy zaśpiewali mu „Sto lat!”.

We wtorek, 26 maja Łatwogang oświadczył, że dla Maksa i Adasia zebrał 15,5 mln zł. Pieniądze nadal wpływają, ale nie pomogą wszystkim dzieciom w Polsce chorym na dystrofię mięśni Duchenne'a (DMD). Dlatego streamer zaapelował do premiera i prezydenta, by działając ponad politycznymi podziałami - obniżyli w Polsce olbrzymie koszty leczenia tej choroby.

Akcja Piotra Hanckiego przyniosła na leczenie Maksa 12 mln zł, 3 mln zł pochodzi z lokalnych charytatywnych akcji w Bieszczadach. Suma pozwoli na przeprowadzenie genowej terapii Maksa w klinice w Bostonie. Szczegóły badań

chłopca i operacji będą dopiero ustalane.

- Terapia ta została wprowadzona w USA kilka lat temu. Poprzedziły ją lata badań. Najpierw była stosowana tylko w przypadku dzieci do 4. roku życia. Potem trwały badania, by ją rozszerzyć na starsze. To jest jedyna rzecz, która daje nam nadzieję. Nie mamy innego wyboru. Lek zostanie podany dożylnie. Pobyt w klinice będzie trwał 3 miesiące. Przed i po aplikacji leku będzie monitorowane serce i wątroba dziecka - wyznaje Anna Tocka. Mocno wierzy w to, że operacja uda się i syn będzie mógł zagrać w ukochaną piłkę nożną.

Maksymilian daje siły rodzicom

8-letni Maksymilian jest jedynym i długo wyczekiwany dzieckiem państwa Tockich. „Przez cały okres ciąży, a także po narodzinach, żadne wyniki badań nie wskazywały na to, że nasz syn może być tak poważnie chory. O jego chorobie dowiedzieliśmy się zupełnie przypadkowo. Podczas pobytu w szpitalu związanego z infekcją Maksa, zostały wykonane rutynowe badania, których wyniki okazały się mocno niepokojące. Zalecone później badania genetyczne potwierdziły tę straszną chorobę...” - piszą rodzice na stronie fundacji siepomaga.pl, na której w październiku 2025 roku założyli zbiórkę na pomoc synkowi.

Gdy mama Maksa dowiedziała się, że jej synek jest poważnie chory, zrezygnowała z pracy, by poświęcić mu więcej czasu (mąż pracuje w branży budowlanej). W tej



Burmistrz Leska Adam Snarski (obok Maksa) i jego urzędnicy założyli teatr, a dochód z granych przez siebie spektakli przeznaczyli na pomoc chłopcu

chorobie ważne jest, by utrzymać sprawność fizyczną w celu zachowania mięśni. Kilka razy w tygodniu chłopiec ma zajęcia rehabilitacyjne i fizjoterapeutyczne, rodzice zabierają go też na basen. Mało tego, także w domu trzeba z nim codziennie ćwiczyć.

Od założenia zbiórki w 2025 roku życie rodziny radykalnie się zmieniło. Wszyscy włączyli się w gminie Lesko i w innych miejscowościach w organizowanie pikników i innych wydarzeń. Rozdzwoniły się telefony, Toccy zaczęli jeździć na różne spotkania i współorganizować imprezy, pomagali nawet piec ciasta.

Spółeczna mobilizacja w Bieszczadach

Największym pomocowym wydarzeniem w Bieszczadach okazał się styczniowy koncert w Lesku „Bieszczady dla Maksa na MAXA”, na którym udało zebrać się ok. 230 tys. zł. W organizację koncertu było zaangażowanych mnóstwo ludzi. Odbływały się też mniejsze koncerty w Bieszczadzkim Domu Kultury w Lesku, pikniki charytatywne w wielu miejscowościach.

Historia Maksa zainspirowała burmistrza Leska Adama Snarskiego i jego urzędników do założenia nieprofesjonalnego Teatru Urzędowego bez Renomy. Swoją prywatny czas poświęcili na próby i wystawienie napisanej przez siebie sztuki zatytułowanej „GEN:END”. Zagrała w niej m.in. Katarzyna Dudzińska.

- Stworzyliśmy offowy, plastyczny spektakl z pytaniami, kto decyduje o tym, że jedni ro-

dzą się zdrowi, inni chorzy, że jedni rodzą się w rodzinach bogatych, a inni w biednych. W Lesku wystawiliśmy spektakl trzy razy przy pełnej sali i zebraliśmy ponad 18 tys. zł - mówi.

Maks marzy o spotkaniu z Robertem Lewandowskim

Maks uczy się w Zespole Szkół Samorządowych w Hoczwi, gdzie jest życzliwie traktowany. Gdy nie mógł zagrać na WF w piłkę nożną, nauczyciel wręczył mu gwizdek, by sędziował. W ten sposób wyróżnił chłopca, który jest wielkim fanem piłki. Uwielbia Roberta Lewandowskiego, jego marzeniem jest spotkać się z idolem.

- Jak większość chłopców w tym wieku marzy, by zostać piłkarzem. Cały pokój ma obwieszony plakatami, zbiera karty piłkarskie, piłki, na prezent zawsze coś dostaje związanego z tą dyscypliną sportu. Jest w tym wszystkim radosnym dzieckiem. Gdy spotyka się ze starszym o rok kuzynem, przebijając się w stroje piłkarskie i razem kopią piłkę, Maksu oczywiście na tyle, na ile może, bo zna swoje ograniczenia - opowiada mama.

Maks należy do scholi kościelnej. Starsi członkowie scholi traktują go jak młodszego brata. Ładnie też czyta i inteligentnie wyraża się.

- Naszym rytuałem było czytanie Maksowi przed snem jakiejś książki. Stąd ma bogatą biblioteczkę. Cały czas dostaje nowe książki, wybór od nowinek kosmicznych, technologicznych, po historię. Bardzo lubi historię Polski, od Piastów po współczesną. Czyta też

książki o historii świata i geograficzne. Pomagamy mu w rozwoju jego pasji.

Rodzice Maksa czerpią siły do walki o jego zdrowie od niego samego.

- Cieszymy się, że znalazł się ktoś taki jak Piotrek Hanke i że mu się udało. Nie zapominamy też o mieszkańcach Bieszczadów, którzy pokazali wielkie serce. Nie było instytucji i człowieka, które by nie dołożyły swoje cegiełki, były challenge strażackie, także koła gospodyń wiejskich organizowały swoje wydarzenia. Przyjdzie jeszcze czas, by podziękować tym wszystkim ludziom. Dzięki nim zgromadziliśmy w Bieszczadach aż 3 mln złotych - mówi Anna Tocka.

Choroba dotyka głównie chłopców

Dr n. med. Katarzyna Skórka pisze na chorobyrzadkie.edu.pl, że dystrofia mięśniowa Duchenne'a (DMD) to choroba genetyczna charakteryzująca się postępującą degeneracją i osłabieniem mięśni powodującą zmiany w białku zwanym dystrofina. Choroba dotyka głównie chłopców, ale w rzadkich przypadkach może wystąpić u dziewczyn. W ostatnich latach pojawiły się nowe terapie działające przyczynowo. To Ataluren oraz Exondys 51, które działają na poziomie mRNA i mają na celu poprawienie produkcji dystrofiny, co jest kluczowe w leczeniu dystrofii mięśniowej Duchenne'a. W Polsce Ataluren nie jest refundowany. Jak pisze doktor Katarzyna Skórka, wciąż trwają badania nad nowymi terapiami genowymi.

AUTOSTRADĄ POD PRĄD, NA SPOTKANIU ZE ŚMIERCIĄ

Nie pomagają słynne znaki ostrzegawcze z czarną dłońią ani kolejne tragedie. Są kierowcy, którzy wjeżdżają pod prąd na autostrady, zabijając siebie lub innych

Anna Gronczewska

W minioną niedzielę do jednej z takich tragedii doszło na autostradzie A1 w okolicach Tuszyna koło Łodzi. Dochodziła godzina 2.25, gdy na jezdni prowadzącej do Gdańska, między węzłami Tuszyn i Łódź-Południe pojawił się jadący pod prąd Citroen. Zderzył się z jadącym w prawidłowym kierunku Audi. Oba auta stanęły w płomieniach. Kierowcy Citroena nie udało się wyjść z płonącego samochodu i zginął na miejscu. Ustalono, że był obywatelem Czech, miał 69 lat.

- Sprawca wypadku zginął na miejscu, a trzy osoby podróżujące Audi trafiły do szpitala - powiedziała aspirant Aneta Kotyń, oficer prasowa Komendy Powiatowej Policji w Koluszkach.

Audi kierowała 37-letnia mieszkanka, jechali z nią: 36-letni mieszkaniec powiatu pabianickiego i 59-letni Łodzianin.

To nie było wyjątkowe zdarzenie. Do podobnej tragedii doszło na początku lutego tego roku. Miała miejsce na autostradzie A2 w okolicach Strykowa. 66-letnia kobieta siedziała za kierownicą Toyoty Aygo i wjechała pod prąd na autostradę. Stało się to około godziny 23.00, między węzłami Stryków i Łódź-Północ. Kobieta zderzyła się z prawidłowo jadącym w kierunku Warszawy Audi A6. Niestety 66-latka poniosła śmierć. Jadący Audi nie odnieśli poważnych obrażeń.

Do śmiertelnego wypadku doszło też na granicy województwa łódzkiego i mazowieckiego na autostradzie A2 w kierunku Poznania. Doszło do tego około godziny 19 w lutym 2025 roku między Skierniewicami a Wiskitkami. Do tragedii doprowadził 65-letni mężczyzna kierujący Toyotą, który wjechał pod prąd na autostradę i zderzył się z Fordem. Zginął na miejscu, a dwie osoby zostały ranne. Jedna z nich zmarła w szpitalu.

Dlaczego to robia?

Co sprawia, że kierowcy wjeżdżają pod prąd na autostrady i drogi szybkiego ruchu?

- Kierowcy mogą wjeżdżać pod prąd z kilku, często dość prozaicznych powodów - mówi Ma-

ria Dąbrowska-Loranc, Centrum Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego Instytutu Transportu Samochodowego w Warszawie. - Nierozumienie oznakowania to jeden z powodów, szczególnie tam, gdzie infrastruktura jest złożona, a kierowca jedzie trasą, której nie zna. Drugim czynnikiem jest brak praktyki na drogach szybkiego ruchu. Sieć ekspresówek i autostrad rośnie szybciej niż kompetencje części kierowców, zwłaszcza tych, którzy na co dzień poruszają się wyłącznie po drogach lokalnych. Do tego dochodzi zmęczenie i rozproszenie uwagi. Kierowca niewyspany, zestresowany lub zajęty telefonem łatwiej przeoczy znak czy zjazd.

W tych wszystkich opisanych tragicznie zdarzeniach nigdy nie dowiemy się, co doprowadziło do tego, że kierowcy wjechali pod prąd. Nie żyją, więc nie mogli się wytłumaczyć. Są jednak przypadki, gdy kierowcom jadącym pod prąd udało się przeżyć.

Minister świadkiem

Jedna z takich sytuacji miała miejsce w maju ubiegłego roku koło Piotrkowa Trybunalskiego.

Około godziny 11.30 piotrkowscy policjanci otrzymali zgłoszenie, że pasem w kierunku Gdańska jedzie pod prąd BMW. Natychmiast wysłano na miejsce patrol motocyklowy. Kiedy policjanci pojawili się na miejscu, zobaczyli porzucone auto, częściowo stało na pasie zieleni, a częściowo na jezdni. BMW było otwarte, miało uchylone drzwi, a w stacyjce znajdowały się kluczyki. Po kilku minutach policjanci odnaleźli kierowcę. Szedł pasem zieleni i bardzo dziwnie się zachowywał, był pobudzony.

- Idę do Gdańska, idę do Gdańska! - powtarzał.

Policjanci zatrzymali mężczyznę. Miał 40-lat i pochodził z Dąbrowy Górniczej. Był trzeźwy, ale pobrano mu krew, by zbadać, czy nie był pod wpływem innych środków odurzających.

Okazało, że jechał autostradą pod prąd 27 kilometrów, po czym zawrócił, zajeżdżając drogę innym kierowcom. Świadkiem tej szaleńczej jazdy był Przemysław Koperski, wiceminister infrastruktury,

- Poruszaliśmy się trzecim pasem, wyprzedzając ciężarówki, gdy na wprost nas pojawiło się

ZA JAZDĘ POD PRĄD NA AUTOSTRADACH I DROGACH SZYBKIEGO RUCHU GROZI 2000 ZŁ MANDATU I 15 PUNKTÓW KARNYCH. ALE NAJWYŻSZĄ CENĄ JEST ŻYCIE

podążące na czołówkę auto. (...). Bandyta drogowy mógł zebrać dzisiaj śmiertelne żniwo. Natychmiast zadzwoniłem pod 112. Dzięki błyskawicznej interwencji policji sprawca został złapany, zanim doszło do tragedii - napisał na swym facebookowym profilu wiceminister.

Takie przykłady można mnożyć. Przed kilku laty policjanci ze Zgierza otrzymali informacje o pijanym kierowcy BMW, który jedzie drogą wojewódzką nr 702. Policjanci odnaleźli auto i ruszyli za nim w pościg, nie chciało się zatrzymać.

- W trakcie pościgu wjechał na autostradę A2, gdzie aż do MOP-u Chrzastów poruszał się pod prąd, stwarzając ogromne zagrożenie dla innych uczestników ruchu drogowego

- opowiadał podkomisarz Robert Borkowski, ówczesny rzecznik prasowy Komendy Powiatowej Policji w Zgierzu. - Następnie na MOP-ie zawrócił i kontynuował już jazdę w prawidłowym kierunku. Ze względu na niebezpieczne manewry kierującego oraz w trosce o bezpieczeństwo innych użytkowników poruszających się drogą, policjanci zdecydowali o przerwaniu pościgu.

Zawracają, by uniknąć korka

Kilka lat temu do redakcji TVN24 zgłosił się mężczyzna, którego kamera zarejestrowała, jak pięć samochodów ustawia się na jednym z pasów... pod prąd. Do tego zdarzenia doszło na węźle Łódź-Północ, na autostradzie A1 na drodze do Gdań-

ska. Ich kierowcy postanowili zawrócić, by pojechać w kierunku Warszawy i Poznania. Na nagraniu widać było, że samochody jadące w kierunku wybrzeża musiały hamować, by wyminąć zawracających kierowców.

Piotrkowscy policjanci zatrzymali też 16-letniego motocyklistę, który jechał pod prąd autostradą A1, pasem awaryjnym.

- Zgubiłem tablicę rejestracyjną i jej szukałem - tłumaczył policjantom chłopak.

Bywa, że kierowcy celowo jadą pod prąd, by uniknąć na przykład korków. Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych opublikowała film nagrany na autostradzie A2 w pobliżu Strykowa.

- Nasze kamery rejestrują mrozące krew w żyłach manewry kierowców - mówił Maciej Zalewski, rzecznik łódzkiego oddziału Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad. - Część z nich cofa albo zawraca, niemal codziennie ktoś jedzie pod prąd.

Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad informowała też, że na trasie S12 pomiędzy węzłami Jastków i Lublin Sławinek doszło do groźnego incydentu. Na skutek wypadku ruch został wstrzymany. Wtedy część kierowców zaczęła zawracać i jechać pod prąd do następnego zjazdu. Tak chcieli uniknąć stania w korku.

Co robić w razie pomyłki?

Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad zapewnia, że zjazdy na autostrady i drogi szybkiego ruchu są dobrze oznakowane i trudno o pomyłkę.

Nie wiadomo ile takich incydentów, jak jazda pod prąd, ma miejsce w Polsce. W Niemczech jest podobno kilka takich przypadków dziennie.

Co jednak zrobić, gdy przez nieuwagę znajdziemy się na przeciwnym pasie ruchu? GDDKiA radzi, by zatrzymać się w bezpiecznym miejscu, najlepiej na pasie awaryjnym i włączyć światła awaryjne. Potem trzeba opuścić pojazd z zachowaniem szczególnej ostrożności, jeśli to możliwe schronić się za barierą ochronną, a następnie powiadomić służby drogowe lub policję.



Efekt nocnego czołowego zderzenia na autostradzie A1



Nie wszyscy kierowcy reagują na takie znaki

O becnie odzyskane fragmenty skarbu średzkiego znajdują się w muzeach we Wrocławiu i Środzie Śląskiej. To gotycka korona ślubna, złote pierścienie, inne elementy średniowiecznej biżuterii, a także prawie 8 tys. monet. Wszystko warte przynajmniej ćwierć mld zł.

Odkrycie pierwsze

8 czerwca 1985 r. robotnicy robiący wykop pod fundamenty centrali telefonicznej przy niewielkiej ul. Daszyńskiego natrafili na kilka glinianych dzbanów wypełnionych złotymi i srebrnymi monetami. Znajdowało się w nim 3771 srebrnych krążków pochodzących z I poł. XIV w.: grosze praskie i miśnieńskie.

Odkrycie było sensacyjne, ale nie nadano mu rozgłosu. Znaleźli go zabezpieczający funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej i trafiło później do Muzeum Archeologicznego we Wrocławiu. Nie podjęto wówczas także żadnych prac badawczych w miejscu dokonania znaleziska, a przy Daszyńskiego kontynuowano dalsze prace budowlane.

Zajęto się też tymi, którzy część monet rozkradli. „Ponieważ – zgodnie z obowiązującym prawem – wszystko, co leży w ziemi, jest własnością Skarbu Państwa, postanowiono odzyskać złoty złom od osób, o których wiadano, że byli »szczęśliwymi znalazcami«” – pisał w 1997 r. historyk sztuki Michał Gradowski, jeden z pierwszych, który oglądał i szacował znaleziska. „W dniu 28 czerwca i paru następnych organa MO dokonały licznych przeszukań, odzyskując kilka fragmentów złotych wyrobów i sporo monet. Sprawy nieuczciwych znalazców skierowano do prokuratury we Wrocławiu” – dodawał.

Tłum żądny złota

Minęły trzy lata i sprawa ucichła. Po raz drugi na skarb średzki natrafiono 24 maja 1988 r., tym razem podczas rozbioru kamienicy stojącej przy Daszyńskiego 14. Nowe odkrycie, znacznie większe od poprzedniego, stało się szybko lokalną sensacją, która ściągnęła na miejsce znaleziska rzeszę przypadkowych osób poszukujących srebra i złota.

„Znalezisko było na tyle ciekawe, że oczywiście odkrywcy i przypadkowi gapie skrzętnie wybierali monety, ale nikt nie zadał sobie trudu by pobiec za wywrotką na wysypisko, gdzie niebawem spychacz rozgarnął kolejny pagórek gruzu, a z nim górną część glinianego garnka wraz z zawartością – relacjonował Gradowski

Z ruin piwnic domu, zanim zareagowały odpowiednie władze, wyniesiono znaczną część monet i biżuterii. Z czasem pojawiła się także informacja, z której wynikało to, że precjoza pochodzące ze skarbu średzkiego można znaleźć na wysypisku



W muzeach we Wrocławiu i Środzie Śląskiej znajdują się odzyskane fragmenty znaleziska: prawie 8000 monet, gotycka korona ślubna, złote pierścienie i inne elementy j biżuterii. Wszystko jest warte ok. 250 mln złotych

OPOWIEŚĆ O „SKARBIE TYSIĄCLECIA” ZE ŚRODY ŚLĄSKIEJ

Skarb w Środzie Śląskiej odkrywano niejako dwa razy, a towarzyszące temu okoliczności nadają się co najmniej na film sensacyjny

Mariusz Grabowski

gruzu zlokalizowanym na terenie Miejskiego Ośrodka Sportu i Rekreacji. Tam także pojawiły się hordy poszukiwaczy, często agresywne, którzy przeszukiwali hałdy gruzu w nadziei znalezienia czegoś cennego.

Ile to warte?

25 lipca zgromadzone w wyniku dotychczasowych działań przedmioty mogły obejrzeć wezwani biegli, a wśród nich cytowany tu Michał Gradowski. Po ich oględzinach nie było już żadnych wątpliwości: fragmenty korony, zausznica, pasek złotej blachy i kilka dodatkowych drobniaków, okazały się obiektami o ogromnej rzadkości i olbrzymiej wartości historycznej i artystycznej. Prócz tego parę tysięcy monet. Całość została wstępnie datowana na XIII w.

Momentalnie powstał czarny rynek: srebrny grosz praski można było nabyć już za kilka niemieckich czekolad oraz paczkę dobrej kawy, a za garść srebrnych monet dwa kufle piwa prosto z beczki. Ludzie wymykali się nocami z domów, żeby kopać. Do znalazców docierali

antykwariusze pytający po okolicy o precjoza i monety.

Szybko uruchomiono maszynę administracyjną mającą na celu odzyskanie całości skarbu. Nielegalnym znalazcom zaproponowano odkupienie za 3-krotność wartości, to jednak nie przekonało wszystkich. Niezdecydowani nie spodziewali się chyba, że będą musieli się liczyć z konsekwencjami, bo żarty naprawdę się skończyły. Zaczęto ich śledzić i ścigać, włączając w to prokuraturę.

Milicja rewiduje

Akcję odzyskiwania fragmentu skarbu nazwano błyskotliwym kryptonimem „Korona”. W jej wyniku ostatecznie udało się odzyskać wiele bezcennych znalezisk, w tym kolejne fragmenty korony, zausznice, sygnet i przede wszystkim kolistą zaponę, która obok korony jest główną zdobą skarbu.

Do Środy Śląskiej zostali skierowani młodzi milicjanci, którzy zajęli się przesiewaniem ziemi. W nocy wysypiska pilnował wartownik, ale kiedy rano wychodził, amatorzy wykorzysty-

wali ten czas, żeby kopać dalej. Nikt nie kontrolował tego, co znikało i gdzie.

Prokuratura wystawiła ponad pięćdziesiąt nakazów rewizji. W ten sposób w średzkiej mieszkaniach znaleziono kilkadziesiąt monet i fragmenty biżuterii. Posiadacze tłumaczyli się rozmarzeniem, niektórzy zaslania się niewiedzą. Ale nikt nie przyznał się, że cokolwiek już zdążył sprzedać albo gdzieś wywieźć.

Bezcenny „złoty złom”

Gradowski wspominał: „21 lipca powołano nas jako biegłych i w 4 dni potem mogliśmy obejrzeć »złoty złom« zgromadzony we wrocławskiej prokuraturze. Były to fragmenty korony, zausznica, pasek złotej blachy, skromny pierścionek i kilka drobniaków. Mimo luźno rozrzuconych elementów uznaliśmy niezwłocznie, że mamy tu do czynienia z koroną o powtarzalnych segmentach – obiektem ogromnej rzadkości oraz wielkiej rangi historycznej i artystycznej. Zausznica wśród znanych mi z literatury wielu obiektów tego typu (kilka lat pracowałem

w warszawskim Muzeum Archeologicznym) wyróżniała się ozdobnością i bogactwem. Całość znaleziska wstępnie datowałem na wiek XIII z możliwością wejścia w sąsiednie stulecia. W protokole odnotowano także, że znalezisko zostało uznane za zespół pierwszorzędnej wartości”.

Dodajmy, że elementy skarbu znajdowały się w różnym stanie. Jakość kruszcu, z jakiego wykonano biżuterię, powodowała, że ich powierzchnie zewnętrzne zachowały się doskonale. Najgorsze były uszkodzenia mechaniczne, jakich poszczególne elementy skarbu doznały, jak należy przypuszczać, w trakcie wykopywania ich koparką z ziemi oraz na wysypisku.

Kto był właścicielem skarbu?

Badacze dość szybko zidentyfikowali historię skarbu. Został prawdopodobnie ukryty w połowie XIV w., czyli w okresie, w którym miasta Śląska nawiedziła epidemia dżumy. Według badań przeprowadzonych przez historyków zajmujących się jego

pochodzeniem był prawdopodobnie własnością bogatego bankiera żydowskiego Mojżesza, który w 1348 r. dokonał we Wrocławiu korzystnej dla siebie transakcji pożyczkowej, w wyniku której król Czech Karol IV Luksemburski zastawił u niego znaczną część swoich kosztowności w zamian za wsparcie finansowe starań o koronę cesarską. Podczas czarnej śmierci tenże Mojżesz w obawie przed prześladowaniami opuścił Środę Śląską i nigdy do niej nie powrócił. Nie odzyskał też skarbu, który zakopał w piwnicach swojego domu.

Ale są i inne teorie. Np. taka, że stanowiły one rezerwę skarbcza Karola IV zastawioną lub sprzedaną za pośrednictwem Jana ze Środy Żydom średzkim, a następnie ukrytą przez nich w czasie pogromu.

Zacytujmy Rainera Sachsa, historyka sztuki, autora „Leksykonu Artystów i Twórców Rzemiosła Artystycznego Śląska”: „Szczęśliwym trafem zachowały się przekazy pisane. (...) Mówią one, że 3.09.1348 r. król czeski Karol IV Luksemburski upoważnia: Jana, proboszcza kaplicy Wszystkich Świętych na Hradczanach, głogowskiego scholastyka Henryka, Petrusa de Luna i swego marszałka dworu Hubardusa Altari do poprowadzenia negocjacji w sprawie dużej pożyczki. 28.10 tegoż roku został wystawiony we Wrocławiu dokument zapewniający Żydowi Muscho ze Środy Śląskiej trzyletnie prawo do pobytu na Śląsku i zwolnienie z podatku żydowskiego za pożyczanie władcy większej sumy pieniędzy. Warto podkreślić, że pod postacią proboszcza Jana ukrywał się nikt inny, tylko późniejszy kanclerz cesarstwa Jan ze Środy Śląskiej”.

Dziś skarb jest skrupulatnie i opisany, i skatalogowany, choć wciąż trafiają doń sporadycznie odzyskiwane artefakty (np. trzy fragmenty odnaleziono w 2005 r.). Najcenniejsza jest złota gotycka korona kobieca prawdopodobnie należąca do żony cesarza Karola IV Luksemburskiego, Blanki de Valois – wykonana w warszawskiej sycylijskich mistrzów złotnictwa. Wyszadza jest bogato szlachetnymi kamieniami. Prawdopodobnie jej ostatnią właścicielką była Blanka de Valois, pierwsza żona Karola IV, zmarła w 1348 r., a więc niedługo przed domniemanym czasem ukrycia i utraty skarbu. Bezcenna jest także kolistą zaponą z kameą z chalcedonu w postaci orła, ozdobiona szlifowanymi kamieniami szlachetnymi, a także dwie pary złotych zawieszek: jedna pochodząca z XII w., druga o stulecie młodsza. Do tego dochodzą złote taśmy, pierścienie, bransolety i monety. To w większości srebrne grosze praskie wybite w czasie panowania Wacława II i Karola IV Luksemburskiego, ale także złote floreny, dukat, halerz i grosze miśnieńskie z czasów Fryderyka II Poważnego.

ANIA WYSZKONI: UWIELBIAM PŁAKAĆ. W TEN SPOSÓB WYRZUCAM Z SIEBIE EMOCJE

Najpierw dała się poznać jako wokalistka zespołu Łzy. Potem zaczęła udaną karierę solową. Na jesień szykuje dla fanów swój siódmy album o rockowym brzmieniu. Nam zdradza, że obecnie jej wielką pasją są... skoki spadochronowe

Patryk Gzyl

**4 czerwca podczas koncertu SuperJedynek w Opolu będziesz świętowała trzydziesto-
lecie swej kariery. Jak streścić
całe swoje muzyczne życie
w pół godziny?**

Ciężko. Rzeczywiście wybór repertuaru na ten recital był dosyć trudny. Staralam się kierować swoimi odczuciami, ale też tym, czego fani oczekują. Będą na pewno piosenki, z którymi wcześniej pokazywałam się w Opolu i za które otrzymałam nagrody: „Oczy szeroko zamknięte”, „Czy ten pan i pani” i „Wiem, że jesteś tam”. Przygotowałam też na ten występ niespodzianki. Zaśpiewam dwie piosenki w duetach – jeden z nich będzie z Kubą Badachem, z którym znamy się dobrze ze sceny. Czujemy się w swoim towarzystwie bardzo dobrze, mam nadzieję, że uda nam się to przenieść również do opolskiego amfiteatru i będziemy się świetnie bawić.

**Pierwszy raz pojawiłaś się
na scenie słynnego amfiteatru
w 2002 roku jako wokalistka
Łez. Bardzo się wtedy stresowa-
wałaś?**

Graliśmy wówczas utwór „Jestem, jaka jestem”. I niewiele więcej z tego występu pamiętam. Byłam totalnie rozemocjonowana, ponieważ wcześniej jako młoda dziewczyna zawsze marzyłam, aby stanąć na deskach opolskiego amfiteatru. Po występie zadzwoniłam do mojej mamy, a ona powiedziała, że czuła mój stres, który wręcz przebił się przez szklany ekran. Cieszę się, że mogłam później wrócić do Opolu i wystąpić jeszcze wiele razy, ale już z zupełnie innymi emocjami. Dopiero ponad dwie dekady od czasu mojego debiutu zaczęłam je bardziej notować w pamięci, a tym samym czuć się swobodniej i bawić się nimi. Chociaż tak naprawdę to są dla mnie za-

wsze bardzo ważne występy i tremy nie brakują.

Jako artystka solowa zadebiutowałaś w Opolu w 2009 roku z „Czy ten pan i pani”. I od razu zgarmałaś trzy nagrody. To było dla ciebie potwierdzeniem tego, że wybierasz właściwą drogę?

Byłam jeszcze wtedy w zespole Łzy i nie planowałam odejścia. Chciałam to wszystko zgrabnie połączyć. Chciałam nagrać solowy album i pokazać się od innej strony. Nie mogłam sobie odmówić przyjemności współpracy z Bogdanem Kondrackim, który zaproponował, że wyprodukuje moją solową płytę, a niekoniecznie chciał pracować ze Łzami. Uznałam to za niepowtarzalną okazję do rozwoju. Konsekwencją tego okazało się oczywiście moje odejście z Łez, ale ostatecznie spowodowały to już inne czynniki. Pojawili się coraz większe nieporozumienia i w 2010 roku rozstałam się z kolegami.

Potem byłaś w Opolu jeszcze wiele razy, a w 2017 roku odsłoniłaś swoją gwiazdę w Alei Gwiazd Polskiej Piosenki. Poczulaś się wtedy prawdziwą gwiazdą?

Do dzisiaj nie traktuję swojej drogi zawodowej w ten sposób. Romansuję z muzyką i ciągle jest to dla mnie ekscytujące. Nigdy nie postrzegałam tego w kategorii kariery. Lubię być w innym wymiarze na scenie, ale lubię też zejść z niej i być po prostu sobą. Jest mi to bardzo potrzebne, aby być mamą, sąsiadką, koleżanką. Staram się więc to jakoś zgrabnie równoważyć w życiu. Niemniej nagrania i występy to spełnienie moich młodzińskich marzeń. Odsłonięcie gwiazdy w Alei Gwiazd w Opolu było dla mnie kolejnym milowym krokiem i zostanie ze mną na zawsze.

No właśnie: jesteś już częścią historii polskiej muzyki rockowej.

Myszę, że po tych trzydziestu latach, można tak powiedzieć. (śmiej) Cały ten czas jestem na scenie i jest to ciągle bardzo intensywna praca. Nigdy nie pozwalałam sobie na odpuszczanie, nigdy nie odcinałam kuponów od wcześniejszych sukcesów. Dzisiaj, kiedy gram trasę podsumowującą te trzy dekady, nie wykonuję tylko tych najbardziej znanych piosenek. Oprócz tego postanowiłam zaproponować coś nowego. Przygotowałam kolejną płytę i wykonuję już kilka premierowych utworów. Publiczność przyjmuje je ciepło, co jest dla mnie potwierdzeniem, że ta moja droga ma sens. Bo przecież tworzę dla siebie, ale i dla moich fanów, których na szczęście ciągle to niesie i inspiruje.

Liczysz te trzydzieści lat od 1996 roku, kiedy zostałaś wokalistką Łez. Byłaś wtedy nieśmiałą i wycofaną nastolatką, ale ciągnęło cię na scenę. Jak to możliwe?

Zawsze czułam, że scena to dla mnie właściwe miejsce. Pokazywałam bowiem na niej inną twarz. Przez długi czas, wychodząc na scenę, czułam się bardzo pewna siebie. Wiedziałam czego tam szukam, co i jak chcę przekazać. Może ten kontakt z publicznością był nieco słabszy, bo byłam trochę speszona, ale śpiewając, czułam się zawsze doskonale. Schodząc ze sceny byłam jednak trochę zahukana. Czułam się zamknięta w sobie, stroniłam od ludzi, byłam niepewna w towarzystwie. Zmieniło się to dopiero z czasem, co ma oczywiście związek z tym, czym się zajmuję, ale też z tym, jak się rozwijam jako kobieta i artystka.

Radio nie chciało grać waszych piosenek, internetu jeszcze

nikt wtedy nie miał, a „Agnieszka”, „Narcyza”, „Julie” czy „Oczy szeroko zamknięte” śpiewała cała Polska. Jak tego dokonaliście?

Działała poczta pantoflowa. Głównie wśród studentów. To był taki czas, kiedy nie było takiego tłoku w show-biznesie jak dzisiaj. Kiedy pojawiał się ktoś ciekawy, fama o nim rozchodziła się bardzo szybko. Dlatego szybko poczuliśmy nasz potencjał. Najpierw nagraliśmy demo, żeby mieć coś, co możemy sprzedawać na koncertach, a potem wzięliśmy kredyt i zarejestrowaliśmy nasz debiutancki album. Pchaliśmy się wszędzie drzwiami i oknami: graliśmy w małych i dużych klubach, zdarzyło nam się wystąpić nawet dla sześciu osób i każdy koncert traktowaliśmy bardzo poważnie. Myszę, że to właśnie ta konsekwencja doprowadziła nas do celu. Niewątpliwie bardzo przyspieszyła to „Agnieszka”, bo była to piosenka, którą znali i śpiewali wszyscy.

Wtedy był zupełnie inny show-biznes niż teraz. Który wolisz?

Wszystko ma swoje plusy i minusy. Kwestią jest, aby odnaleźć się w danej rzeczywistości. Tamten świat był dla mnie bardzo naturalny. Bardzo ceniłam w nim to, że artyści byli owiani większą tajemnicą. Dzisiaj to się zatario, głównie przez media społecznościowe, które dają duży dostęp do naszego życia prywatnego. Kiedyś ukazał się w prasie jeden artykuł, wszyscy go czytali i komentowali. Dzisiaj taki artykuł żyje jeden dzień, następnego dnia mamy milion innych informacji. Dzisiaj podoba mi się z kolei szeroki dostęp do muzyki i możliwości, aby ją tworzyć. Teraz nie trzeba wielkich nakładów finansowych, aby nagrać płytę.

Można to tak de facto zrobić w domu. A potem słuchacze to wszystko weryfikują. Jest więc całe mnóstwo muzyki, która przepada w internecie. Niektórzy mają pecha, ale myślę, że większość z tego nie ma wielkiej wartości. Bo to, co ma wartość, jednak zostaje.

Ostatecznie po czternastu latach rozstałaś się ze Łzami i wyrwałaś się w szeroki świat. Potrzeba było do tego dużo odwagi?

Nie patrzyłam wtedy na to w kategorii odwagi. Po prostu byłam bardzo zmęczona. Czułam, że to już nie jest moje miejsce i chciałam z niego uciec. Męczyliśmy się ze sobą, po każdym koncercie schodziłam ze sceny i płakałam w garderobie. Czułam, że nie patrzmy w tym samym kierunku. Nie mogliśmy tworzyć nowego repertuaru, bo ja oczekiwałam czegoś innego, a chłopcy chcieli pozostać w innej przestrzeni muzycznej. To po prostu przestało działać. Nasza wspólna energia się wyczerpała. Rozstanie z kolegami było więc dla mnie jedynym sensownym rozwiązaniem. Pamiętam, że był taki moment, iż pomyślałam, że mogę nawet pracować na kasie w Biedronce, byleby już nie być w tym zespole, bo bardzo się w nim dusiłam. To było po prostu niezdrowe.

**Jako solowa artystka powoli rozkwitałaś: zamiast gła-
nów i rozciągniętego swetra zaczę-
łaś nosić kolorowe sukienki
i buty na obcasie, a do tego za-
mieniłaś rock na pop. Tego
właśnie potrzebowałaś?**

Zawsze działałam zgodnie z tym, co podpowiadało mi serce. Czułam wtedy, że tego potrzebuję, chciałam uwolnić się od wizerunku zbuntowanej dziewczyny i sama dla siebie odkryć swoją kobiecość, bo nigdy nie doceniałam swego ciała i figury, a raczej je ukrywałam. Wtedy zaczęłam dojrzywać jako kobieta i to było bardzo ciekawe. Zaczęłam pracę ze stylistami, czego nigdy nie robiłismy ze Łzami. Działaliśmy w swoim hermetycznie zamkniętym środowisku i bardzo ciężko było chłopaków na cokolwiek namówić. Tymczasem ja potrzebowałam tego dla swego rozwoju i to odejście dało mi możliwość pracy z innymi kompozytorami i tekściarzami, ale też pozwoliło eksperymentować pod kątem wizerunkowym. Chociaż przynajmniej, że odchodząc z Łez, musiałam włożyć ogromny wysiłek, aby niektórzy spojrzeli na mnie inaczej – jak na dojrzałą artystkę, która wie czego chce, a nie na wystraszoną i zahukaną dziewczynę.

Nie obawiałaś się, że publiczność Łez nie pójdzie za tobą?

Gdybym zastanawiała się, czego oczekuje ode mnie pu-

bliczność, to albo bym zwariowała, albo nie mogłabym się zajmować tym, czym się zajmuję. To działało wtedy, ale działa też teraz, kiedy nagrywam kolejne płyty. Nie mogę zastanawiać się jak kolejny album będzie odebrany przez publiczność, bo nie czułabym się swobodnie. A ja tworzę głównie z potrzeby serca. Każda nowa piosenka jest wyrazem moich emocji, bez względu na to, czy jest stworzona przeze mnie czy dla mnie. I myślę, że ta szczerość była kluczem do tego, by publiczność za mną poszła i ze mną została.

Nagrałaś sześć albumów i właściwie każdy jest trochę inny. To dlatego, że ty też nieustannie zmieniasz się jako człowiek?

Na pewno. To naturalny proces. Ale też chęć zabawy, bo kiedy mam się bawić, jak nie teraz? Każda płyta powstawała w ważnym momencie mojego życia i była wyrazem tego, co wtedy mi najbardziej w duszy grało. Zawsze było to więc całkowicie naturalne. Nigdy nie kalkulowałam co jest modne, nigdy nie zastanawiałam się jak powinnam zaśpiewać, czy drapieżniej czy delikatniej. Wiem bowiem, że nigdy nie zadowolę wszystkich. Zawsze będzie jednak tak, że znajdzie się ktoś, kto to doceni.

Dorobiłaś się do dzisiaj wielu przebojów. Kiedyś powiedziałaś: „Lubię, kiedy piosenka ma duszę”. To sekret przeboju?

Na pewno nie jest to jedyny czynnik. Żeby piosenka stała się przebojem, musi zgadzać się kilka innych rzeczy. Ale myślę, że ta „dusza” jest kluczowa. Oczywiście trudno uogólniać. Patrząc na współczesny rynek muzyczny, są takie piosenki, które zostały wykalkulowane. Ja jako osoba bardzo wrażliwa, doskonale to czuję. I one też stają się przebojami. Ale takie przeboje zostają z nami na krótko. To sezonówki, które nie zostaną na zawsze. A ja mam w repertuarze kilka takich utworów, które ciągle mają wielkie znaczenie dla publiczności, choć powstały wiele lat temu. Bardzo to doceniam. Nigdy nie odwracałam się i nie obrażałam na swoje przeboje, bo to część mojej historii. Bardzo doceniam to, że widzowie ciągle czekają na „Agnieszka” lub „Czy ten pan i pani”, że brawa po „Wiem, że jesteś tam” są najdłuższe podczas całego koncertu. To dla mnie sygnał, że te piosenki są dla ludzi ważne. Absolutnie nie mają więc dla mnie daty ważności.

Większość twoich utworów ma nostalgiczną nutę. Nawet te bardziej energetyczne. Skąd się to bierze?

To wynika z mojej natury. Jestem bardzo nostalgiczna i me-



FOT. MATPRAS.

Ania Wyszconi: Romansuję z muzyką i ciągle jest to dla mnie ekscytujące. Nigdy nie postrzegałam tego w kategorii kariery

lanchoijna. Lubię posiedzieć sobie sama w ciszy, pójść na samotny spacer, otoczona tylko przyrodą. Nie należę do tych osób, które są głośne i lubią być w centrum uwagi. Na imprezy chodzę niezwykle rzadko. Długo buduję zaufanie z nowo poznanymi ludźmi, potrzebuję na to czasu. I to przejawia się też w dźwiękach, które naturalnie mi się układają. Kiedy tworzę piosenkę, to nie kombinuję melodii pod modę czy jakiś inny trend. To są dźwięki, które wypływają ze mnie naturalnie. I one zwykle mają w sobie nostalgię. Ja to bardzo lubię i sama też słucham takiej muzyki na co dzień.

Zdarza ci się płakać przy piosence?

Pewnie. Ja uwielbiam płakać. W ten sposób wyrzucam z siebie emocje. Bardzo często płaczę przy piosenkach, na koncertach czy filmach i serialach. Ostatnio byłam na koncercie Rosalii i wprost nie wiedziałam co ze sobą zrobić od tych emo-

cji, które we mnie wywołał. Bardzo się wzruszyłam i też sobie popłakałam. Autentycznie. To było tak mocne i wyraziste przeżycie dla mnie, że pozwoliło mi też w ten sposób uwolnić emocje. Bardzo to lubię. Płacz jest po prostu zdrowy.

Dziesięć lat temu odkryto u ciebie guza tarczycy i musiałaś się poddać operacji, po której mogłaś stracić głos. Tymczasem po trzech tygodniach od zabiegu, stałaś już na scenie. Gdzie znalazłaś do tego siłę?

Byłam wtedy w jakimś trybie zadaniowym. Świątowałam wówczas swoje dwudziestolecie i nie mogłam sobie pozwolić, żeby odpuścić. Ta diagnoza bardzo mnie zaskoczyła. Sześć dni po operacji z wielkim plastrzem na szyi byłam na planie spotów reklamowych do festiwału w Sopocie, bo miałam tam wtedy recital. Wszystko działo się więc bardzo szybko. Czułam oczywiście po operacji dyskomfort, miałam niedowład struny głosowej. Bardzo

szybko zaczęłam więc działać i udałam się po pomoc do osób, które szybko mnie z tego wyprowadziły. Sześć tygodni później byłam już w dobrej formie. Wymagało to jednak ciężkiej pracy: jeździłam codziennie z Wrocławia do Gliwic do mojej nauczycielki śpiewu, która mnie wówczas rehabilitowała. Pracowałyśmy, aby ten głos wrócił do formy. Co ciekawe: kontynuujemy tę współpracę do dziś, spotykając się co tydzień na lekcjach śpiewu. W konsekwencji mogę powiedzieć, że był to przełom w moim życiu wokalnym – i dzisiaj śpiewa mi się dużo lepiej niż kiedyś. Przedtem śpiewałam naturalnie i może było to spoko, ale nie była to taka jakość, jaką czuję teraz.

Dzisiaj artyści popowi coraz rzadziej nagrywają albumy. Tymczasem ty zapowiadasz nową płytę na jesień. Dlaczego idziesz na przekór modzie?

Przed wszystkim dlatego, iż w takich czasach zostałam wy-

chowana. Ja tego po prostu potrzebuję. Każdy mój album jest spójną i logiczną historią, a nie zbiorem pojedynczych piosenek. Dlatego czuję potrzebę nagrywania płyt. Zresztą uwielbiam trzymać fizycznie wydany album w dłoniach, mieć okładkę, przeczytać teksty, poglądać zdjęcia. To ma dla mnie ogromną wartość. Na szczęście mam wielu fanów z pokolenia, które też to docenia i kupuje płyty. Choć wiadomo, że te ilości są już inne niż kiedyś. Na pewno jednak uczę się funkcjonowania w nowej rzeczywistości. Stąd wiem, że dzisiaj nie jest to jeden singiel i album, ale pięć czy sześć singli, a potem płyta jako zwieńczenie tej drogi i podziękowanie dla fanów, którzy na nią czekają.

Mamy już trzy single z nowego albumu – i mimo popowych melodii, brzmią one bardziej gitarowo i rockowo niż twoje poprzednie dokonania. To dlatego, że stworzyłaś je z Pawłem Krawczykiem z Heya?

To proces, który się zazębia. Poprosiłam o produkcję tego albumu Pawła Krawczyka, ponieważ czułam potrzebę powrotu do większej drapieżności i do gitarowego brzmienia. A to, że on przyjął moje zaproszenie do współpracy, spowodowało, że te nagrania tak brzmią. I to był genialny proces. Tak dobrze rozumieliśmy się z Pawłem, że pracowaliśmy po partnersku i bardzo szybko. Czasem wręcz nie potrzebowaliśmy słów, aby wiedzieć, w jakim kierunku powinna pójść dana piosenka. To był dla mnie najbardziej odpowiedni producent na tym etapie mojego życia. Zakończyliśmy pracę nad tą płytą – i zaczynamy już przebąkiwać, aby kontynuować tę kooperację, bo czuję ciągle jej niedosyt.

Ta nowa płyta będzie dla ciebie wyjątkowo osobista.

Zdecydowanie tak. To będzie pierwszy album, który stworzyłam w całości sama. Skomponowałam wszystkie utwory i napisałam wszystkie teksty. Paweł wspierał mnie na polu aranżacyjno-produkcyjnym. Cała koncepcja wyszła jednak ode mnie. I jestem tak dumna z tego, co udało mi się stworzyć, że mogę śmiało powiedzieć, iż jest to zapis drogi i momentu, w którym człowiek decyduje czy zostać tam, gdzie jest bezpiecznie, czy ruszyć dalej. Mam poczucie, że ten album oddycha wolnością – surową, rockową, czasem bolesną, ale prawdziwą.

Teledysk do „Piosenki młodych spadochroniarzy” zawiera autentyczne sceny z twoich skoków na spadochronie. Skąd ta pasja?

Zawsze chciałam tego spróbować. Potem odłożyłam to na bok, bo pojawiły się dzieci

i inne obowiązki. Mam jednak w swoim otoczeniu kolegę, który skacze ze spadochronem. I on kiedyś tak naturalnie powiedział: „Chodź, pojedziesz ze mną, skoczysz w tandemie”. Zrobiłam to i w momencie, kiedy wylądowałam na ziemi, wiedziałam już, że będę to robić sama. I faktycznie: to jest coś, co mnie totalnie pochłonięło. Skoczyłam w tandemie jeszcze kilka razy i w nowym sezonie rozpoczęłam kurs na samodzielny skoczek. W tym roku jestem już po pierwszym skoku, a w sumie po kilkunastu. Kontynuuję więc tę przygodę z ekscytacją.

Skąd ona się bierze?

Na pewno to wielki wyrzut adrenaliny. Ale dla mnie to też pokonanie własnej bariery lęku. Sieganie poza nią po coś nowego. Niby coś niebezpiecznego, ale dającego ogromne poczucie wolności. Kiedy leci się w swobodnym spadaniu czy po otwarciu czaszy, pojawia się świadomość, że jest się małym punkcikiem w tym wielkim świecie, a jednocześnie w swoim własnym świecie – jest się wszystkim. Miałam to już przy pierwszym skoku. I to jest coś, co mnie nie opuszcza. To mi przypominało, że w moim świecie to ja jestem najważniejsza. Że muszę moje życie przeżyć po swojemu i to w szybkim tempie, bo czas ucieka, a ja nie chcę niczego przegapić. Ostatnio kolega powiedział mi, że każdy ze skoczków jest tam po to, aby coś wyskakać ze swego życia – jakiś lęk, traumę czy problem. I ja też taką trudność wtedy pokonałam. Byłam świeżo po ciężkiej chorobie mojego taty. Walczyłam o jego życie i kiedy wyszedł na prostą, poczułam się przygnieciona. Te skoki spadochronowe pomogły mi ten mur zburzyć i pójść do przodu. Niedawno moja terapeutka też skoczyła ze spadochronem i jest zachwycona. Powiedziała nawet, że każdy powinien tego spróbować. Nie każdy oczywiście wyjdzie z tego z takimi samymi wnioskami, ale na pewno będzie to dla niego mocne doświadczenie. Dlatego gorąco wszystkim to polecam.

W ciągu tych minionych trzydziestu lat urodziłaś i wychowałaś dwójkę dzieci. Trudno było pogodzić macierzyństwo z karierą?

Pierwsze dziecko urodziłam, kiedy miałam 21 lat. Wtedy bardzo pomogła mi mama i jestem jej za to bardzo wdzięczna. To było kluczowe, abym mogła kontynuować swoją przygodę z muzyką. Nie było jednak odstępstw. Wracalam do domu z trasy i zajmowałam się dzieckiem. Nieważne ile mogłam pospać. Wstawałam rano w pełnej gotowości i po prostu byłam mamą. Sprzyjało mi to, że byłam taką młodą. Regeneracja organizmu następowała bardzo

szybko, co pozwalało mi dobrze funkcjonować. I okazało się, że da się połączyć jedną miłość z drugą miłością, bo nie chcesz odpuścić w żadnej sferze. Decyzja o urodzeniu Poli była już bardziej świadoma. Wtedy przez rok mieliśmy opiekunkę. Zabieraliśmy ją i Polę w trasy. Po roku stwierdziliśmy jednak, że musimy to odpuścić, bo wdziliśmy zmęczenie u dziecka i u nas. Byłam wyczerpana, bo nie miałam żadnej przestrzeni dla siebie: schodziłam ze sceny i od razu brałam na ręce dziecko. Nie miałam chwili oddechu. Ale kobiety są w stanie zrobić wszystko. Jeśli więc się chce, to da się pogodzić rodzinę z karierą, bez względu na to w jakiej branży. Kobiety potrafią to zrobić doskonale. To tylko kwestia organizacji i wewnętrznego przekonania, że potrafię.

Twój syn Tobiasz ma już 25 lat i również zajmuje się muzyką – ale jako didżej. Cieszy cię to?

To było nieuniknione. On się długo buntował wobec tego, że ma muzyczny talent. Bardzo się cieszę, że funkcjonuje dziś w świecie artystycznym, bo widzę, że ma dużą wrażliwość i to dla niego najodpowiedniejsze środowisko. Mimo że tak bardzo się nie znam na tym, czym się zajmuje, to mocno mu kibicuję, ponieważ czuję jego duży potencjał. On naprawdę potrafi to robić, ma za sobą już pierwsze występy, teraz przygotowuje się do kolejnego – będzie supportować Gromego. Bardzo to przeżywa, ale wiem, że jest odpowiedzialny i na pewno przygotowuje się na dwieście procent. Ma potencjał, musi się więc obronić.

Może kiedyś zrobicie coś razem?

Niewykluczone. Po tym okresie, kiedy buntował się i deklarował, że muzyka w ogóle go nie interesuje, dzisiaj mamy świetny kontakt i doskonale się rozumiemy. Cieszy mnie, że Tobiasz chce pojechać ze mną na koncert swego ulubionego didżeja i producenta – i kolejny raz wyciąga mnie na Skrillexa. Ma oczywiście swoich znajomych i przyjaciół, ale ja jestem w tej jego przestrzeni nie tylko jako mama, ale też jako przyjaciółka od muzyki. Bardzo to doceniam.

Pola ostatnio interesowała się jeździectwem. Nadal to jej pasja?

Tak. Jeździ konno i rozwija się przepięknie. Widzę w niej dużo z siebie, ponieważ ja też żyłam bardzo szybko. Ostatnio Pola poprosiła mnie, abym zapisała ją na motocross. Skakała już też dwa razy w tandemie ze spadochronem i szykuje się do kolejnego skoku. Obserwuję mnie i odważnie spełnia swoje marzenia i realizuje plany. Jest po prostu dziewczynką z charakterem.

SZEŚĆ MISJI W IRAKU I W AFGANISTANIE: JEŚLI TRZEBA, JESTEM GOTOWY

– Jestem żołnierzem, do tego przygotowywałem się przez lata. Wziąłem udział w czterech misjach w Afganistanie i dwóch w Iraku. Jeśli tylko ojczyzna będzie tego wymagać, by wyjechać na kolejną misję, to jestem gotowy – mówi kapitan Krzysztof Sienkiewicz

Grzegorz Okoński

Kapitan Krzysztof Sienkiewicz, oficer Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych w Poznaniu, wykładowca w Cyklu Taktyki, „misjonarz” i – jak sam o sobie mówi – żołnierz. To wystarczy, bo właśnie żołnierzem chciał być od zawsze, konsekwentnie wydeptywał ścieżki do Wojskowej Komendy Uzupełnień, cieszył się z przyjęcia do szkoły podoficerskiej, a teraz uczy żołnierskiego rzemiosła w sali wykładowej i na poligonie. Dzień 29 maja, Dzień Weterana Działania poza Granicami Państwa, ustanowiony przez Sejm w 2011 roku, a obchodzony od 2012 roku, jest też jego świętem, bo na misję wyjeżdżał już sześć razy!

– Zawodowym żołnierzem jestem od 2004 roku, wcześniej po ukończeniu szkoły średniej odbyłem służbę zasadniczą i przez pół roku szukałem możliwości, by do wojska wrócić i zostać tam na stałe. W WKU mnie już chyba nie lubili, tak często przychodziłem z pytaniami o możliwość pracy w wojsku. Szansą okazała się szkoła podoficerska, po której dostałem już etat. Jeszcze w niej poznałem żołnierzy, którzy już byli na misjach, i zapragnąłem też tam służyć mojemu krajowi.

Okazja do sprawdzenia się w warunkach misji poza granicami kraju trafiła się w roku 2008 roku: wtedy Krzysztof Sienkiewicz wyjechał do Afganistanu na misję stabilizacyjną.

– To nie była wycieczka turystyczna, lecz wyjazd w naprawdę niebezpieczne miejsce, w gorącym czasie. Wtedy działała Al-Kaida, żył jeszcze Osama bin Laden. Byłem jednak spokojny: wiedziałem, że jesteśmy stuprocentowymi żołnierzami, profesjonalnie przygotowanymi i pracującymi w ściśle określonych ramach kontyngentu. Z jednej strony stała gotowość bojowa, z drugiej działania humanitarne, współpraca z ludnością cywilną. Gdy wkraczaliśmy do miejscowości, gdzie zabezpieczaliśmy spotkania lokalnej ludności z ko-

mórką współpracy wojskowej CIMIC, – która prowadziła rozmowy z jej mieszkańcami, przekazywała pomoc humanitarną, a my ją eskortowaliśmy – zawsze się jakaś cola znalazła pod ręką dla dzieciaków...

Krzysztofowi udało się odsłużyć cały okres misji bezpiecznie i wrócić do Polski. Zadeklarował, że jest gotów do kolejnego wyjazdu...

– Następny wyjazd na misję, również do Afganistanu, przypadł na 2011 rok. Wtedy zostałem dowódcą Opatroelektronicznego Posterunku Obserwacyjnego, odpowiedzialnego za monitoring terenów otaczających bazę.

Zasadzka na polski patrol

W czasie tej misji, jakieś dwa tygodnie przed jej końcem, w czasie patrolu w Karabachu, talibowie zdetonowali bardzo duży ładunek wybuchowy przed kolumną polskich pojazdów. Ładunek odpalany był elektrycznie i jego operator źle obliczył moment detonacji...

– Ładunek wywalił potężny lej przed naszym pojazdem saperskim:

ja mam metr osiemdziesiąt dwa wzrostu, a gdy wszedłem później do tego leja, to do krawędzi miałem jeszcze z dobrych dziesięć centymetrów. Po wybuchu dostaliśmy się pod raczej niecelny ostrzał moździerzowy i odpowiedziliśmy ogniem... Wtedy w ogóle mieliśmy dużo kontaktów bojowych, pojedynczych strzałów karabinowych, ostrzałów raketowych, syren alarmów. Szybko człowiek się przyzwyczaił do takich warunków bojowych i spokojnie wykonywaliśmy zadania.

Druga misja była też dla kapitana nieco inna od pierwszej pod względem... rodzinnym: na pierwszą jechał jako kawaler, na drugą już jako mąż i ojciec!

– Żona przysyłała mi filmiki, jak syn, który miał trzy miesiące, gdy wylażywałem, leży, jak się zachowuje, mieliśmy stały kontakt. Nie mogłem już doczekać się, gdy wrócę i ich zobaczę.

Wiadomo było jednak także, że wróci na misję, jeśli tylko otrzyma takie zadanie. Tak też się stało i dwie ko-

lejne misje spędził również w Afganistanie, już jako zastępca dowódcy plutonu.

Profesjonalnie, czyli skutecznie w warunkach bojowych

– Taka misja to jest okres kilku miesięcy, około sześciu. Jesteśmy do niej znakomicie przygotowani, możemy się podjąć każdego zleconego zadania. Nawet żartowaliśmy, że nie musimy realizować wielkich formalności, gdy dojdzie do awarii broni czy pojazdu, jak to było w oddziałach o bardzo dobrze rozwiniętej logistyce, lecz sami wszystko naprawialiśmy. Do tego, znając dobrze mentalność ludności i lokalnych oddziałów sojuszników, wiedzieliśmy, jak zabezpieczyć się przed próbami przeniknięcia talibów w do bazy czy do miejsc, gdzie działaliśmy – bo wobec korupcji czy szantażu wcale nie można było być pewnym, że np. miejscowi żołnierze i policjanci nie będą zmuszeni do współpracy z przeciwnikiem.

Kapitan Sienkiewicz mówi, że mimo to nieraz czuł dreszcz strachu – tylko głupcy się niczego nie boją... – gdy np. patrol idzie wydeptaną drogą, zawsze po śladach, i dostaje polecenie, by z tej drogi zejść, mając świadomość, że gdzieś tam z boku może czekać ładunek pułapka. Ale szczęście go nie opuszczało i w czasie misji ani razu nie został ranny.

Z Poznania na misję

– Dwie ostatnie misje, w latach 2021 i 2023-24, były już w Iraku – tam w tym czasie było już spokojniej, wszędzie zauważano w miastach bardzo duże zainteresowanie Iraku tym, by nie dochodziło do niebezpiecz-

nych zdarzeń. My zajmowaliśmy się zapewnianiem bezpieczeństwa ważnym osobom – wyższej rangi oficerom, prowadzącym szkolenia, dyplomatom, członkom rządów. Pracowaliśmy już nie na kamienistych drogach, jak wcześniej, tylko w centrum stolicy, realizując zadania w oparciu o budynki rządowe i szkolnictwa wojskowego, a także spotkania doradcze w hotelach i w restauracjach.

W czasie misji w Iraku pan Krzysztof był już oficerem, dowódcą plutonu. Współpracował z żołnierzami dobrze zgranymi w zespole, wśród których byli ludzie znani mu z wcześniejszych misji.

– W Iraku było nas trzech z Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych! Mam kontakt z kolegami, może nie z wszystkimi już z moich misji. Ale tak jak wtedy zawsze mogliśmy na siebie liczyć, tak i teraz wiem, że zawsze możemy do siebie zadzwonić i otwarcie pogadać.

Od ostatniej misji mijają dwa lata. Kapitan szkoli żołnierzy, podoficerów i oficerów przede wszystkim praktycznego rzemiosła, przekazując swoje doświadczenia. I jest gotowy na kolejne wezwanie.

– Jak będzie taka możliwość i potrzeba, jak ojczyzna będzie tego wymagać, to jestem gotowy, jadę – zapewnia Krzysztof Sienkiewicz.

Dzień Weterana

Dzień Weterana Działania poza Granicami Państwa przypada 29 maja. Ma upamiętniać działania żołnierzy, policjantów, strażników granicznych i strażaków, którzy uczestniczyli w zagranicznych misjach pokojowych i stabilizacyjnych. W czasie ogólnopolskich uroczystości – w tym roku w Krakowie – odbywają się pokazy sprawności i sprzętu wojskowego, pikniki wojskowe, jest to też okazja do docenienia weteranów przez władze państwowe, przyznające odznaczenia.

Nie jest to jedyny Dzień Weterana w polskim kalendarzu: 1 września przypada Dzień Weterana Walk o Niepodległość Rzeczypospolitej Polskiej dedykowany weteranom, którzy walczyli o wolność kraju.

Polacy na misjach

– Pierwszy udział Polaków w misjach międzynarodowych datuje się na rok 1953, gdy rząd PRL wysłał swych obserwatorów do Korei. Gdy 27 lipca 1953 roku podpisano traktat pokojowy w Pan Mun Jom, Polacy weszli w skład dwóch międzynarodowych komisji nadzorujących rozejm. W tych komisjach służyło łącznie ponad 1000 Polaków – informuje Stowarzyszenie Kombatanów Misji Pokojowych ONZ. – Początkowo polskie kontyngenty wojskowe specjalizowały się głównie w zadaniach logistycznych. Pierwszym z nich był UNEF II na półwyspie Synaj, który przebywał tam od listopada 1973 do stycznia 1980 roku w sile od 822 do 1026 żołnierzy. Kontyngent ten za-



Z polskim karabinkiem Mini Beryl, dobrze ocenianym w czasie działań w pomieszczeniach

FOT. KRZYSZTOF SIENKIEWICZ

**POLACY UCZESTNICZĄ W MISJACH
POKOJOWYCH OD 1953 ROKU. DO TEJ
PORY WZIĘŁO W NICH UDZIAŁ PONAD
120 TYSIĘCY NASZYCH ŻOŁNIERZY**



Kapitan Krzysztof Sienkiewicz w czasie patrolu

FOT. KRZYSZTOF SIENKIEWICZ



Kapitan Sienkiewicz w czasie misji w Iraku, podczas zapewniania bezpieczeństwa specjalistom prowadzącym szkolenia

FOT. KRZYSZTOF SIENKIEWICZ



Przed Łukiem Zwycięstwa w centrum Bagdadu. Działania w Iraku różniły się od zadań wypełnianych przez polskich żołnierzy w Afganistanie

FOT. KRZYSZTOF SIENKIEWICZ

pewniał zaplecze logistyczne misji. Polski szpital polowy był odpowiedzialny za zabezpieczenie medyczne. Jednostka logistyczna zapewniała wodę pitną i żywność wszystkim kontyngentom, a mniejsza jednostka - inżynieryjna - odpowiadała za rozminowywanie terenu.

Na Pomniku Żołnierzy Poległych w Misjach i Operacjach Wojskowych Poza Granicami Państwa, stojącym obok Centrum Weterana Działań poza Granicami Państwa w Warszawie, umieszczono taliczki symbolizujące 124 polskich żołnierzy i pracowników wojska poległych i zmarłych na mi-

sjach. Najwięcej ich - 44 - poległo lub zmarło w trakcie misji w Afganistanie. W trakcie misji w Iraku poległo 23 polskich żołnierzy.

W ponad 89 operacjach wzięło udział ponad 120 tysięcy żołnierzy i personelu wojskowego - informuje Ministerstwo Obrony Narodowej.



W czasie zabezpieczania pracy cywili, w towarzystwie lokalnego policjanta

FOT. KRZYSZTOF SIENKIEWICZ

W niewielkim Głębinowie pod Nysą dzieje się coś, co sprawia, że raz w miesiącu spokojna śląska wieś zmienia się w oblegane miejsce, do którego zdążają pielgrzymi z bliska i z daleka. Już kilka godzin przed nabożeństwem samochody ustawiają się w długich rzędach. Ludzie idą pieszo poboczem drogi, wielu trzyma w dłoniach czerwone róże

Milena Zatylna

FENOMEN TEGO MIEJSCA RODZI SIĘ Z LUDZKIEGO CIERPIENIA

Jedni przyjeżdżają w ciszy, inni płaczą jeszcze przed wejściem do kościoła. Wśród pielgrzymów są młode małżeństwa, starsze kobiety, rodzice ciężko chorych dzieci, ludzie po rozwodach, po stratach, po życiowych katastrofach.

Przyjeżdżają tutaj z tym, czego już nie potrafią udźwignąć sami.

I właśnie w Głębinowie – w małym kościółku, który przed laty miał zostać zburzony przy budowie Jeziora Nyskiego – szukają ratunku.

Bo Święta Rita, patronka spraw trudnych i beznadziejnych, sprawiła, że ta niewielka miejscowość stała się jednym z najważniejszych miejsc jej kultu w Polsce – obok Kościoła św. Katarzyny Aleksandryjskiej w Krakowie i sanktuarium w Nowym Sączu.

Jeszcze kilkanaście lat temu niewiele osób słyszało o Głębinowie. To zmieniło się pięć lat temu. 22 maja 2021 r. decyzją opolskiego biskupa, w Głębinowie ustanowione zostało diecezjalne sanktuarium św. Rity.

Dziś każdego 22. dnia miesiąca wokół sanktuarium trudno znaleźć miejsce do zaparkowania. Kościół pęka w szwach, a plac przy świątyni jest wypełniony po brzegi. Pątnicy trzymają w rękach róże – czerwone, białe, herbaciane, które są symbolem Świętej Rity. Zapach tysięcy kwiatów roznosi się wokół.

Fenomen tego miejsca rodzi się z ludzkiego cierpienia, z tajemnic bolesnych naszego życia – mówi ksiądz Przemysław Seń, kustosz sanktuarium. – Ludzie przychodzą tutaj z historiami, których często nie mają już siły nikomu opowiadać. Choroby, rozpadające się małżeństwa, uzależnienia, samotność, dramaty rodzinne. To wszystko powierzają w modlitwach.



Przyjeżdżają tutaj z tym, czego już nie potrafią udźwignąć sami

Duchowny przyznaje, że najbardziej poruszające są chwile po nabożeństwach.

Problem często nie znika od razu, ale widać zmianę na ludzkich twarzach. Wchodzą smutni, przygnieci, a wychodzą z nadzieją. Jakby ktoś zabrał z ich serca część ciężaru.

Ta nadzieja ma twarz świętej, która sama doświadczyła niemal wszystkiego, co może złamać człowieka.

Kim była święta od spraw beznadziejnych?

Święta Rita urodziła się pod koniec XIV wieku we włoskiej Roccaporenie. Już jako dziewczynka marzyła o życiu zakonnym, ale rodzice zdecydowali inaczej – wydali ją za mąż. Jej mąż był człowiekiem gwałtownym i porywczym, uwikłanym w konflikty i przemoc. Rita przez lata doświadczała cierpienia, jednak nie odpowiadała na nie nienawiścią. Modliła się o przemianę małżonka. I doczekała jej. Tuż przed śmiercią jej mąż pojednał się z Bogiem.

Później Rita przeżyła kolejną tragedię – śmierć swoich synów. Wówczas postanowiła poświęcić swoje życie Bogu, wstąpiła do klasztoru augustianek w Cascii.

Była cichą i pokorną mniszką. Dnie spędzała na modlitwie i pokucie.

Według przekazów otrzymała stygmat rany na czole, jakby ciemia z korony Chrystusa. Zmarła 22 maja 1450 roku.

Kilka miesięcy przed śmiercią Rita wyraziła pragnienie,

żeby zobaczyć w ogrodzie żywą różę – opowiada ks. Przemysław. – Okazało się, że wszystkie róże przed klasztorem zakwitły, choć wokół leżał śnieg. Dlatego właśnie róże są nieodłącznym znakiem tej świętej.

Po śmierci zaczęto przypisywać jej liczne cuda.

Do dziś wierni na całym świecie modlą się do niej wtedy, gdy po ludzku nie widzą już wyjścia.

Rita jest świętą bardzo bliską współczesnemu człowiekowi – mówi ksiądz Paweł Chyla,

współautor książek poświęconych sanktuarium w Głębinowie. – Nie była kimś odległym. Każdy może się z nią utożsamiać i znaleźć w niej swoją orędowniczkę. Była żoną, matką, wdową. Doświadczyła przemocy, straty, cierpienia. Ludzie odnajdują w niej swoje życie. Widzą kobietę, która mimo dramatów się nie poddała.

To właśnie dlatego do Głębinowa przyjeżdżają tłumy.

Na kartkach składanych przed figurą Świętej Rity zapisane są najbardziej intymne ludzkie dramaty.

„Pomóż uratować moje małżeństwo”.

„Spraw, żeby córka wygrała z rakiem”.

„Błagam o dziecko”.

„Nie mam już siły żyć”.

„Uwolnij mnie od alkoholu”.

– Tych spraw trudnych jest dziś ogrom – mówi ksiądz Paweł Chyla. – Ludzie mają poczucie, że wyczerpali wszystkie możliwości. I wtedy przyjeżdżają tutaj.

Wielu wraca.

Jedną z takich osób jest pan Leszek. Pierwszy raz pojawił się w Głębinowie kilka lat temu, modląc się za znajomą chorą na nowotwór.

– Lekarze nie dawali koleżance wielkich szans – wspomina. – Przyjechałem tutaj w wielkim strapieniu, po cud. Dziś koleżanka żyje, pracuje, wszystko jest dobrze. Dla mnie to był moment przełomowy.

Od tamtej pory jest w Głębinowie regularnie.

– Człowiek przyjedzie tutaj raz i chce wracać. Jest w tym miejscu coś niezwykłego. Modliłem się o zdrowie, o rodzinę, o nawrócenie syna. I powoli wszystko zaczęło się układać. Nie nagle, nie spektakularnie. Raczej krok po kroku. Jakby

PRZED ŚMIERCIĄ RITA PRAGNĘŁA ZOBACZYĆ W OGRODZIE ŻYWĄ RÓŻĘ. WSZYSTKIE RÓŻE PRZED KLASZTOREM ZAKWITŁY, CHOĆ WOKÓŁ LEŻAŁ ŚNIEG

Święta Rita uczyła człowieka cierpliwości i zaufania. Kiedy po ludzku wszystko się kończy, zostaje jeszcze ona.

Takich opowieści można tutaj usłyszeć setki.

Ksiądz Przemysław Seń szczególnie pamięta historię matki Hani.

- Po porodzie rokowania były bardzo złe. Wszystko wskazywało na to, że dziewczynka może nie przeżyć. Rodzice modlili się tutaj o jej życie. Dziś Hania żyje i ma się dobrze. A Świętą Ritę nazywa swoją ciocią - opowiada duchowny.

W sanktuarium często mówi się także o uzdrowieniach z chorób nowotworowych, ocalonych małżeństwach i narodzinach długo wyczekiwanych dzieci.

W podziękowaniu wierni zostawiają świadectwa, róże i wota wdzięczności.

To właśnie dzięki takim świadectwom kult Świętej Rity w Głębinowie rozrastał się błyskawicznie.

Bo sanktuarium nie powstało wokół objawień ani wielowiekowej legendy. Narodziło się z potrzeby zwykłych ludzi.

Jesienią 2014 roku grupa parafian poprosiła księdza Przemysława o odprawienie nabożeństwa ku czci Świętej Rity. Sami modlili się wcześniej prywatnie do patronki spraw beznadziejnych i chcieli robić to wspólnie. 22 listopada 2014 roku odbyło się pierwsze nabożeństwo.

Nikt wtedy nie przypuszczał, że rozpoczyna się historia miejsca, do którego będą przyjeżdżać tysiące pielgrzymów.

- Wielu ludzi zaczęło mówić o wysłuchanych modlitwach. Wieść rozchodziła się błyskawicznie - wspomina pan Franciszek. - Jedni opowiadali drugim. I tak zaczęły przybywać tłumy. Sam również doświadczyłem wielu łask za wstawiennictwem Świętej Rity. Czuję jej pomoc w codziennym życiu.

Zaledwie pół roku po pierwszym nabożeństwie do Głębinowa sprowadzono relikwie pierwszego stopnia - fragment tuniki, w której Święta Rita została pochowana. To był moment przełomowy dla rozwijającego się kultu.

Potem wydarzenia potoczyły się bardzo szybko.

Powstał nowy ołtarz, pojawiła się figura Świętej Rity ufundowana przez wiernych jako wotum wdzięczności za otrzymane łaski. Ludzi przybywało z miesiąca na miesiąc. W końcu, pięć lat temu, 23 maja 2021 roku, biskup Andrzej Czaja ustanowił w Głębinowie oficjalne sanktuarium diecezjalne Świętej Rity.

- Biskup powiedział wtedy, że to miejsce ma być duchową oazą i schronieniem dla ludzi - przypomina ksiądz Przemysław Seń. - I rzeczywiście takim się stało.

Dzisiaj przyjeżdżają tu pielgrzymi z całej Polski, a nawet z zagranicy. Wielu z nich wraca każdego miesiąca.

Wśród wiernych jest także Zuzanna Kreczmar. Jej historia również wiąże się z chorobą.

- Mój syn miał nowotwór mózgu - mówi. - Modliliśmy się żarliwie o jego uzdrowienie i zostaliśmy wysłuchani. Dlatego opowiadałam ludziom o Świętej Ricie. Chcę, żeby wiedzieli, że naprawdę można tutaj odzyskać nadzieję. Rita i to sanktuarium są dobrodziejstwami, z których powinniśmy korzystać.

Zdaniem księdza Pawła Chyli właśnie w tym tkwi sekret fenomenu Świętej Rity.

- Żyjemy w świecie ogromnego lęku i samotności. Ludzie często nie mają już gdzie szukać ratunku. Rita pokazuje, że nawet najbardziej pokrzyżowane życie może stać się drogą do dobra.

I może dlatego Głębinów działa na pielgrzymów tak mocno.

To miejsce jest proste, niewielkie, pozbawione przepychu. Nie ma tu monumentalnych bazylik ani wielkich placów. Jest mały neogotycki kościół nad wodą, szum jeziora i róże przynoszone przez ludzi.

A jednak właśnie tutaj wielu odzyskuje spokój.

- Ośmielę się nazwać to miejsce skrawkiem nieba na ziemi - mówi ksiądz Paweł. - Tym bardziej, że ten kościółek miał kiedyś zostać zburzony przy okazji budowy Jeziora Nyskiego. Trudno dziś sobie wyobrazić, że mogłoby go nie być.

To chyba najbardziej symboliczne w historii Głębinowa. Świątynia, która miała zniknąć, stała się miejscem, z którego płynie ogrom dobra.

Kiedy nabożeństwo dobiega końca, ludzie długo jeszcze zostają w ławkach. Niektórzy siedzą w ciszy z zamkniętymi oczami. Inni klękają przed figurą świętej. Ktoś dotyka relikwiarza, bo głęboko wierzy w to, że tutaj Rita jest na wyciągnięcie ręki. Ktoś ociera łzy. Ktoś ściska różę tak mocno, jakby była ostatnią rzeczą, której może się uchwycić.

Powoli zapada zmrok. Jezioro Nyskie cichnie. Pielgrzymi wracają do swoich domów, do chorób, udręk, codziennych zmagani. Ale wielu z nich wyjeżdża stąd z czymś, czego wcześniej już prawie nie mieli.

Z nadzieją.



Święta Rita sprawiła, że ta niewielka miejscowość stała się jednym z najważniejszych miejsc jej kultu w Polsce



Ludzie odnajdują w niej swoje życie. Widzą kobietę, która mimo dramatów się nie poddała



W sanktuarium często mówi się o uzdrowieniach z chorób i narodzinach długo wyczekiwanych dzieci

BALLADA O JACKU ZEJDLERZE, SERIALOWYM TOLKU BANANIE

Jacek Zejdler nie żyje już blisko pięćdziesiąt lat. Był łodzianinem. Dla wielu osób pozostał niezapomnianym Tolkiem Bananem, bohaterem popularnego serialu. Okoliczności jego śmierci do dziś owiane są tajemnicą.



Anna Gronczewska

Jacek Zejdler urodził się 19 stycznia 1955 roku w Łodzi. Jego ojciec Andrzej był adwokatem, mama Barbara lekarzem, znaną pediatrą. Jacek skończył III LO im. Tadeusza Kościuszki. Po maturze, którą zdał w 1973 roku, dostał się do Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi. Nie był anonimowym chłopakiem. Miał za sobą epizod w „Niewiarygodnych przygodach Marka Piegusa”, zanim zasłynął tytułową rolę w serialu Stanisława Jędryki „Stawiam na Tolka Banana”.

Pokolenie dzisiejszych pięćdziesięcio- czy sześćdziesięciolatków powie, że był to ulubiony film ich dzieciństwa. Nie było podwórka, na którym nie nucono by piosenki o Tolku Bananie, o jego starych dżinsach i dziurawych kamaszach. Jacek Zejdler zagrał Szymka Krusza, chłopaka, który podszywa się pod Tolka Banana, rzekomego uciekiniera z domu poprawczego i zajmuje się grupą tzw. trudnej młodzieży.

Fatum ciążyło nad aktorami serialu

Serial do dziś cieszy się wielką popularnością. Głównie dzięki młodym aktorom, którzy w nim zagraли. Znalazł ich reżyser „Stawiam na Tolka Banana” nieżyjący już Stanisław Jędryka. Nie ukrywał, że ciążyło nad nimi jakieś fatum.

– Zsześciu aktorów grających główne role nie żyje już trzech – mówił nam w wywiadzie Stanisław Jędryka. – Ale żyją dalej w serialu. Sergiusz Lach przyszedł na zdjęcia próbne po ogłoszeniu w gazecie. Gdy go zobaczyłem, to od razu wiedziałem, że to idealny kandydat na „Filipka”. Dalej nie szukałem. Po latach odwiedziłem go w Sztokholmie, gdzie mieszkał. Był działaczem „Solidarności” i w pewnym momencie postanowił wyemigrować do Szwecji, bo groziły mu przykre konsekwencje. Pojechał do Szwecji, a następnego dnia zjawili się



Jacek Zejdler zagrał Szymka Krusza, chłopaka, który podszywa się pod Tolka Banana, rzekomego uciekiniera z domu poprawczego i zajmuje się grupą tzw. trudnej młodzieży

u niego panowie z SB. Jacek Zejdler studiował już wtedy w łódzkiej Szkole Filmowej. Był idealnym aktorem do roli Tolka. Ostatni raz spotkałem się z nim na Mazurach. Kręciłem tam „Szaleństwo Majki Skowron”. Nagle ktoś zaczął wykrzykiwać w moją stronę: Dzień dobry, panie reżyserze! Był to Jacek. Kilka lat później nie żył...

Wspominany przez reżysera Sergiusz Lach zmarł nagle w Szwecji w 2015 roku. Miał 54 lata. W Szwecji mieszkał od lat, zajmował się między innymi fotografią. Nie żyje też Andrzej Kowalewicz, który w „Stawiam na Tolka Banana” grał „Cygana”, chłopaka o czarnych, kręconych włosach, który pięknie grał na skrzypcach. Wiele podróżował, zajmował się handlem, był właścicielem firmy serwisowej. W 2012 roku zginął w wypadku samochodowym...

Filip Łobodziński, dziś znany dziennikarz i tłumacz, opowiadał w jednym z wywiadów o swojej znajomości z Jackiem Zejdlerem. Poznali się na planie „Stawiam na Tolka Banana”.

– Jacek odmienił moje życie – mówił o swoim koleźce Filip Łobodziński. – Powiedział mi o „Ilustrowanym Tygodniku Rozrywkowym” Jacka Janczara-

skiego i Adama Kreczmara, ze sztyt, w którym spisywał teksty Beatlesów. Pokazał mi, że słowa piosenek mogą nieść treść.

SB szła za nim krok w krok

Gdy Jacek studiował w Szkole Filmowej, był już znany w środowisku. Jednak kole-dzy zapewniają, że popularność go nie zmieniła.

Na studiach w łódzkiej Szkole Filmowej Jacek związał się z łódzkim środowiskiem skupionym wokół Komitetu Obrony Robotników. Łodzianin Józef Śreniowski, członek KOR, dobrze pamięta Jacka Zejdlera. Tak jak pierwsze spotkanie z aktorem. KOR zbierał podpisy pod listem do sejmu, w którym domagano się zwolnienia z więzień robotników zatrzymanych po wydarzeniach w Radomiu i Ursusie.

– Nie było nas w Łodzi wielu – wspomina Józef Śreniowski. – Pomagali nam studenci, m.in. z polonistyki, fizyki, biologii. Zapamiętałem też dwójkę młodych ludzi, którzy studiowali w szkole filmowej. Przynieśli bardzo dużo podpisów.

Tymi studentami byli Jacek Zejdler i studentka reżyserii, nieżyjąca już Natasza Czarmińska.

Józef Śreniowski nawiązał bliższą znajomość z Jackiem.

wali aktorstwo w łódzkiej Szkole Filmowej.

– Dziewczyna Tolka Banana! – krzyczały dzieci, gdy szła z Jackiem łódzkimi ulicami.

Jednak ich związek nie przetrwał. Jacek poznał inną dziewczynę, z którą się ożenił. Po latach Daria Trafanowska opowiadała, że dostała dramatyczny list od swojego byłego chłopaka. Jacek miał w nim pisać, że nic nie ma sensu i myśli o tym, by pożegnać się z tym światem. Ona przygotowywała się do premiery „Braci Karamazow”. Kilka dni po niej dotarła do niej tragiczna wiadomość..

Dyrektor wyrzucił go z teatru

W 1979 roku Jacek Zejdler zagrał jeszcze w serialu Jerzego Hofmana „Do krwi ostatniej”. Grał Zbyszka Trepko, młodego chłopaka wstępującego do armii Zygmunta Berlinga. Ale ten rok nie był dla niego szczęśliwy. Stracił pracę w łódzkim Teatrze im. Jaracza. Dziś już trudno dociec dlaczego. Tomasz Filipczak przekonywał, że były to powody polityczne.

– Wystawiano spektakl z czasów rzymskich, tytułu nie pamiętam – opowiadał Tomasz Filipczak. – Jacek z kolegami na ścianie sceny umieścił wielki napis: „KOR”.

Jacek był rozczarowany tą decyzją. Z dnia na dzień pozostał bez pracy. Pomogli przyjaciele. Dwóch grało w Teatrze im. Jana Kochanowskiego w Opolu. Zapytali ówczesnego dyrektora Bogdana Cybulskiego, czy przyjmie Jacka. Zgodził się. Tak we wrześniu 1979 roku Jacek Zejdler znalazł się w Opolu. Zaczął próby do „Wojny chłopskiej” Jonasza Kofty. Premiery nie doczekał...

Zdzisław Jaskuła, nieżyjący już znany łódzki poeta, były dyrektor Teatru Nowego w Łodzi, też działacz opozycji, widział się z Jackiem Zejdlerem na kilka dni przed jego śmiercią. Pamięta tylko, że miało to miejsce w mieszkaniu ich wspólnej koleżanki Joasi. Zapamiętał Jacka jako niesłychanie wrażliwego, młodego człowieka.

– Tego wieczora rozmawialiśmy bardzo długo – wspominał Zdzisław Jaskuła. – Widać było, że jest w depresji. Miał nieciekawą sytuację rodzinną, której szczegółów nie znam. Chodziło o rozczarowanie miłości. Pojawiły się problemy w jego

małżeństwie. Miał poczucie absurdu dalszej egzystencji. To osobiste nieszczęście bardzo przeżywał. Przekonywałem Jacka, że życie ma sens. Gdy się rozstawaliśmy, wydawało się, że jest weselszy, uspokojony. Ale chyba było to tylko złudzeniem. Kilka dni potem dowiedziałem się, że nie żyje.

Dlaczego umarł?

O śmierci Jacka Zejdlera przez lata krążyły legendy. Mówiono, że Tolek Banan zginął w wypadku samochodowym. Pojawiały się informacje, że esbecy zrzucili go z mostu na Odrze, albo przejechali go autem. Inna z wersji mówiła, że związali aktora, wsadzili do spiworu i odkręcili gaz. Jak było naprawdę?

Józef Śreniowski jeszcze dziś nie wyklucza, że za sprawą śmierci Jacka Zejdlera stała SB, że było to upozorowane samobójstwo. Wie, że aktora nękało SB. Powiedział mu kiedyś, że jest szantażowany przez esbeków. Nie zdradzał jednak, o co chodzi.

– Raz tylko zdenerwowany Jacek krzyknął: Nie zrobią ze mnie kapusia! – wspomina Józef Śreniowski.

Bliski przyjaciel Jacka opowiada, że kiedy był z nim na kursach dokształceniowych organizowanych w Łodzi, w jednym z mieszkań przy ul. Narutowicza, niedaleko słynnej przed laty kawiarni „Irena”, wpadli tam esbecy. Potem on wyjechał z Łodzi, Jacek został. Wie, że był ciągnany przez SB. Jednak jego zdaniem to, co się stało, było zbiegiem splotu psychologicznych zdarzeń. Rok przed śmiercią Jacek ożenił się. Gdy wyjechał do Opola, jego żona została w Łodzi. Zaczęło się coś psuć. Bardzo to przeżywał.

– Wydawało się, że nie jest kruchy, ma dużo siły – twierdzi jego przyjaciel. – Optymistycznie myślał o swojej przyszłości zawodowej, życiowej. Coś jednak musiało w nim pęknąć.

Imprezę sylwestrową, na której witano nowy 1980 rok zorganizował dyrektor opolskiego teatru, Bohdan Cybulski. Jacek był na tym sylwestrze. Podobno doszło do jakiejś wymiany zdań między nim a dyrektorem. Obaj byli po alkoholu. Jacek wyszedł z imprezy. Wrócił do swojego mieszkania. Na ulicy równo zaparkował swojego fiata...

Jacka znaleziono 2 stycznia 1980 roku. Ktoś poczuł gaz wydobywający się z jego mieszkania. Leżał w spiworze, przy otwartym piekarniku. Podobno wcześniej wykręcił korki. Jacek Zejdler został pochowany w rodzinnej Łodzi, na cmentarzu przy ul. Szczecińskiej w Łodzi. Miał 25 lat. Niedługo przed śmiercią pojawił się w filmie „Wesela nie będzie”. Zagrał w nim samobójcę, którego odratowano po kolejnej próbie odebrania sobie życia...

ŚMIERĆ ADOLFA EICHMANNA, ARCHITEKTA HOLOKAUSTU

W nocy z 31 maja na 1 czerwca 1962 roku w słynnym więzieniu Ramli w Izraelu stracono – po długim procesie – SS-Obersturmbannführera Adolfa Otto Eichmanna. Jego prochy rozsypano, by nie było grobu zbrodniarza

Mariusz Grabowski

Egzekucję hitlerowca przeprowadzono minutę po północy, bezpośrednio po tym, jak prezydent Izraela Icchak Ben-Zwi odrzucił jego prośbę o ułaskawienie.

Zabić czy nie?

W czasie głośnego procesu, który był transmitowany na cały świat przez radio i telewizję, Eichmann został uznany winnym zbrodni „przeciwko ludzkości, zbrodni wojennych, zbrodni przeciwko ludzkości oraz przynależności do zbrodniczych organizacji”. Choć część zarzutów została oddalona, ława sędziowska uznała go winnym, fanatycznym antysemitą, głęboko zaangażowanym w proces tak zwanego ostatecznego rozwiązania.

Werdykt odbił się szerokim echem na świecie. Do prokuratora generalnego napłynęło wiele listów potępiających wyrok, lecz także wyrażających satysfakcję. Wielu polityków, filozofów, historyków z Izraela i z zagranicy naciskało, by prezydent ułaskawił skazanego. Zebrał się nawet gabinet, któremu przewodniczył Ben Gurion, by rozpatrzyć kwestię: czy w tym jedynym przypadku można zastosować nieistniejącą w kodeksie karę śmierci.

29 maja 1962 roku apelacja adwokatów Eichmanna została odrzucona i wyrok został utrzymany w mocy.

Prawo i polityka

Proces 55-letniego Niemca rozpoczął się 11 kwietnia 1961 r. w Jerozolimie. Głównym oskarżycielem był Gidon Hausner, prokurator generalny Izraela, a obrońcą dr Robert Servatius, prawnik z Kolonii, którego wynagrodzenie opłacone zostało przez Izrael i RFN. W trakcie procesu przesłuchano 112 świadków oraz zaprezentowano setki dokumentów stanowiących dowód na rolę Adolfa Eichmanna w przeprowadzeniu zagłady Żydów.

„Proces Eichmanna – pisze historyk Krzysztof Persak – miał dwa cele, nie całkiem ze sobą zgodne. Z jednej strony chodziło o osądzenie Eichmanna za popełnione czyny – a zbrodnie, w których osobiście uczestni-



Na procesie było obecnych 700 dziennikarzy z całego świata. Wielu publicystów uznało proces za zbyt zburokratyzowany i niepokazujący całego zła Eichmanna

czył, z pewnością były wystarczającą podstawą do skazania”.

Wbrew jednak temu jak go przedstawiano, nie był głównym organizatorem Zagłady. Tymczasem w zamyśle władz Izraela jego proces miał posłużyć jako ważny instrument państwowej polityki historycznej. Prokurator Gideon Hausner i premier Dawid Ben Gurion chcieli przekształcić proces Eichmanna w wielki historyczny sąd nad mordercą Żydów.

„Chodziło im o nakreślenie całościowego obrazu Zagłady, pokazanie światu ogromu cierpienia Żydów, a także o opowiedzenie o ich poświęceniu i aktach oporu” – dowodzi Persak.

Proces był wydarzeniem

Na procesie było obecnych 700 dziennikarzy z całego świata. Powstało wiele dzieł literackich, filmów i sztuk teatralnych dotyczących tego wydarzenia. Wielu komentatorów i publicystów uznało proces za nieudany – jako za zbyt zburokratyzowany i niepokazujący

prawdziwego Eichmanna – wroga ludzkości.

Aktem oskarżenia, w którego redagowaniu uczestniczył ponoć sam premier Ben Gurion, objęto w zasadzie wszystkie etapy Zagłady. Eichmannowi przypisano główną odpowiedzialność również za zbrodnie, w których bezpośrednio nie uczestniczył ani ich nie organizował, np. masowe egzekucje Żydów na Wschodzie prowadzone przez Einsatzgruppen czy oznaczoną kryptonimem „Reinhard” operację wymordowania Żydów w Generalnym Gubernatorstwie.

Było to miejscami prawniczo wątpliwe i przewodniczący sądu Mosze Landau kilkakrotnie zwracał prokuratorowi Gideonowi Hausnerowi uwagę, by „ściślej trzymał się osobistej roli podsądnego”. Prokurator bowiem luki w materiale dowodowym często pokrywał retoryką.

Hitlerowiec buddysta

Przez cały czas procesu Eichmann utrzymywał, że był

przede wszystkim Nietzsche, i buddyzmowi. Twierdził, że absurdalne było, że wszechmogący Bóg pozwolił ukrzyżować Swego Syna.

Uważał, że droga do Boga nie prowadziła przez Chrystusa i przejawiał wiarę w fatalizm i panteizm. Według niego Bóg zwalniał człowieka z moralnych rozterek. Widział wszechświat na kształt konferencji w Wannsee. Szefostwo SS (czyli bogowie) podjęło decyzję, a on „jedynie wypełniał ich rozkazy”.

„Nie bronił się, nie płakał”

Wróćmy do momentu przed egzekucją. Po otrzymaniu informacji o odrzuceniu apelacji i powrocie do celi skazany napisał kilka listów do rodziny i wypił pół butelki czerwonego wina Carmel. Przed północą do celi przyszedł pastor Hull, z którym Eichmann często dyskutował o religii. Skazany powiedział do niego: „Nie będę dzisiaj z panem dyskutował o Biblii. Nie mam wiele czasu do stracenia”. W celi pojawił się następnie Rafi Eitan – agent Mosadu, który skłócił zbrodniarza. Ten spojrzał na niego i powiedział po niemiecku: „Mam nadzieję, że będziesz następny”.

Wykonawcę wyroku śmierci przez powieszenie wybrano spośród strażników więziennych w drodze losowania. Los padł na pochodzącego z Jemenu Shaloma Nagara. „Eichmann nie bronił się, nie płakał, nie drżał” – wspominał Nagar. „Stałem kilka kroków od niego i patrzyłem mu prosto w oczy”.

Prochy rozwiął wiatr

Eichmanna zaprowadzono do sali straceń, gdzie wypowiedział ostatnie słowa. Wedle świadectw brzmiały: „Sieg heil Deutschland! Sieg heil Argentinien! Sieg heil Österreich! To są te trzy kraje, z którymi byłem najbardziej związany i których nie zapomnę. Pozdrawiam mą żonę, moją rodzinę i mych przyjaciół. Jestem gotowy. Spotkamy się ponownie wkrótce, bo taki jest los wszystkich ludzi. Umieram, wierząc w Boga”. W ostatniej woli skazaniec poprosił o białe wino i odmówił założenia worka na szyję.

Uznano ten gest za oznakę, że nie boi się swojego losu.

Shalom Nagar wspominał, że przygotowując zwłoki do kremacji, nie wiedział, że u uduszonej osoby w płucach pozostaje powietrze. Gdy uniósł zwłoki do góry, wydobył się z nich makabryczny odgłos, coś jak „grrrrreerrere”, co wedle niego zabrzmiało jak „Jemeńczyku”.

Ciało Eichmanna spalono w przygotowanym krematorium niedaleko plaży, a jego prochy rozrzucono nad międzynarodowymi wodami Morza Śródziemnego.

Spór po latach

Proces Adolfa Eichmanna do dziś wzbudza emocje. Już w 1963 r. ukazała się książka „Eichmann w Jerozolimie: rzecz o banalności zła” autorstwa niemieckiej filozofki Hanny Arendt. Opisowała kulisy procesu i pisała, że „Eichmann działał bezmyślnie, niczym trybik w nazistowskiej maszynie zagłady. Był jedną z wielu podobnych sobie jednostek”.

Pół wieku później do kwestii procesu wrócił reżyser i badacz Holocaustu Claude Lanzmann. „Proces Eichmanna w roku 1962 w Jerozolimie został przeprowadzony skandalicznie źle i przez ignorantów” – mówił w wywiadzie dla „Nwsweeka” w 2014 r. „To był polityczny show zamówiony przez Ben Guriona, mający stanowić akt założycielski państwa Izrael. Nikt nie szukał prawdy i nikt nie pracował tak jak należy. Sędziowie i prokuratorzy wszystko mieszały: nie odróżniali getta w Chełmie od obozu zagłady w Chełmie. (...) Rzekoma »banalność zła« to jedynie banalność konkluzji pani Arendt. Eichmann był fanatycznym antysemitą, na dodatek niewiarygodnie skorumpowanym. Kochał pieniądze. Był gotowy na wszystko, żeby je zdobyć”.

Zadzwoń telefon

„Przez rok miałem koszmary” – wspominał wykonawca wyroku, zmarły w 2024 roku Shalom Nagar. Spokój przywróciła mu religia. Przeniósł się do nowego osiedla żydowskiego na Zachodnim Brzegu Jordanu, zamieszkanego przez radykalnych osadników; walczył podczas wojny siedmiodniowej.

W 1994 r. Nagar modlił się w synagodze, gdy w pobliżu żydowski fanatyk zastrzelił przy grobie patriarchy Abrahama 29 muzułmanów. W obawie przed zemstą Palestyńczyków sprzedał dom i powrócił do Holonu.

W 1988 r. zadzwonił do niego dawny szef więzienia Ramli. „Chcesz wykonać wyrok na Johnie Demianiuku?” – usłyszał w słuchawce. Ukraiński oprawca z obozu zagłady w Sobiborze został właśnie skazany na śmierć. Tym razem Szalom Nagar odmówił...

NA JEDNEJ NODZE, O KULACH, BIEGNA PO ZWYCIĘSTWO. NA BOISKU GRA DRUŻYNA, NIE NIEPEŁNOSPRAWNOŚĆ

Najpierw słysząc stuk kul o murawę. Potem jest sprint, zwrot, strzał i upadek, po którym trzeba szybko wrócić do gry. Amp futbol w Warcie Poznań to sport dla ludzi po amputacjach i chorobach, ale nie gra się tu „mimo wszystko”. Gra się po to, żeby wygrać, być w drużynie i znów poczuć, że ciało może więcej, niż długo się wydawało

Justyna Piasecka-Gabryel

Kiedy Ewa pierwszy raz stanęła na bramce, najbardziej zaskoczyła ją tempo. Nie sama piłka, nie boisko, nawet nie to, że będzie musiała nauczyć się upadać. Najpierw zobaczyła zawodników, którzy na jednej nodze, o kulach, biegli do akcji tak szybko, że trudno było pogodzić to z wcześniejszym wyobrażeniem o kulach.

- Zawsze kojarzyłam je z ostrożnym chodzeniem po urazie. A tutaj zobaczyłam, że można biec, prowadzić piłkę i jeszcze walczyć o akcję. Na żywo zrobiło to na mnie ogromne wrażenie - mówi.

Bramkarka musi iść do piłki

Ewa Cienkowska mieszka w Toruniu. W drużynie jest od niedawna. W marcu zaczęła trenować z Wartą Poznań, w maju trafiła do kadry. Wcześniej nie miała doświadczenia w sporcie drużynowym. Od dzieciństwa żyje z niepełnosprawnością - bez jednej ręki - po chorobie nowotworowej kości. Przez lata słyszała raczej, czego nie powinna robić, niż co może robić po swojemu. Z lekcji WF-u była zwalniana, sport zostawał gdzieś obok.

Do aktywności wróciła dopiero po latach. Był basen, aquafitness, zumba. W grupach osób pełnosprawnych nie czuła się odrzucana, ale czuła, że stale się wyróżnia. Trzeba było dostosowywać ćwiczenia, tłumaczyć ograniczenia, przypominać fakt, że inni ją zapamiętują. W amp futbolu tak nie jest. Nie dlatego, że jest łatwo. Raczej dlatego, że nikt nie dziwi się temu, że ciało pracuje inaczej.

- Tu jest większe zrozumienie. Kiedy nie ma się kończyny, ciało funkcjonuje nierówno. Jedna strona przejmuje więcej, druga jest słabsza. Dopiero przy treningach siłowych za-



Amp futbol w Warcie Poznań rozwija się od 2019 roku. Klub prowadzi dziś zarówno męską, jak i kobiecą drużynę

częłam widzieć, ile pracy mnie czeka - opowiada.

Na bramce musi być szybka. Musi reagować w ułamku sekundy, ale też nauczyć się rzeźby, które dla kogoś z zewnątrz brzmią prosto: upaść, nie uszkodzić się, wstać i bronić dalej. Najtrudniejsze są teraz bramkarskie pady. Kiedy piłka leci w twarz, ciało chce się cofnąć. Bramkarka musi zrobić coś odwrotnego.

- Nie mogę uciekać. Muszę wychodzić do piłki. Ostatnio zauważyłam, że już nie cofam głowy, tylko wyciągam rękę i bronię. Dla kogoś to może dro-

biaż, dla mnie znak, że trening działa - mówi Ewa.

Podpatruje trenerkę Zużę, która w Warcie prowadzi kobiety, a w kadrze pracuje z bramkarkami. Patrzy, jak ustawia ciało, jak upada, jak podnosi się bez podpierania ręką. W tym sporcie właśnie takie szczegóły są ważne. Dla kibica mogą być niewidoczne, dla zawodniczki decydują o tym, czy zdąży do piłki.

Ewa uczy się też własnego organizmu. Przy dłuższych treningach ujawniły się u niej problemy z hipoglikemią reaktywną. Musi pilnować jedzenia,

odpoczynku, reakcji ciała. Na trening przychodzi z sensorem. Telefon zostawia trenerce.

- Powiedziałam: jeśli będzie dzwonił, dajcie mi znać. Nie chodzi o to, żeby ktoś mnie ratował, tylko żeby mogła trenować bez doprowadzania się do granicznej sytuacji - tłumaczy.

Ważne było dla niej to, że drużyna zareagowała zwyczajnie. Fizjoterapeutka pytała, jak się czuje. Koleżanki sprawdzały, czy wszystko w porządku. Bez sensacji, bez wielkich słów. Po prostu z uważnością.

Tak samo było po jednym ze zgrupowań, kiedy dostała piłkę w głowę. Nic poważnego się nie stało, ale puściły emocje. Ewa rozplakała się bardziej z napięcia i zaskoczenia niż z bólu. Wtedy Marlena, koleżanka z drużyny, krzyknęła, żeby wstawała i broniła, bo zaraz będzie kolejny strzał.

- Najpierw się zdenerwowałam, a potem zrozumiałam, że miała rację. Na meczu nikt nie będzie czekał, jeśli sędzia nie przerwie gry. Trzeba się pozbierać i grać dalej. Po wszystkich dziewczyny pytały, jak się czuję. To było wsparcie, tylko

podane po sportowemu - dodaje.

Warta jako druga rodzina

Marlena Olszewska sama o Warcie mówi krótko: rodzina. Do Poznania trafiła z reprezentacji, kiedy kobiece zawodniczki zostały podzielone między dwa kluby: Furię Warszawa i Wartę Poznań. Wybrała Poznań, bo miała bliżej, ale też dlatego, że to miasto było jej już znane. Tu się protezuje, tu łatwiej jej organizować sportowe życie.

Pochodzi z Głuchowa w Wielkopolsce. Trzy lata temu, w wieku 43 lat, miała wypadek w pracy. Wjechał w nią wózek widłowy. Straciła nogę. Nie ukrywa, że psychicznie było i nadal bywa trudno. Amp futbol stał się dla niej nie tylko sportem, ale też formą porządkowania życia po wypadku.

- Warta to jedna wielka rodzina. Dziewczyny bardzo szybko się zgrały. Przyjeżdżam tutaj i mogę sobie wiele rzeczy poukładać w głowie. To jest też dla mnie forma terapii - mówi Marlena.

W piłkę wcześniej nie grała. Dzisiaj sama śmieje się z tego, że kiedyś trzymała się od niej daleko, a teraz mocno się zaangażowała. Dwa razy w tygodniu ma siłownię, dwa razy bieganie, do tego gra na orliku. Jest ambitna, chce się uczyć i chce być coraz lepsza.

- Najważniejsze jest dla mnie to, żeby nauczyć się dobrze grać. Wysoko stawiam sobie poprzeczkę, ale wierzę, że dam radę. Amputacja nie jest dla nas przeszkodą - podkreśla.

Nie zostać samemu w domu

Emilia Duda z Chrzypyska Wielkiego także musiała poukładać życie od nowa. Gdy miała 41 lat, dowiedziała się, że choruje na nowotwór. Ampu-

FOT. WALDEMAR WYŁĘGAŁSKI

tacja nogi na wysokości uda zmieniła codzienność, ale nie odebrała jej potrzeby ruchu. Wcześniej była aktywna: grała w siatkówkę, miała amatorską drużynę, grała w tenisa stołowego i ziemnego, jeździła na rowerze, sędziowała mecze piłki nożnej. W samą piłkę jednak nie grała.

Teraz uczy się jej od podstaw. Jest prawonożna, a grać musi lewą nogą. Mówi o tym bez narzekania, raczej z zadaniowym spokojem. Trzeba się nauczyć, trzeba powtarzać, trzeba dać sobie czas.

- To jest dostosowanie sportu do swoich możliwości. Każda z nas ma inną historię: jedna straciła kończynę w wypadku, druga przez chorobę. Ale na boisku jesteśmy zespołem. Tu każdy jest częścią drużyny - mówi Emilia.

Dla niej najważniejsze jest to, żeby nie zostać samemu w domu. Zna taki moment, kiedy człowiek może zamknąć się w czterech ścianach i odciąć od świata. Dlatego dziś tak mocno podkreśla rolę ludzi: rodziny, znajomych, drużyny.

- Miałam bardzo duże wsparcie po amputacji. To dało mi siłę, żeby wstać z łóżka i iść do przodu. Jestem rok po chemii, cały czas walczę, ale mam nadzieję, że najgorsze jest już za mną - mówi.

Kobieca drużyna Warty Poznań działa od niedawna, ale zawodniczki szybko złapały wspólny rytm. Trenują osobno, ale mają też możliwość grania z mężczyznami. To ważne, bo tempo i siła są wtedy większe. Poprzeczka idzie wyżej.

- Oni pokazują nam, że bariery nie muszą nas zatrzymywać. Kobieta może zagrać z mężczyzną, jeśli jest przygotowana i chce pracować. Ten sport nas jednoczy - dodaje Emilia.

Powrót do piłki

W męskiej drużynie podobną drogę powrotu do piłki przeszedł Jakub Tomaszewski z Koła. Gra z przerwami od kilku lat, ale dopiero poprzedni sezon był dla niego prawdziwym debiutem w turniejach. Wcześniej przez dziewięć lat grał w piłkę w miejskim klubie sportowym. Po wypadku w pracy, w którym stracił nogę, oglądał mecze reprezentacji Polski w amp futbolu i postanowił spróbować.

- Ten sport daje mi spełnienie marzeń. Z piłką zawsze byłem związany. Nie byłem na tyle dobry, żeby zostać zawodowcem, ale teraz mogę to kontynuować. Jest radość i spełnienie, ale też dużo pracy - mówi Jakub.

Praca rzeczywiste jest intensywna. Zgrupowania i turnieje to tylko część sezonu. Reszta zależy od zawodników: trening indywidualny, bieganie, siłownia, praca z piłką, regeneracja. Jakub mówi, że największym wyzwaniem jest sa-



Jakub (po lewej) i Oktawian (po prawej) reprezentują męską część sekcji amp futbolu Warty Poznań

modyscyplina. Trzeba ćwiczyć także wtedy, gdy nie ma obok trenera i drużyny.

Na boisku nie wystarczy sama chęć. Potrzebna jest kondycja, siła ramion, sprawne barki, dobra technika poruszania się o kulach. Potrzebna jest też cierpliwość, bo organizm po amputacji ma swoje ograniczenia, a kontuzja jednej kończyny czy przeciążenie barku może wyłączyć zawodnika z gry.

Przełamać własne bariery

Młodsze pokolenie w Warcie reprezentuje Oktawian Śniowski z Gorzowa. Ma 21 lat, studiuje dietetykę i jest wicekapitanem zespołu. Do amp futbolu trafił trochę przypadkiem. Wiedział, że istnieje taka dyscyplina, ale dopiero kiedy ktoś spotkał go na mieście i zostawił numer telefonu, spróbował naprawdę.

Gra od 2020. Najpierw trafił do kadry juniorów, później do młodzieżówki. Pierwsze zgrupowanie zapamiętał bardzo dobrze, bo szybko przekonał się, ile ten sport wymaga.

- Jeszcze dobrze nie umiałem chodzić o kulach. Po samej rozgrzewce nie miałem już siły. Wtedy zobaczyłem, jak mocno pracuje całe ciało - wspomina.

Wcześniej przeszedł leczenie onkologiczne. Nowotwór wykryto w obrębie stopy. Była biopsja, leczenie, potem decyzja o amputacji i chemioterapia uzupełniająca. Dziś Oktawian jest po pięcioletniej obserwacji i raz w roku jeździ na badania kontrolne. O chorobie mówi spokojnie, ale nie udaje, że dla młodego człowieka było to łatwe doświadczenie.

Najtrudniejszy był nie tylko ból czy szpital. Było też odcięcie od rówieśników, wstyd przed wyjściem z domu, uczenie się siebie po amputacji. Pomogli rodzice, bracia, znajomi. Ważne było to, że przyjęli go naturalnie. Z czasem pojawił się dystans, żarty, zwykłość.

- Dla młodego człowieka to mocno działa na psychikę. Sama akceptacja po amputacji była trudna. Ale miałem bardzo duże wsparcie. To naprawdę dużo daje - mówi Oktawian.

Amp futbol pomógł mu tę akceptację osadzić w codzienności: trening, zgrupowanie, mecz, studia, badania kontrolne, kolejny sezon. Oktawian interesuje się żywieniem, dlatego wybrał dietetykę. Śmieje się, że sport i jedzenie dobrze się łączą. Na boisku mówi już jednak jak zawodnik: chce być gotowy, chce się rozwijać, chce pomagać drużynie. Jako wicekapitan wie, że odpowiedzial-



Od lewej: Marlena, Ewa i Emilia. Każda ma inną historię, ale na boisku grają w jednej drużynie

ność nie kończy się na własnej formie. Trzeba też pilnować atmosfery, wspierać nowych, dawać przykład. Nie wielkimi słowami, tylko obecnością i pracą.

- Chyba każdy chce wygrać. Ja też chciałbym mieć sukcesy w tym sporcie. Wiem, że muszę jeszcze więcej pracować, jeśli chcę być gotowy na kolejne powołania - przyznaje.

Mówi o nieporównywaniu się z innymi. Zwłaszcza dziś, kiedy media społecznościowe stale pokazują cudzą sprawność, cudzy wygląd i cudze sukcesy. Oktawian mówi o tym otwarcie: jeśli ktoś chce wyjść na dwór, pójść na basen, założyć krótkie spodenki mimo protezy albo braku nogi, powinien to zrobić.

- Najważniejsze to przełamać bariery, które człowiek sam sobie nakłada. Często najbardziej ograniczamy się sami - podkreśla.

Drużyna, do której można dołączyć

To tylko kilka historii z większej drużyny. W sekcji amp futbolu Warty Poznań jest dziś 26 zawodniczek i zawodników: około 12 kobiet i 14 mężczyzn. Część dziewczyn nadal łączy grę w kobiecym zespole z obecnością w kadrze meczowej

mężczyzn, bo w tym środowisku rozwój jednej grupy ma ciągnąć w górę także drugą.

Warta Poznań rozwija amp futbol od 2019 roku. Kacper Pyto, związany z sekcją organizacyjnie i trenersko, mówi, że pomysł wyrósł z potrzeb lokalnego środowiska. Jeden z byłych zawodników i były trener szukali miejsca, w którym można byłoby otworzyć sekcję. Warta okazała się klubem gotowym przyjąć taką inicjatywę.

- Nasz klub zawsze lubił nieoczywiste projekty. Mamy też blind football, czyli piłkę nożną dla osób niewidomych i niedowidzących, więc amp futbol dobrze wpisał się w nasze myślenie o klubie - mówi Kacper Pyto.

Początki nie były proste. Zawodników szukano na różne sposoby. Kacper wspomina, że zdarzało mu się podchodzić do osób z protezą na ulicy i pytać, czy już trenują albo czy chciałyby spróbować amp futbolu. Ten sposób nie zawsze działał. Wiele osób miało już swoje dyscypliny albo nie było gotowych na zmianę. Lepszy okazał się internet: fora, zbiórki, kontakty przez środowisko.

Dziś do Warty wciąż można dołączyć. Klub szuka osób po amputacjach i z dysfunkcjami kończyn, które chciałyby

spróbować swoich sił na boisku - niezależnie od tego, czy wcześniej grały w piłkę, czy dopiero chcą zobaczyć, jak wygląda ten sport. Na początku nie trzeba mieć doświadczenia ani pełnego przygotowania. Ważniejsze są chęci, gotowość do pracy i odwaga, żeby przyjąć na pierwszy trening.

A pierwszy trening szybko pokazuje, że amp futbol nie jest spokojniejszą wersją piłki nożnej. Różni się od niej przede wszystkim sposobem poruszania się zawodników. Gracze z pola występują bez protez i biegają o specjalnych kulach, a piłkę prowadzą oraz uderzają jedną nogą. Bramkarze mają z kolei dysfunkcję kończyny górnej, bronią jedną ręką i nie mogą opuszczać pola karnego. Mniejsze jest też boisko i bramka, a mecze są krótsze, za to bardzo intensywne. Liczą się szybkość, siła ramion, technika poruszania się na kulach i decyzje podejmowane w ułamku sekundy.

Chodziło więc nie tylko o zbudowanie drużyny. Równie ważne było stworzenie miejsca, w którym osoby po amputacjach albo z dysfunkcjami mogłyby poczuć się bezpiecznie i normalnie. W ostatnich sezonach do sekcji dołączali kolejni zawodnicy. Dla klubu to sygnał, że środowisko rośnie, ale też zobowiązanie: trzeba zapewnić treningi, opiekę, organizację wyjazdów, sprzęt i ludzi, którzy będą prowadzić zespoły.

- Chcieliśmy pomóc ludziom wyjść do innych i znaleźć środowisko, w którym będą się dobrze czuli. To było dla nas bardzo ważne - dodaje Kacper Pyto.

W tej drużynie ciepło nie wyklucza wymagań. Zawodnicy mówią o rodzinnej atmosferze, ale na boisku nie ma udawania. Jeśli piłka leci, trzeba ją odbić. Jeśli akcja trwa, trzeba biec. Jeśli zawodnik upadnie i nic poważnego się nie stało, musi wstać. Nie dlatego, że ktoś lekceważy ból. Dlatego, że to jest sport.

Są przepisy, tabela, przeciwnicy, punkty. Są mecze z drużynami z Krakowa, Warszawy, Wrocławia czy Rzeszowa. Są turnieje w różnych miastach, a każdy wyjazd jest sprawdzianem przygotowania. Bo choć za każdym zawodnikiem stoi osobna historia, na boisku najważniejsze są już forma, technika, taktyka i odpowiedzialność za drużynę.

Dlatego zawodnicy nie chcą, by patrzeć na nich wyłącznie przez pryzmat niepełnosprawności. Owszem, każda historia ma swój trudny początek: chorobę, wypadek, amputację, długą rehabilitację, czasem lęk przed wyjściem z domu. Ale na treningu najważniejsze są podanie, strzał, ustawienie, reakcja, wytrzymałość. W szatni - żarty, zamięcenie i zwykłe rozmowy. Na meczu - wynik.

WYWIAD SELEKCJONER JAN URBAN W GŁOWIE NADAL MA PORAŻKĘ ZE SZWEDAMI W BARAŻACH O AWANS NA MŚ

Jacek Magiera? Nie raz się popłakałem

Rozmawiał Adam Godlewski
redakcja@polskapress.pl

Z selekcjonerem Janem Urbanem rozmawialiśmy nie tylko o nowych twarzach w reprezentacji. Wróciliśmy do analizy przegranego barażu o mundial, wspomnieliśmy również Jacka Magierę. Trener opowiedział także, dlaczego powołania otrzymali tacy gracze jak Mateusz Żukowski i Karol Czubak.

Trudno inaczej zacząć tę rozmowę niż od wspomnienia o Jacku Magierze. Bo to nie tylko był twój najbliższy współpracownik, ale też człowiek ważny w twoim życiu. Smutno zaczynamy, co? Są zdarzenia, które ciężko przyjąć. Zwłaszcza coś, co jest tak niespotykane... No nie raz się popłakałem, jak sobie przypominałem różne sytuacje, jakie wspólnie przeżyliśmy. To jest dramat, przede wszystkim dramat dla rodziny, bo Jacek był bardzo rodzinnym człowiekiem, dwójka dzieci jest do wychowania. On do tego przykładał niesamowitą wagę i na pewno chciałby być przy nich i widzieć, jak dorastają, widzieć, jak układają sobie życie. Jacek zostanie w naszej pamięci, bo wiemy, jakim był człowiekiem. I właśnie ta pamięć jest najważniejsza. Nie lubię za często rozmawiać na ten temat, wzruszam się...

Jasna sprawa. Czy po tak wielkiej stracie zamierzasz uzupełnić sztab? Tak.

Kiedy? Przyjdzie na to czas. Na spokojnie, rozmawiamy o piłce.

W kontekście twojego sztabu padło nazwisko Kibu Vicuny. Potwierdzasz?

Przyjdzie moment, kiedy będzie to wiadomo. Nie będziemy spekulować, dopóki sytuacja nie zostanie rozwiązana. Koniec, kropka. Jedziemy dalej.

Przejdźmy zatem do powołań. Należało się spodziewać, że na mecze towarzyskie zaprosisz nowych piłkarzy. I jest piątka. Dlaczego postawiłeś akurat na dwóch zawodników z klubów zagranicznych i trzech z PKO Ekstraklasy?

Mamy dwa mecze sparingowe, niektórych podstawowych dotąd zawodników nie będzie, więc kogoś trzeba było sprawdzić. Chcemy po prostu sięgnąć głębiej. I nie jest to takie proste, bo czasami - na niektó-

rych pozycjach - tej głębi po prostu nie ma. Nie zmieniam swojego zdania - jeśli na początku mojej pracy w reprezentacji mówiłem, że ten wachlarz zawodników nie jest zbyt duży, to się niestety cały czas potwierdza. W wielu przypadkach wszystko jest zresztą troszkę za szybko, bo jeśli spojrzysz na staż tych piłkarzy, którzy są na radarze sztabu reprezentacji, to on nie jest duży. Do tej reprezentacji na niektórych pozycjach zbyt łatwo jest się dostać, bo nie ma wielkiego wyboru. Śledzisz naszą ekstraklasę, to wiesz, ilu jest w niej obcokrajowców, ilu Polaków gra na co dzień. Dam ci przykład z Gali Ekstraklasy, gdzie nominowani do nagrody wśród obrońców zostali Rafał Janicki, Marcin Kamiński, Arek Jędrzych - wszyscy po trzydziści prawie cztery lata.

Za to Wojciech Mońka dużo młodszy, prawie o połowę. A jednak niepowołany...

Tak, Mońka dużo młodszy, tylko tak naprawdę ma za sobą rok gry w poważnej piłce. I to nawet niecały. Jeszcze przyjdzie na niego czas. Sporo młodszy od wspomnianej trójki jest też Oskar Wójcik, ale też tylko rok poważnej gry tak naprawdę za nim. I mówimy o najlepszych w lidze, i o powołaniach do reprezentacji. Troszkę to za szybko, ale nie mamy innego wyboru. Oni są najlepsi, oni byli nominowani do nagród w ekstraklasie. Pomówmy też o Kacprze Potulskim - rozegrał bodajże tylko dziewiętnaście spotkań, w sumie z Ligą Konferencji. Zobacz, sięgamy nawet do drugiej ligi, patrząc na zawodników, szukając kandydatów do kadry, co w moich czasach było niemożliwe. No i ja zadebiutowałem w reprezentacji mając dwadzieścia trzy lata, grając wcześniej w lidze cały czas. Wybór był wtedy zdecydowanie większy. Dzisiaj ta sytuacja wygląda tak, jak wygląda, a boję się, że może wyglądać gorzej. Kluby pilnują swoich interesów, a wydaje mi się, że łatwiej jest jednak kupić zawodnika zagranicznego niż postawić na wychowanka. A selekcjoner ma coraz większe trudności z wyborem. Starsi odchodzą z reprezentacji i nie będzie ich łatwo zastąpić.

Kacper Potulski, Oskar Wójcik, Norbert Wojtuszek to są nazwiska nowe w obronie. Czy aby na pewno dla wszystkich znajdziesz jakieś minuty w tych spotkaniach towarzyskich? Będą dwa różne składy



Jan Urban: W ostatnich latach naprawdę dobrą piłkę grają Anglicy. Wydaje mi się, że nadchodzi czas, że wreszcie wygrają poważny turniej. Bo prezentują się wybornie

na spotkania z Ukrainą i Nigerią?

Raczej tak. Po to powołujemy nowych graczy, żeby ich sprawdzić. Ja też nie oczekuję, że po tych spotkaniach na pewno dostanę konkretną odpowiedź, że dany zawodnik się nadaje do kadry. Na przykład nie ma kontuzjowanego Matty'ego Casha, więc musieliśmy w tym sektorze uzupełnić skład. I postawiliśmy na Wojtuszkę.

I to nie jest już taki młody zawodnik. No i ma ugruntowaną pozycję w lidze.

Tak. Zresztą ja pracowałem z nim w Górniku Zabrze i jest to ciekawy chłopak, pod względem technicznym dość dobrze zaawansowany. Wydaje mi się, że mentalnie też jest na wysokim poziomie. Tyle że to od zawodników zależy, jak swoją szansę wykorzystają. Często czekasz na nią długo i jej nie dostajesz, ale potem możesz w danej drużynie zostać na dłużej. Jeśli mówimy o reprezentacji Polski, to właśnie tak było w przypadku tych młodszych - z Jakubem Kamińskim czy Nicolą Zalewskim. Oni mimo młodego wieku pokazali, że potrafią grać na wysokim poziomie i zostali w drużynie narodowej. Jest Kacper Urbański, który też pokazał, że potrafi grać, ale gdzieś ta jego droga sportowa się pokreśliła i dzisiaj nie ma go w pierwszej reprezentacji. Musi się odbudować i wtedy na pewno nie będzie żadnego problemu, żebyśmy znowu zainteresowali się jego osobą. Bo różnie się życie układa.

Dlaczego powołania dostali Mateusz Żukowski i Karol Czubak?

Bo nie ma zbyt wielu innych opcji. Oczywiście, są Adam Buksa i Krzysztof Piątek, ale wiem, co Buksa może mi dać. A Piątek już dawno temu skoń-

czył ligę i trudno, żeby sam trenował na wakacjach, czekając na reprezentację. Natomiast jest okazja sprawdzić tych chłopaków. Jeden strzela bramki w naszej ekstraklasie, drugi w drugiej Bundeslidze.

Bardziej pytałem o przymioty, które zadecydowały, że to właśnie oni. Czym się kierowałeś?

Szczególnie liczbą bramek, które strzelają. Bo szukamy bramkostrzelnych napastników. Wiemy, że Robert Lewandowski jest bliżej końca w reprezentacji, więc chcę wykorzystać w ten sposób dwa mecze sparingowe, żeby zobaczyć Czubaka i Żukowskiego z bliska. Zawsze będziemy mogli dyskutować na temat tego, gdzie jest trudniej strzelać bramki - w naszej ekstraklasie czy w drugiej Bundeslidze. Gdybyśmy zamienili ich miejscami i Żukowski wraca do ekstraklasy, a Czubak idzie do drugiej Bundesligi - ciekawe, kto więcej by strzelił? Zobaczmy z bliska, jak się to mówi, dotkniemy ich. Bo może nastąpi taka sytuacja, że będziemy zmuszeni któregoś z tych napastników powołać na przykład na wrześnieowe mecze Ligi Narodów, gdy będziemy grali cztery spotkania w bardzo krótkim czasie. Wtedy rotacji będzie dosyć dużo. Zwłaszcza jeśli przytrafią się jakieś kontuzje czy niedyspozycje.

Czyli kadra będzie szersza niż to wrześnieowe zgrupowanie?

Raczej tak, bo jeśli gramy cztery spotkania, to trzeba być zabezpieczonym na urazy. To jest problem dla wszystkich reprezentacji, bo cztery spotkania zespołów narodowych to jedno, ale zawodnicy przyjadą tuż po swoim meczu ligowym w klubie i po zgrupowaniu pojadą od razu na ligowe starcie. Dawka będzie bardzo

duża, na pewno więc kadra będzie szersza.

Jesteś takim trenerem tradycyjalistą i stosujesz chłodny wychów w ciałach. Można odnieść takie wrażenie, chociażby patrząc na przypadki Oskara Pietruszewskiego w kadrze. Trzeba jednak mocno się powysilać, żeby zasłużyć na uznanie trenera Urbana.

Ale sądzisz, że on się mocno powysilał? No nie, przecież w wieku siedemnastu lat zagrał w kadrze. No to ileż on się wysilał? Ja to się wysilałem. Zobacz, do dwudziestu trzech lat czekałem na powołanie, a zacząłem grać w lidze mając dwiętnaście.

Może po prostu byłeś mniej utalentowany.

No może, ale czas pokazał, że chyba nie do końca...

A jak z dzisiejszej perspektywy patrzysz na Pietruszewskiego?

Normalnie. Zresztą, co się zmieniło przez dwa miesiące? Normalnie patrzę jak na młodego chłopaka, który rozwija się pod względem sportowym. I dorasta, bo zrobił maturę. Wiesz, ma typowe sportowe życie, cały czas ma nowe wyzwania przed sobą. Najpierw młodzieżówka, teraz pierwsza reprezentacja, pierwszy sukces klubowy; normalna kolej rzeczy. Ja patrzę tylko i wyłącznie na to, jak chłopak gra, jak się rozwija. I nic się nie zmieniło od ostatniego zgrupowania, bo minęło bardzo mało czasu.

Robiłeś dokładne rozeznanie w sile Ukraińców i Nigeryjczyków? Czy tym razem odpuścisz rozpracowanie rywali?

To są spotkania, w których nie koncentrujemy się tak bardzo na przeciwniku. Ukraina zmieniła trenera, nie wiadomo było, czy zmienia system gry. Nigeria ma w Europie trzy spotkania, będzie zapewne mocno rotować składem. Dlatego z góry założyliśmy, że chcemy skoncentrować się na sobie, podzielić odpowiednio te minuty między zawodników, żebyśmy je wykorzystali jak najlepiej, żeby dały nam jak najwięcej odpowiedzi. A czas między dwoma spotkaniami jest bardzo krótki, tylko dwa dni. Raczej nie chciałbym takiej sytuacji, żeby jeden zawodnik zagrał w pełnym wymiarze czasowym zarówno z Ukrainą, jak i z Nigerią. W tych meczach sparingowych jest możliwość przeprowadzenia większej liczby zmian - ośmiu. I jest

jeszcze możliwość porozumienia się z przeciwnikiem, że nawet możesz zrobić jedenaście. Zobaczmy, jak to wszystko sobie poukładamy. Chociaż plan mieliśmy oczywiście przygotowany z góry.

Trochę czasu już minęło od barażu o mundial. Czy już przebolełeś brak awansu?

Nie przebolełem i długo nie przeboleję. A wraz ze zbliżaniem się mundialu wydaje mi się, że ten mecz ze Szwecją będzie wracał. Bo to jest poważne wydarzenie nie dostać się na mistrzostwa świata. Wydaje mi się, że ta drużyna robiła progres, grała naprawdę dobrze, ale można powiedzieć, że zawiedliśmy, bo przegraliśmy w najważniejszym momencie. Mimo tego, że na pewno nie byliśmy gorszą drużyną od Szwecji. A można powiedzieć, że nawet bardziej zasłużyliśmy na awans. Taka jest jednak piłka. Skandynawowie byli bardziej konkretni i zagrają na mundialu. Natomiast my nie będziemy nie wiadomo, ile ubolewać nad tym, bo życie piłkarskie nie lubi pustki i musimy się koncentrować już na Lidze Narodów. Skoro jednak pytasz - ta porażka tak szybko z głowy mi nie wyjdzie.

Na pewno analizowałeś oba spotkania barażowe. W drugim nasza drużyna wyglądała bardzo dobrze, za to przeciw Albanii - fatalnie.

To były dwa spotkania o różnym aspekcie mentalnym przede wszystkim. Myśmy przestrzegali, że Albania to naprawdę dobra drużyna, bo oni potrafili z nami wcześniej wygrać, potrafili wygrać grupę eliminacyjną. Kiedy grasz na własnym boisku, to powoduje, że jesteś faworytem i nikt sobie nie wyobraża, że nie wygrasz z Albanią. Początek był zresztą super, brakowało tylko bramek, bo zepchnęliśmy rywali do defensywy. Nie strzeliliśmy jednak gola, a kiedy w ostatnich minutach pierwszej połowy dałeś prezent przeciwnikowi, to sam sobie komplikujesz życie. I nie jest łatwo odrabiać straty. Powtarzaliśmy zresztą: Albania to jest zespół, który bardzo dobrze broni, przeciw któremu trudno się stwarza sytuacje. I to wszystko się potwierdziło, bo myśmy nie stworzyli wiele sytuacji z Albanią. Nie będziemy się tutaj oszukiwać. Strzeliliśmy dwie bramki dzięki jakości Piotrka Zielińskiego i Roberta Lewandowskiego, a oni tylko jedną...

PIŁKA NOŻNA ZNAKOMITA KOŃCÓWKA SEZONU GŁOGOWIAN. DO AWANSU ZABRAKŁO NIEWIELE

Ekstraklasa jednak nie dla Chrobrego

RED
Głogów

Po raz drugi Chrobry prowadził w finale baraży i choć znów to nie wystarczyło, było naprawdę blisko. Wieczysta wygrała 2:1 i świętowała awans.

Mecz ułożył się korzystnie dla Chrobrego, który już w 14. minucie objął prowadzenie. Głogowianie wywalczyli rzut wolny, a dośrodkowanie z niego zamienił głową niezawodny w tym elemencie gry Myrosław Mazur.

Niestety, nie udało się tego wyniku utrzymać do końca. Wieczysta posiadała optyczną przewagę i choć długo nie mogła przebić się przez waleczną defensywę głogowian, w końcu zrobiła to w 29. minucie. Wrzucił Miki Villar, Dawid Arndt odbił piłkę przed siebie i momentalnie dopadł do niej Lisandro Semedo, doprowadzając do wyrównania. Po 45 minutach mieliśmy remis.

Po zmianie stron taki rezultat nie utrzymał się długo. W 55. minucie Wieczysta objęła prowadzenie. Znów z boku piłkę dogrywał Miki Villar, a tym razem domknął to Stefan Feiertag – na raty, bo za pierwszym razem skutecznie interweniowali Dawid Arndt z Jakubem Griem, ale dobitka była już celna.

Chrobrego to nie podłamało. Od tego momentu zespół mocno dążył do wyrównania i osiągnął przewagę. Kilka razy było naprawdę blisko. Po główce Sebastiana Stróziaka futbolówka odbiła się od poprzeczki, kolejne uderzenie Myroslawa Mazura fenomenalnie obronił Antoni Mikulko, który też koniuszkami palców przerzucił piłkę ponad poprzeczką po tym, jak bombę z dystansu posłał Kacper Laskowski. Go-



Tak Myrosław Mazur cieszył się po strzeleniu gola

spodarze mieli gorąco, lecz ostatecznie dotrwali i po końcowym gwizdku to oni cieszyli się z awansu.

Trener Łukasz Becella tak skomentował finisz sezonu: - Wieczysta była faworytem. Nie pomogło nam to, że graliśmy dogrywkę w meczu z ŁKS-em. Pokazaliśmy zespół, który wciąż się rozwija. Zaprezentowaliśmy niesamowitych zawodników z charakterem, zawodników, którzy w każdym meczu dają z siebie wszystko. Pokazują umiejętności, pokazują, że potrafią realizować założenia, potrafią grać w różnych fazach gry, narzucać swój sposób grania. Daliśmy z siebie wszystko. Wiadomo, że w piłce trzeba mieć trochę szczęścia (...). Chciałbym, żeby ten mecz był dobrym prognostykiem na przyszły sezon. Ważne, że byśmy 70 proc. tego składu zostawili i dołożyli chłopaków, którzy mają głód wygrywania. Uważam, że to jest kluczowe w piłce. Mam nadzieję, że będziemy nadal rozwijać ten zespół i będziemy potrafili zatrzy-

mać jego trzon. To jest bardzo ważny dla nas proces.

Chrobry kończy sezon bez awansu, jednak po raz kolejny otarł się o ekstraklasę, zajął najwyższe jak dotąd czwarte miejsce. Pozostaje z niecierpliwością oczekiwać kolejnego sezonu.

WIECZYSTA KRAKÓW - CHROBRY GŁOGÓW 2:1 (1:1)

BRAMKI: 0:1 Myrosław Mazur 14, 1:1 Lisandro Semedo 30, 2:1 Stefan Feiertag 56.
WIECZYSTA: 1. Antoni Mikulko - 4. Karol Fila, 44. Dawid Szymonowicz, 2. Michał Pazdan, 33. Kamil Pestka (42, 6. Rafał Pietrzak) - 23. Miki Villar (86, 17. Kamil Dankowski), 20. Mikkel Maigaard, 7. Maciej Gajos (69, 80. Natan Dziegielelewski), 12. Lucas Piazón, 77. Lisandro Semedo (69, 19. Michał Trąbką) - 18. Stefan Feiertag (86, 9. Paulinho).
CHROBRY: 99. Dawid Arndt - 21. Michał Kozajda, 8. Jakub Grič, 18. Myrosław Mazur, 28. Jakub Lis (69, 77. Mateusz Bartolewski) - 17. Kelechukwu Ibe-Torti (69, 9. Mateusz Ozimek), 7. Sebastian Bonecki (69, 23. Szymon Lewkot), 16. Robert Mandryś, 30. Szymon Bartlewicz (76, 15. Kacper Nowakowski), 27. Kacper Laskowski - 11. Sebastian Strózik (76, 10. Piotr Janczukowicz).
ŻÓŁTE KARTKI: Feiertag - Bartlewicz, Strózik, Mandryś, Grič.
SĘDZIOWAŁ: Karol Arys (Szczecin).

Zanim doszło do pojedynku w Krakowie, Głogowianie musieli się uporać na własnym stadionie z zespołem z Łodzi. Głogowianie dobrze weszli w mecz – wyrobili sobie przewagę i uderzali na bramkę rywali, choć jeszcze bez klarownych okazji. To właśnie ŁKS stworzył jako pierwszy coś zbliżonego do stuprocentowej sytuacji: w 36. minucie Gustaf Norlin wpadł w pole karne, a po jego strzale piłkę odbił Dawid Arndt. Po 45 minutach mieliśmy bezbramkowy remis, ale mimo tej sytuacji łodzian gra Chrobrego mogła napawać optymizmem.

W drugiej odsłonie to goście wyraźnie zaczęli napierać. Groźnie na bramkę uderzał Mateusz Wysokiński, a w pewnym momencie ŁKS miał kilka rzutów różnych pod rząd. I właśnie wtedy padł gol. W 61. minucie najwyżej w polu karnym do dośrodkowanej z narożnika piłki wyskoczył Andreu Arasa – i goście wyszli na prowadzenie.

Chrobry sprawił wrażenie podrażnionego i szukał spo-



Głogowianie walczyli do końca

sobu na odwrócenie losów spotkania. Swoją okazję miał Sebastian Strózik, dobrą robotę wykonał też Kacper Laskowski, próbując z dystansu – w 64. minucie po takim strzale bronił Łukasz Bomba, ale wobec kolejnej... „bomby” Laskowskiego w 76. minucie był już bezradny.

Pomocnik pomarańczowoczarnych doprowadził do wyrównania w stylu dobrze już znanym z tego sezonu – efektownym strzałem w okienko z narożnika pola karnego.

Wynik 1:1 utrzymał się do końca regulaminowego czasu i przeniósł emocje najpierw na dogrywkę, w której wyraźnie żwawiej prezentowali się głogowianie – lecz i ona nie przyniosła rozstrzygnięcia.

Chrobry był bliższy przechylenia szali na swoją stronę, ale kapitalną interwencją po główce Jakuba Gricia popisał się Bomba. Wydawało się wręcz, że to ŁKS-owi bardziej zależy na serii rzutów karnych – i ostatecznie to nie doszło.

CHROBRY GŁOGÓW - ŁKS ŁÓDŹ 1:1 PD.K. 5:4

BRAMKI: 0:1 Andreu Arasa 61, 1:1 Kacper Laskowski 76. KARNE: (0-0 Radosław Bąk - obroniony), 0-1 Mateusz Lewandowski, 1-1 Myrosław Mazur, 1-2 Sebastian Rudol, 2-2 Piotr Janczukowicz, 2-3 Maksymilian Pingot, 3-3 Mateusz Ozimek, 3-4 Krzysztof Fiałowski, 4-4 Jakub Grič, (4-4 Serhij Krykun - poprzeczka), 5-4 Jakub Lis, (5-4 Maciej Wojciechowski - obroniony)
CHROBRY: 99. Dawid Arndt - 21. Michał Kozajda, 8. Jakub Grič, 18. Myrosław Mazur, 28. Jakub Lis - 17. Kelechukwu Ibe-Torti (78, 5. Radosław Bąk), 7. Sebastian Bonecki (78, 23. Szymon Lewkot), 16. Robert Mandryś (115, 77. Mateusz Bartolewski), 30. Szymon Bartlewicz (57, 15. Kacper Nowakowski), 27. Kacper Laskowski (91, 9. Mateusz Ozimek) - 11. Sebastian Strózik (98, 10. Piotr Janczukowicz).
ŁKS: 12. Łukasz Bomba - 2. Jasper Löfvensand (71, 19. Serhij Krykun), 6. Sebastian Rudol, 5. Łukasz Wiech (78, 4. Maksymilian Pingot), 28. Krzysztof Fiałowski, 11. Gustaf Norlin (94, 10. Sebastian Ernst) - 88. Kacper Terlecki, 20. Mateusz Wysokiński (106, 33. Lenard Szczygiel), 8. Koki Hinokio - 9. Andreu Arasa (71, 90. Mateusz Lewandowski), 99. Fabian Piasecki (90, 16. Maciej Wojciechowski).
ŻÓŁTE KARTKI: Mandryś - Wiech, Hinokio.
SĘDZIOWAŁ: Bartosz Frankowski (Toruń).
WIDZÓW: 2619.

W Głogowie boksowali zawodnicy w wieku od 7 do 39 lat

Wiktorія Żyta
Głogów

Sobotnie wydarzenie, które zorganizował klub UKS Boks Głogów, było pełne emocji.

W ramach obchodów dni miasta zorganizowano zawody sportowe. Scena w głogowskim MOK-u stała się ringiem, w którym oprócz Głogowian walczyli zawodnicy z kilku miast: Dzierżoniowa, Zamościa, Wschowy, Zgo-

rzela, Legnicy oraz Lubina. Najmłodsi zawodnicy, którzy pojawili się na Mistrzostwach Ziemi Zachodnich w boksie, mają po 7 lat, a najstarszy 39 lat.

Dla wielu najmłodszych uczestników był to pięściarski debiut. Podczas wydarzenia można było zobaczyć 26 walk, do których zgłosiło się ponad 50 osób.

- Podczas wydarzenia walczyli Głogowianie, były walki pokazowe i turniejowe. Wiele osób mówiło, że scena wy-



Na ringu wystąpili zawodnicy z kilku miast

gląda zjawiskowo, a jest to załuga oświetleniowców i dźwiękowców. Jeśli chodzi o sportową stronę, to przede wszystkim jest bezpiecznie, dzieci walczyły w kaskach. Cieszy mnie, że nie ma konfliktów między zawodnikami. Widać, że się szanują - informował Jakub Kowalski z UKS Boks Głogów.

- Są z nami profesjonalni sędziowie i licencjonowani trenerzy - to osoby, które znają się na tym sporcie - dodał.

Zawodnicy starali się pokazać ze sportowej strony jak najlepiej.

- Wydaje mi się, że byłem lepszy. Oczywiście, należy się szacunek dla mojego przeciwnika. Myślę, że pokazałem bardzo dobry boks - powiedział Maksym Sorbat z klubu Boks Ciszewski Dzierżoniów.

Publiczność uważnie obserwowała przebieg walk i nie szczędziła gorącego doping.

- Jest fajnie, cieszymy się, że w Głogowie są takie wydarzenia - mówiła pani Julia.

